

William Golding

Władca Much

Z angielskiego przełożył Waław Niepokólczycki

Głos muszli

Jasnowłosy chłopiec zsunął się ze skały i zaczął iść ostrożnie w kierunku laguny. Choć zdjął sweter i włókł go teraz za sobą po ziemi, szara koszula przywarła do ciała, a włosy kleiły się do czoła. W otaczającym go długim paśmie strzaskanej roślinności dżungli gorąco było jak w łaźni. Z trudem przedzierał się przez pnącza i ścięte pnie, gdy nagle jakiś ptak, czerwono-żółta zjawa, zerwał się i wzbił w górę jakby z wróźebnym okrzykiem; a okrzykowi temu niby echo zawtórował inny.

— Hej! — wołał. — Zaczekaj chwilę!

Krzaki na skraju pasma zdrząły strząsając deszcz kropli osiadłej na liściach wody.

— Zaczekaj — mówił głos — zaplątałem się!

Jasnowłosy chłopiec zatrzymał się, machinalnie podciągnął skarpetki, co nadało dżungli na chwilę jakiś swojski charakter.

Głos odezwał się znowu:

— Nie mogę się wygramolić z tych pnączy.

Właściciel głosu wycofywał się tyłem z krzaków, tak że gałązki drapały po brudnej wiatrówce. Zagięcia pod nagimi kolanami były pulchne, poranione i uwikłane w ciernistych pnączach. Schylił się, ostrożnie rozplatał ciernie i odwrócił się. Był niższy od jasnowłosego chłopca i bardzo gruby. Starannie wyszukując bezpiecznych miejsc dla stóp podszedł i uniósł wzrok za mocnymi szklami okularów.

— Gdzie ten człowiek z megafonem?

Jasnowłosy potrząsnął głową.

— To jest wyspa. Przynajmniej tak mi się wydaje. Tam na morzu jest rafa. Może tu wcale nie ma starszych?

Grubas zrobił przestraszoną minę.

— Przecież był pilot. Ale nie z nami, tylko w kabinie na przedzie.

Jasnowłosy patrzył na rafę przymrużonymi oczyma.

— A inne dzieci? — ciągnął grubas. — Niektóre musiały się wydostać. Prawda, że musiały?

Jasnowłosy ruszył niedbałym krokiem w stronę wody. Starał się nie robić ceremonii z towarzyszem, a zarazem nie okazać mu zbyt jawnie braku zainteresowania, ale grubas pośpieszył za nim.

— Wcale nie ma starszych?

— Tak mi się zdaje.

Jasnowłosy wypowiedział te słowa poważnie, ale gdy je sobie w pełni uświadomił, zaraz opanowała go tak wielka radość, że stanął na głowie pośrodku pasma strzaskanej roślinności i uśmiechnął się do odwróconej postaci grubasa.

— Nie ma starszych!

Thusty chłopiec pomyślał chwilę.

— Pilot.

Jasnowłosy opuścił nogi i siadł na parującej ziemi.

— Pewnie odleciał, jak nas zrzucił. Nie mógł tu wylądować. W samolocie na kołach?

— Zaatakowali nas!

— Wróci tu, zobaczysz.

Grubas potrząsnął głową.

— Patrzyłem przez okienko, jak spadaliśmy. Widziałem tamten kawałek samolotu. Ogień z niego buchał. Rozejrzał się po rumowisku drzew.

— Patrz, co zrobił.

Jasnowłosy wyciągnął rękę i dotknął poharatanego pnia. Zaciekawilo go to na chwilę.

— Co się z nim stało? — spytał. — Gdzie się podział?

— Sztorm cisnął go do morza. Jak te wszystkie drzewa się waliły, to jeszcze nic wielkiego. Gorzej, że dzieciaki pewnie dotąd w nim siedzą. Zawahał się, a potem:

— Jak ci na imię?

— Ralf.

Grubas czekał, by z kolei jego spytano o imię, ale nie usłyszał żadnej propozycji do zawarcia bliższej znajomości; jasnowłosy chłopak imieniem Ralf uśmiechnął się niewyraźnie, wstał i ponownie ruszył w stronę laguny. Grubas szedł za nim krok w krok.

— Myślę, że tu musi być nas więcej. Nie widziałeś nikogo?

Ralf potrząsnął głową i przyśpieszył kroku. Potem potknął się o gałąź i upadł jak długi.

Grubas stanął nad nim ciężko dysząc.

— Ciocia mi nie pozwala biegać — wyjaśnił — ze względu na moją astmę.

— As... co?

— As...tmę. Nie mogę złapać tchu. W naszej szkole tylko ja jeden miałem astmę — mówił z odcieniem dumy. — zacząłem nosić szkła, jak miałem trzy lata.

Zdjął okulary i wyciągnął je do Ralfa mrugając oczyma i uśmiechając się, a potem zaczął je wycierać o brudną wiatrówkę. Wyraz bólu i wewnętrznego skupienia zmienił błądy zarys jego twarzy. Otarł pot z policzków i szybko włożył szkła.

— Oj, te owoce.

Rozejrzał się po rumowisku drzew.

— Oj, te owoce — powtórzył — chyba... Poprawił okulary, odszedł na bok i przykucnął wśród bujnej roślinności.

— Zaraz wrócę.

Ralf wyplątał się ostrożnie z pnączy i zaczął chyłkiem przekradać się przez gałęzie. Po chwili stękanie grubasa pozostało za nim, a on spieszył ku przeszkodzie, która go odgradzała od laguny. Przełaził przez powalony pień i stanął na skraju dżungli.

Brzeg jeżył się palmami. Stały, chyliły się lub pokładały na tle jasności, a ich zielone pióropusze straszyły się o sto stóp nad ziemią. Wyrastały z brzegu porośniętego ostrą trawą, porozdzieranego korzeniami powalonych drzew, pokrytego gnijącymi kokosami i pędami młodych palm. Dalej była ciemność lasu właściwego i otwarta przestrzeń pasa zdruzgotanych drzew. Ralf stał oparty ręką o szary pień drzewa i mrużył oczy przed migotliwym blaskiem wody. Tam w dali, może o milę, białe fale przybrzeżne rozбивały się o rafę koralową, a za nią granatowiało otwarte morze. Wewnątrz nieregularnego łuku rafy koralowej spokojna niby lustro górskiego jeziora leżała laguna — wszystkie odcienie błękitu, ciemnej zieleni i fioletu. Piaszczysty brzeg między skarżą, na której rosły palmy, a wodą był jak cienkie drzewce nieskończenie długiego łuku, bo w lewo od Ralfa perspektywa linii palm, brzegu i wody ciągnęła się bez końca zlewając się w jeden punkt; i wciąż był upał, upał niemal namacalny.

Zeskoczył ze skarpy. Czarne buciki ugrzęzły w sypkim piachu i uderzyła go fala gorąca. Zaciążyło mu ubranie, zrzucił więc buty gwałtownym kopnięciem i jednym

ruchem zdarł z nóg skarpetki. Potem skoczył z powrotem na skarpe, ściągnął koszulę i stanął wśród kokosów przypominających ludzkie czaszki, a zielone cienie palm i lasu tańczyły na jego skórze. Odpiął klamrę paska, zsunął spodnie i majteczki i stał nagi patrząc na oślepiający piach i wodę.

Był już dostatecznie duży, dwanaście lat i kilka miesięcy, by nie mieć sterczącego brzuszka jak małe dzieci, a jeszcze za mały, aby nabrać niezgrabności wieku dorastania. Z wyglądu miał zadatki na boksera, szerokie, dobrze rozwinięte barki, ale w rysunku jego ust i w oczach była jakaś łagodność. Klepnął dłonią pień palmy i zmuszony w końcu uwierzyć w realność wyspy roześmiał się z zachwytem i znów stanął na głowie. Zgrabnie opadł na nogi, zeskoczył ze skarpy na plażę, ukląkł i nagarnął ramionami piach ku sobie. Potem siadł i wpatrzył się w wodę promiennymi, rozgorączkowanymi oczami.

— Ralf...

Grubas zsunął się ze skarpy i siadł ostrożnie na jej brzeżku.

— Przepraszam, że byłem tak długo, ale te owoce...

Przetarł okulary i umieścił na zadartym nosie. Ich oprawa wycisnęła głębokie różowe "V" na mostku nosa. Spojrzał krytycznie na złote ciało Ralfa, a potem na swoje ubranie. Przyłożył rękę do suwaka błyskawicznego zamka na piersi.

— Moja ciocia...

Zdecydowanym ruchem pociągnął zamek i zdjął wiatrówkę przez głowę.

— No!

Ralf patrzył na niego z ukosa i nic nie mówił.

— Myślę, że będą nam potrzebne imiona ich wszystkich — rzekł grubas — żeby zrobić listę. Powinniśmy zwołać zebranie.

Ralf nie okazał zrozumienia, więc grubas rzekł poufnym tonem:

— Wszystko mi jedno, jak będą na mnie mówili, byle nie tak jak w szkole.

Ralf okazał zaniepokojenie.

— A jak na ciebie mówili w szkole?

Grubas obejrzał się za siebie, a potem pochylił do Ralfa.

— Wołali na mnie "Prosiaczek" — wyszeptał.

Ralf parsknął śmiechem. Zerwał się gwałtownie.

— Prosiaczek! Prosiaczek!

— Ralf... proszę cię!

Prosiaczek załamał rękę.

— Mówiłem ci, że nie chcę...

— Prosiaczek! Prosiaczek!

Ralf wbiegł w podskokach na rozprażoną plażę, a potem wrócił jako myśliwiec z odrzuconymi do tyłu skrzydłami i ostrzelał Prosiaczka ogniem karabinów maszynowych.

— Szsziaaaaou!

Znurkował w piach u stóp Prosiaczka i tarzał się ze śmiechu.

— Prosiaczek!

Prosiaczek uśmiechnął się niechętnie, zadowolony z takiego nawet uznania.

— Tylko przynajmniej nie mów innym...

Ralf chichotał w piach. Na twarzy Prosiaczka pojawił się znowu wyraz bólu i skupienia.

— Chwileczkę.

Ruszył śpiesznie do lasu. Ralf wstał i pobiegł brzegiem w prawo.

Łagodną linię brzegu przerywał tu nagle kanciasty motyw krajobrazu; wielka płyta różowego granitu wtłoczona bezkompromisowo w las, skarpe, plażę i lagunę tworzyła wysokie na cztery stopy nabrzeże. Powierzchnię jej pokrywała cienka warstwa ziemi porośniętej ostrą trawą i ocienionej liśćmi młodych palm. Warstwa ta była zbyt płytka, by palmy mogły wyrosnąć wysoko, toteż osiągając około dwudziestu stóp waliły się i schły w gmatwaninie pni, bardzo wygodnych do siedzenia. Te palmy, które jeszcze stały, tworzyły dach zieleni pokryty od spodu drgającą płataniną odbłasków laguny. Ralf wwindował się na tę płytę, zwrócił uwagę na cień i chłód, przymknął jedno oko i stwierdził, że cienie na jego ciele rzeczywiście są zielone. Podszedł do krawędzi płyty i stał patrząc w wodę. Była przejrzysta aż do dna i jasna kwitnieniem tropikalnej roślinności i koralu. Chmara drobniutkich połyskliwych rybek śmigła przenosząc się z miejsca na miejsce. Z ust Ralfa dobiegła się nuta najgłębszego zachwyty. — Jeju!

Za granitową płytą były jeszcze inne cuda. Zrzędzeniem bożym jakiś tajfun, a może właśnie burza, która towarzyszyła przybyciu chłopców na wyspę, uformowała wał piachu wewnątrz laguny tworząc w ten sposób długi, głęboki basen w plaży zakończony wysokim występem granitu. Ralf, który już kiedyś dał się zwieść pozornej głębi podobnego zjawiska na plaży, był przygotowany na rozczarowanie. Ale na tej wyspie wszystko wydawało się prawdziwe i ten niewiarygodny basen, do którego morze

wdzierało się tylko w czasie przyływu, był tak głęboki u jednego krańca, że aż ciemnozielony. Ralf przyjrzał mu się dokładnie i zanurzył się. Woda była cieplejsza od jego krwi i pływał jakby w ogromnej wannie.

Niebawem nadszedł Prosiaczek, usiadł na skalnym występie i z zazdrością patrzył na zielono-białe ciało Ralfa.

— Wcale nie umiesz pływać.

— Prosiaczek.

Prosiaczek zdjął buty i skarpetki, ustawił je równo na skale i palcem u nogi dotknął wody.

— Gorąca!

— A coś ty myślał?

— Nic nie myślałem. Moja ciocia...

— Pies drapał twoją ciocię!

Ralf dał nurka i płynął pod wodą z otwartymi oczami; piaszczysty brzeg basenu zamajaczył przed nim jak zbocze góry. Obrócił się na plecy trzymając się za nos i tuż nad sobą ujrzał roztańczone, migocące złote błyski. Tymczasem Prosiaczek z wyrazem zdecydowania na twarzy zaczął zdejmować spodnie. Niebawem stanął w całej pełni swej tłustej i bladej nagości. Zszedł na palcach po piaszczystym brzegu basenu i usiadł po szyję w wodzie uśmiechając się z dumą do Ralfa.

— Nie będziesz pływał?

Prosiaczek potrząsnął głową przecząco.

— Ja nie umiem pływać. Nie pozwalali mi. Moja astma...

— Pies drapał twoją astmę!

Prosiaczek zniósł to z pokorną cierpliwością.

— Wcale nie umiesz dobrze pływać.

Ralf podpłynął na plecach do brzegu, zanurzył usta i wypuścił w górę strumień wody. Potem podniósł brodę i zaczął mówić:

— Pływałem już, jak miałem pięć lat. Tata mnie nauczył. Tata jest komandorem. Jak dostanie urlop, przyjedzie i wyratuje nas. Czym jest twój ojciec?

Prosiaczek poczerwieniał nagle.

— Mój tata umarł — powiedział szybko — a mamusia... Zdjął okulary i daremnie szukał czegoś, by je przetrzeć.

— Mieszkałem u cici. Ona ma sklep ze słodyczami. Zawsze dawała mi mnóstwo słodyczy. Ile tylko chciałem. Kiedy twój tata nas wyratuje?

— Jak tylko będzie mógł.

Prosiaczek podniósł się ociekając wodą i stał nagi czyszcząc szkła skarpetką. Jedynym dźwiękiem, który docierał teraz do nich przez poranny upał, był nieustanny odgłos rozbijających się o rafę fal.

— A skąd wie, że tu jesteśmy?

Ralf rozłożył się w wodzie. Senność spowiła go jak miraż, które omotywały lagunę mocując się z jej blaskiem.

— Skąd wie, że tu jesteśmy?

A stąd, myślał Ralf, stąd, stąd. Huk fal stał się bardzo daleki.

— Powiedzą mu na lotnisku.

Prosiaczek potrząsnął głową, włożył błyszczące szkła i spojrzał na Ralfa.

— Nie powiedzą. Nie słyszałeś, co mówił pilot? O bombie atomowej? Oni wszyscy nie żyją.

Ralf wygramolił się z wody i stojąc przed Prosiaczkiem rozważał ten niezwykły problem.

Prosiaczek nie ustępował.

— Jesteśmy na wyspie, tak?

— Wdrapałem się na skałę — rzekł Ralf powoli — i zdaje się, że to jest wyspa.

— Oni wszyscy nie żyją — powiedział Prosiaczek — i to jest wyspa. Nikt nie wie, że jesteśmy tutaj. Ani twój tata, ani nikt...

Usta mu zadrżały i okulary zaszyły mgłą.

— Zostaniemy tu do śmierci.

Na dźwięk tego słowa upał jakby jeszcze się powiększył i zaciążył na nich niebezpiecznie, a laguna nacierała swym oślepiającym blaskiem.

— Trzeba pójść po ubranie — mruknął Ralf. — Chodź.

Przebiegł po piasku pokonując napór słońca, poszedł na drugą stronę granitowej płyty i odszukał porozrzucane ubranie. Kiedy nałożył koszulę, zrobiło mu się przyjemniej. Wspiął się z powrotem na płytę i usiadł w zielonym cieniu na wygodnym pniu. Niosąc pod pachą ubranie Prosiaczek również wwindował się na płytę. Następnie

siadł ostrożnie na zwałonym pniu koło niewielkiej skały na skraju laguny. Okryła go plątanina drgających odblasków.

— Musimy poszukać reszty chłopców — rzekł po chwili. — Trzeba coś zrobić.

Ralf nie odezwał się. Był na wyspie koralowej. Ukryty w cieniu, ignorując złowróżbną paplaninę grubasa oddał się bez reszty rozkosznym marzeniom.

— Ilu nas jest?

Ralf podszedł i stanął koło niego.

— Nie wiem.

Pod oparami spiekoty na gładkiej tafli wody pęzały tu i ówdzie lekkie podmuchy. Gdy dobiegały do granitowej płyty, liście palm szeleściły, a rozmazane plamki słońca zsuwały się po nich w dół albo poruszały w cieniu niby jasne, skrzydlate stworzonka.

Prosiaczek patrzył na Ralfa. Wszystkie cienie na twarzy Ralfa były w odwróconym porządku — wyżej zielone, niżej jaśniejsze od blasku laguny. Po włosach pęzła plamka słońca.

— Trzeba coś zrobić.

Ralf jakby go nie widział. Oto wreszcie wymarzona, lecz nigdy dotąd nie napotkana kraina stała przed nim w pełni urzeczywistnienia. Zachwyt rozchylił usta Ralfa, a Prosiaczek wziął to za dowód uznania i aż zaśmiał się z zadowolenia.

— Jeżeli rzeczywiście jesteśmy na wyspie...

— Co to?

Ralf przestał się uśmiechać i stał pokazując ręką na lagunę. Wśród strzępiastych wodorostów leżało coś kremowego.

— Kamień.

— Nie. To muszla.

Nagle Prosiaczek aż zakipiał z podniecenia.

— Racja! To muszla! Widziałem już taką. Na murze u mojego kolegi. On mówił, że to koncha. Trąbił na niej i wtedy przychodziła jego mama. Taka koncha strasznie dużo kosztuje...

Tuż pod ręką Ralfa rósł pochylony nad laguną młody pęd palmy. Palemka, zgięta pod własnym ciężarem, wyważyła korzeniami bryłę ziemi i niebawem wpadłaby do wody. Ralf wyrwał pęd i zaczął nim gmerać w wodzie, a lśniące rybki rozpierzchły się na wszystkie strony. Prosiaczek schylił się niebezpiecznie.

— Ostrożnie! Rozbijesz...

— Zamknij się.

Ralf powiedział to z roztargnieniem. Muszla była zabawką ciekawą, śliczną i godną uwagi, ale wciąż między niego i Prosiaczka wciskały się żywe widma świata marzeń. Pęd giął się, ale posuwał muszlę poprzez wodorosty. Ralf przytrzymał go jedną ręką, a drugą zaczął naciskać jego koniec, aż muszla wynurzyła się ociekając wodą i Prosiaczek zdołał ją pochwycić.

Teraz, gdy muszla była czymś namacalnym, Ralf też stał się wyraźnie podniecony. Prosiaczek bełkotał:

— ...koncha, okropnie droga. Mogę się założyć, że gdybyś chciał ją kupić, musiałbyś zapłacić strasznie dużo... wisiała u niego w ogrodzie na murze, a moja ciocia...

Trochę wody pociekło na rękę Ralfa, gdy brał muszlę od Prosiaczka. Była kremowa, gdzieniegdzie w różowe plamki. Od uszkodzonego koniuszka, w którym znajdował się niewielki otwór, do różowych krawędzi jej wylotu łagodna spirala pokryta delikatnym wzorkiem miała długość około osiemnastu cali. Ralf wytrząsnął piach z głębokiej tuby.

— ...ryczała jak krowa — mówił Prosiaczek. — Miał także białe kamienie i klatkę z zieloną papugą. Te kamienie, oczywiście, nie trąbiły, i mówił...

Prosiaczek urwał dla nabrania tchu i pogłaskał lśniący przedmiot, który leżał w dłoniach Ralfa.

— Ralf!

Ralf podniósł głowę.

— Możemy przy jej pomocy zwołać innych. Zrobić zebranie. Jak usłyszą, przyjdą... Patrzył rozpromieniony na Ralfa.

— Tak właśnie myślałeś, prawda? Dlatego wyciągnąłeś ją z wody?

Ralf odgarnął z czoła jasne włosy.

— Jak ten twój przyjaciel na niej trąbił?

— Tak jakoś pluł — powiedział Prosiaczek. — Mnie ciocia nie pozwalała, bo ja mam astmę, ale on mówił, że się dmucha tu —dotknął dłonią wystającego odwłoku. — Spróbuj, Ralf. Wszyscy się zlecą.

Ralf z powątpiewaniem przytknął cieńszy koniec muszli do ust i dmuchnął. Z wylotu dobył się syk, ale nic więcej. Ralf otarł słoną wodę z ust i jeszcze raz spróbował, ale muszla wciąż milczała.

— Tak jakoś pluł.

Ralf ściągnął usta i dmuchnął w muszlę, z której wydobył się mrukliwy odgłos. Tak to chłopców rozbawiło, że Ralf dmuchał jeszcze kilka minut i obaj zanosili się ze śmiechu.

— On dmuchał stąd, gdzieś z dołu.

Ralf pojął wreszcie i dmuchnął w muszlę strumień powietrza. Zadźwięczała. Głęboki, szorstki ton zahuczał pod palmami, rozlał się w zakamarki lasu i wrócił echem odbitym od różowego granitu skały. Chmury ptaków wzbily się z wierzchołków drzew w powietrze, coś zakwiczało w leśnym poszyciu i umknęło.

Ralf odjął muszlę od ust.

— Jeju!

Głos jego zabrzmiał jak szept w porównaniu ze zgrzytliwym dźwiękiem konchy. Przyłożył konchę do ust, nabrał głęboko powietrza i jeszcze raz dmuchnął. Dźwięk zabrzmiał znowu, a potem skoczył o oktawę wyżej i grzmiał jeszcze donośniej niż przedtem. Prosiaczek wrzeszczał coś, twarz miał rozradowaną, w okularach igrało światło. Ptactwo krzyczało, wszystko, co żyje, pierzchało w popłochu. Oddech Ralfa osłabł, ton spadł o oktawę niżej, przeszedł w niski pomruk, syk powietrza.

Koncha — lśniący róg — milczała. Twarz Ralfa poczerwieniała z wysiłku, a w górze, nad wyspą, niosła się ptasia wrzawa, dźwięczało echo.

— Mogę się założyć, że słyhać na całe mile.

Ralf nabrał oddechu i zatrąbił kilkakrotnie.

Prosiaczek krzyknął:

— Jest jeden!

O jakieś kilkadziesiąt kroków od nich na wybrzeżu wśród palm ukazało się dziecko. Był to chłopczyk może sześćioletni, silny, jasnowłosy, w podartym ubranku, z buzią w lepkiej mazi owocowej. Spodnie opuszczone dla wiadomych celów zdążył wciągnąć tylko do połowy. Zeskoczył ze skarpy palmowej na plażę i spodnie opadły mu do kostek. Przeształ więc przez nie i podbiegł do granitowej płyty. Prosiaczek pomógł mu się wdrapać. Tymczasem Ralf trąbił dalej, póki w lesie nie rozległy się głosy.

Chłopczyk kucnął przed Ralfem i zadarłszy głowę patrzył na niego rozpromieniony. Gdy stwierdził, że zaczyna się coś dziać naprawdę, na jego twarzy odmalowało się zadowolenie i jego różowy kciuk, jedyny czysty palec, powędrował do buzi. Prosiaczek schylił się nad chłopczykiem.

— Jak ci na imię?

— Johnny.

Prosiaczek powtórzył imię na głos, a potem krzyknął do Ralfa, ale Ralf nie słuchał, bo wciąż jeszcze trąbił. Twarz miał aż szkarłatną z radości, że wznieca tak niebywały hałas, a serce mu łomotało pod koszulą. Krzyki w lesie były coraz bliższe.

Wkrótce na plaży dało się zauważyć ożywienie. Piasek wybrzeża, drżący pod mgiełką spiekoty, krył mnóstwo istot na całych milach swej długości. Po tym gorącym, tłumiącym kroki piachu zmierzały teraz ku granitowej płycie chmury chłopców. Niespodziewanie blisko wyszło z lasu troje nie większych od Johnny'ego dzieci, które się tam opychały owocami. Z gąszczu wynurzył się ciemnowłosy chłopczyk, niewiele młodszy od Prosiaczka, wyszedł na płytę i uśmiechnął wesoło do wszystkich. Coraz więcej i więcej ich przybywało.

Biorąc przykład z malutkiego Johnny'ego siadali na zwalonych pniach palmowych i czekali. Ralf bez ustanku dawał sygnały krótkim, donośnym trąbieniem. Prosiaczek krążył wśród dzieci pytając o imiona. Krzywił się przy tym usiłując je spamiętać. Dzieci darzyły go takim samym posłuszeństwem, z jakim odnosiły się do dorosłych z megafonami. Niektóre były całkiem nagie i niosły ubrania pod pachą, inne półnagie albo ubrane byle jak w szkolne ubranka, szare, granatowe, brązowe, marynarki albo swetry. Ich głowy stłoczyły się w zielonym cieniu palm; głowy ciemne, jasne, czarne, kasztanowate, płowe, mysie; głowy pomrukujące, szepczące, głowy pełne oczu wpatrzonych w Ralfa z rozwagą. Coś się wreszcie dzieje.

Dzieci, które przyszły brzegiem, pojedynczo lub parami, wpadały w pole widzenia, gdy wychodziły z mgiełki spiekoty bliżej granitowej płyty. Tu przyciągał oko najpierw czarny nietoperzowaty stwór drgający na piasku, a dopiero później postać wyrastająca ponad nim. Tym nietoperzem był skurczony w prostopadłych promieniach słońca cień u stóp dziecka. Jeszcze trąbiąc, Ralf zauważył ostatnich dwóch chłopców, którzy skoczyli ku granitowej płycie ponad drgającą plamą czerni. Chłopcy ci, krągłogłowi, z włosami jak pakuły, rzucili się na ziemię i leżeli dysząc z wyszczerzonymi do Ralfa zębami jak dwa psy. Byli bliźniakami i ich wesoła dwoistość wywoływała w oku patrzącego wstrząs i

niedowierzenie. Jednocześnie oddychali, jednocześnie się uśmiechali, byli klockowaci i pełni życia. Zadarli w górę do Ralfa wilgotne buzie, bo mieli jakby za skąpo skóry i wiecznie rozdziawione usta. Prosiaczek zbliżył do nich swoje błyskające okulary i w przerwach trąbienia słycać było, jak powtarza ich imiona:

— Sam, Eryk, Sam, Eryk.

W końcu pomieszało mu się, bliźniacy trzęśli głowami i wskazywali wzajem na siebie, a tłum się śmiał.

Wreszcie Ralf przestał trąbić i siedział z pochyloną głową i muszlą zwisającą w dłoni. Gdy zamarły echa wezwania, ustał także śmiech i zapanowała cisza.

W diamentowej mgiele plaży poruszało się niezdarnie coś ciemnego. Ralf spostrzegł to pierwszy i zaczął się wpatrywać z takim napięciem, że wszystkie oczy skierowały się w tamtą stronę. Potem ów stwór wyłonił się z mgły i wówczas okazało się, że to coś ciemnego nie było jedynie cieniem, lecz przede wszystkim ubraniem. Tym stworem była grupa chłopców maszerujących równo parami i ubranych w dziwnie ekscentryczne stroje. Szorty, koszule i inne części garderoby nieśli w rękach, ale każdy miał na głowie czarną kwadratową czapkę ze srebrnym znaczkiem. Okryci byli sięgającymi po pięty czarnymi pelerynami z długim srebrnym krzyżem przez pierś z lewej strony i kołnierzem wykończonym kryżą. Chłopiec, który im przewodził, ubrany był tak samo, ale na czapce miał znaczek złoty. Gdy jego grupa znalazła się niedaleko płyty granitu, rzucił rozkaz i chłopcy zatrzymali się zdyszani, złani potem, słaniając się w bezlitosnym słońcu. Przywódca wyszedł naprzód, wskoczył na płytę powiewając peleryną i zdumiony wytrzeszczył oczy.

— Gdzie ten pan z trąbką?

Ralf, domyślając się, że oślepiiony słońcem chłopiec nic nie widzi, odpowiedział:

— Tu nie ma żadnego pana z trąbką. Tylko ja.

Chłopiec podszedł bliżej i przyjrzał się Ralfowi wykrzywając przy tym twarz z wysiłku. Widok jasnowłosego chłopca z kremową muszlą na kolanach widocznie go nie zadowolił. Odwrócił się szybko z furkotem peleryny.

— Więc okręt nie przyplynał?

Powiewna peleryna okrywała postać długą, szczupłą i kościstą, a spod czarnej czapki wyglądały rude włosy. Twarz miał zmarszczoną i piegowaną, brzydką, ale

niegłupią. Z tej twarzy patrzyło dwoje niebieskich oczu, oczu teraz zawiedzionych i gniewnych lub na pograniczu gniewu.

— Nie ma nikogo starszego?

— Nie — odrzekł Ralf do jego pleców. — Robimy zebranie. Chodźcie do nas.

Grupa chłopców w pelerynach rozsypała się. Wysoki chłopiec krzyknął:

— Chór! Do szeregu!

Znużeni chórzyci posłusznie wrócili do szeregu i stali dalej w słońcu, słaniając się. Niektórzy jednak zaczęli słabo protestować:

— Ależ, Merridew. Słuchaj, Merridew... dlaczego nie możemy?...

Potem jeden z chłopców padł twarzą w piach i szereg się załamał. Podnieśli zemdlonego, dźwignęli na płytę i położyli w cieniu. Merridew patrzył na nich wytrzeszczonymi oczyma i wreszcie dał za wygraną.

— No, dobrze. Siadajcie. Zostawcie go w spokoju.

— Ale, Merridew...

— On zawsze udaje, że mdleje — rzekł Merridew. — W Gibraltarze i w Addis Abebie, i na jutrzniach przy kantorze.

Te ostatnie słowa wznieciły chichot wśród chórzystów, którzy pousiadali jak czarne ptaki na krzyżujących się pniach palmowych i z ciekawością patrzyli na Ralfa. Prosiaczek nie pytał ich o imiona. Onieśmiała go mundurowa wyższość i bezceremonialna władczość w głosie Merridewa. Schował się za Ralfa i przecierał okulary.

Merridew zwrócił się do Ralfa:

— Nie ma żadnych starszych?

— Nie.

Merridew siadł na pniu i spojrzał na otaczający go krąg.

— No to musimy sami myśleć o sobie.

Bezpieczny za plecami Ralfa Prosiaczek odezwał się lękliwie:

— Dlatego właśnie Ralf zrobił zebranie. Żebyśmy mogli postanowić, co robić. Znamy już imiona. To jest Johnny. Ci dwaj... oni są bliźniacy, Sam i Eryk. Który jest Eryk? Ty? Nie... ty jesteś Sam...

— Ja jestem Sam...

— A ja Eryk.

— Najlepiej dowiedzmy się, jak się wszyscy nazywają — rzekł Ralf — ja jestem Ralf.

— Większość imion już znamy — wtrącił Prosiaczek. — Właśnie się dowiedziałem.

— To dziecinada — powiedział Merridew. — Czemu ja miałbym być Jack? Ja jestem Merridew.

Ralf spojrział na niego bystro. To były słowa kogoś, kto wie, czego chce.

— A więc — ciągnął Prosiaczek — ten chłopiec jest... oj, zapomniałem...

— Za dużo gadasz — uciął Jack Merridew. — Zamknij się, Tłuściochu!

Podniósł się śmiech.

— On nie jest Tłuścioch — krzyknął Ralf — on się naprawdę nazywa Prosiaczek!

— Prosiaczek!

— Prosiaczek!

— Oooh, Prosiaczek!

Zerwał się huragan śmiechu, śmiały się nawet najmniejsze dzieci. W tym momencie chłopcy tworzyli ścisły krąg solidarności, który nie obejmował Prosiaczka. Ten bardzo poczerwieniał, pochylił głowę i zaczął przecierać okulary.

Wreszcie śmiech ucichł i wymieniano dalej imiona. Był więc Maurice, drugi po Jacku wśród chórzystów co do wzrostu, ale tęgi i stale uśmiechnięty. Był szczupły, nieśmiały chłopiec, którego nikt nie znał, a który trzymał się osobno, skryty, zamknięty w sobie. Wymamrotał, że się nazywa Roger, i znowu umilkł. Był Bill, Robert, Harold, Henry; a chórzysta, który zasłabł i siedział teraz oparty o pień palmy, uśmiechnął się blado do Ralfa i powiedział, że się nazywa Simon.

Następnie zabrał głos Jack:

— Musimy postanowić, co robić, żeby nas uratowano.

Powstała wrzawa. Jeden z maluchów, Henry, powiedział, że chce do domu.

— Zamknij się — rzekł Ralf w roztargnieniu. Podniósł do góry konchę. — Zdaje się, że potrzebujemy wodza, który będzie o wszystkim decydował.

— Wodza! Wodza!

— Ja powinienem być wodzem — powiedział Jack arogancko — bo śpiewam w chórze kapituły i jestem kierownikiem chłopców. Biorę czysto C.

Nowa wrzawa.

— No więc — rzekł Jack — ja...

Zawahał się. Ciemnowłosy Roger poruszył się i przemówił:

— Zróbmy głosowanie.

— Tak!

— Głosowanie na wodza!

— Głosujmy...

Ta zabawa w głosowanie była prawie tak przyjemna jak trąbienie na muszli. Jack zaczął protestować, ale wrzawa, która przedtem wyrażała ogólne pragnienie wodza, stała się teraz świadectwem, że wybór padł na Ralfa. Żaden z chłopców nie mógłby znaleźć dostatecznego uzasadnienia tego wyboru; cała inteligencja, jaką dotychczas przejawiono, była udziałem Prosiaczka, prawdziwym zaś przywódcą był Jack. Ale Ralf miał w sobie jakiś spokój, który go wyróżniał w grupie, kiedy siedział pośród nich, poza tym był duży, o miłym wyglądzie; a wreszcie czynnik najważniejszy, choć bardzo niepozorny: koncha. Ten, który na niej trąbił, a potem czekał na nich z muszlą na kolanach, był istotą wybraną.

— Ten z muszlą!

— Ralf! Ralf!

— Ten z trąbą niech będzie wodzem!

Ralf podniósł rękę, by się uciszyli.

— Dobra. Kto chce, żeby Jack był wodzem?

Z ponurym posłuszeństwem chór podniósł dłonie.

— Kto chce mnie?

Natychmiast wszyscy prócz chóru i Prosiaczka unieśli ręce. Potem, niechętnie, również Prosiaczek wyciągnął dłoń w górę.

Ralf zliczył głosy.

— No, to jestem wodzem.

Krąg chłopców rozbrzmiał oklaskami. Klaskał nawet chór, a piegi na twarzy Jacka pokrył rumieniec upokorzenia. Chłopiec wstał, ale rozmyślił się i siadł znowu wśród grzmotu oklasków. Ralf zwrócił się do niego chcąc mu osłodzić przegraną:

— Oczywiście, chór należy do ciebie.

— Mogą być armią...

— Albo myśliwymi...

— Mogą...

Rumieniec spelzł z twarzy Jacka. Ralf znowu nakazał ciszę.

— Jack jest kierownikiem chóru. Oni będą... czym oni mają być?

— Myśliwymi.

Jack i Ralf uśmiechnęli się do siebie z nieśmiałą sympatią. Reszta chłopców zaczęła rozprawiać z zapalem. Jack wstał.

— Chór, zdjąć togi.

Jakby po dzwonku w klasie chłopcy z chóru wstali, zaczęli rozmawiać i ściągnawszy czarne peleryny rzucili je na trawę. Jack położył swoją na pniu obok Ralfa. Jego szare szorty kleiły się do spoconego ciała. Ralf spojrział na nie z podziwem, a Jack dostrzegłszy to spojrzenie wytłumaczył się.

— Próbowałem wdrapać się na tamto wzgórze, żeby zobaczyć, czy jesteśmy otoczeni morzem. Ale twoja muszla zawróciła nas.

Ralf uśmiechnął się i podniósł muszlę w górę, żeby chłopcy uciszyli się.

— Posłuchajcie. Muszę mieć trochę czasu, żeby przemyśleć różne rzeczy. Nie mogę tak zaraz postanowić, co robić. Jeżeli to nie jest wyspa, możemy wkrótce znaleźć ratunek. Więc najpierw musimy się przekonać, czy to wyspa, czy nie. Tymczasem wszyscy muszą zostać tutaj, czekać i nie rozchodzić się. Trzech z nas — więcej nie, bo się pogubimy — trzech z nas pójdzie na wyprawę, żeby to zbadać. Pójdę ja, Jack i... i...

Przyjrzał się kręgowi chętnych twarzy. Nie mógł narzekać na brak wyboru.

— I Simon.

Chłopcy siedzący koło Simona zachichotali, a on wstał roześmiany. Teraz, kiedy osłabienie minęło, wyglądał na energicznego chłopaka spoglądającego spod strzechy prostych, opadających na czoło włosów, czarnych i szorstkich.

Kiwnął głową do Ralfa.

— Idę.

— I ja...

Jack wyrwał zza pasa sporą finkę i dźgnął nią pień palmy. Podniosła się wrzawa i zaraz umilkła. Prosiaczek poruszył się niespokojnie.

— Ja też idę.

Ralf odwrócił się do niego.

— Ty nie nadajesz się na tę wyprawę.

— Wszystko jedno...

— Nie jesteś nam potrzebny — oświadczył Jack stanowczo. — Trzech wystarczy.

Prosiaczkowe okulary błysnęły.

— Ja byłem z nim, jak znalazł konchę. Byłem z nim, zanim wyście przyszli.

Ale ani Jack, ani pozostali chłopcy nie zwracali na niego uwagi. Całe zgromadzenie poszło w rozsypkę. Ralf, Jack i Simon zeskoczyli z płyty i ruszyli piaszczystym wybrzeżem obok basenu. Prosiaczek wyrzekając włókł się za nimi.

— Jakby Simon szedł w środku między nami — rzekł Ralf — moglibyśmy swobodnie rozmawiać nad jego głową.

Trójka chłopców zaczęła maszerować w nogę. Znaczyło to, że Simon musiał raz po raz podwajać krok, żeby utrzymać tempo. Po pewnym czasie Ralf stanął i odwrócił się do Prosiaczka.

— Słuchaj.

Jack i Simon udali, że nic nie widzą. Szli dalej.

— Nie możesz iść.

Prosiaczkowi okulary znowu się zamgliły — tym razem z upokorzenia.

— Powiedziałeś im. Chociaż cię prosiłem.

Był zaczerwieniony, usta mu drżały.

— Chociaż mówiłem ci, że nie chcę...

— O czym ty, u licha, gadasz?

— Że mnie przezywają Prosiaczek. Powiedziałem ci, że mnie nazywali w szkole Prosiaczek, i prosiłem, żebyś im tego nie mówił, a ty od razu musiałeś wypaplać...

Zapadło milczenie. Ralf, spojrzawszy na Prosiaczka uważniej, pojął, że chłopiec czuł się urażony i zdruzgotany. Wahał się, czy obrać drogę przeprosin, czy dalszej obrazę.

— Lepiej nazywać się Prosiaczek niż Tłuscioch — rzekł wreszcie z całą prostotą, jaka przystoi prawdziwemu dowódcy — a w każdym razie przepraszam cię. Teraz wracaj, Prosiaczku, i wypytaj chłopców o imiona. To twoje zadanie. Do widzenia.

Odwrócił się i pognał za towarzyszami. Prosiaczek stał i rumieniec oburzenia z wolna zniknął z jego twarzy. Ruszył z powrotem ku granitowej płycie.

Trzej chłopcy szli rażno po piachu. Był odpływ i wzdłuż wody ciągnął się pas usłanej wodorostami plaży, twardej jak ubity trakt. Cała sceneria była pełna jakiegoś dziwnego uroku, którego oni byli świadomi i czuli się szczęśliwi. Śmiali się do siebie podnieceni, pytali i nie słuchali odpowiedzi. Ralf, czując potrzebę wyrażenia jakoś tego

wszystkiego, stanął na głowie i przewrócił się. Kiedy śmiech umilkł, Simon nieśmiało pogłaskał Ralfa po ramieniu i znowu wybuchnęli śmiechem.

— Chodźcie — rzekł Jack po chwili — jesteśmy badaczami.

— Dojdziemy do końca wyspy — rzekł Ralf — i zajrzemy za róg.

— Jeżeli to jest wyspa...

Teraz, u schyłku dnia, miraże zaczynały ustępować. Znaleźli koniec wyspy — całkiem realny, a nie pozbawiony wszelkiego kształtu i sensu jakąś magiczną sztuczką. Był tam galimatias kwadratowych brył z jednym wielkim blokiem skalnym, osadzonym w lagunie. Gnieździło się na nim ptactwo morskie.

— Jak lukier — rzekł Ralf — na różowym ciastku.

— Nie zajrzemy za róg — powiedział Jack — bo to wcale nie jest róg, tylko łagodny zakręt. Patrzcie, skały coraz gorsze...

Ralf osłonił ręką oczy i przebiegł wzrokiem poszarpaną linię skał biegnących ku górze. Ta część plaży leżała najbliżej góry.

— Spróbujemy wspiąć się tędy — rzekł. — Myślę, że to najłatwiejsza droga. Mniej krzaków, a więcej tych różowych skał. Chodźcie.

Trzej chłopcy zaczęli drapać się do góry. Wyrwane z posad jakąś nieznaną siłą skalne bloki leżały porozrzucane dokoła, piętrząc się jeden na drugim. Zwykle na różowej skale leżał ukośnie blok, a na nim inny i jeszcze inny, aż ta różowość wystrzelała wwyż skalnym kominem, przebijając się przez fantastyczne sploty leśnych pnączy. Tam, gdzie piętrzyły się różowe skały, były często wąskie ścieżki wijące się ku górze. Przeciskali się tymi ścieżynkami zatopieni w świecie roślinności, twarzami zwróceni ku skale.

— Kto zrobił tę ścieżkę?

Jack zatrzymał się ocierając pot z twarzy. Ralf stał przy nim, ciężko dysząc.

— Ludzie?

Jack potrząsnął głową.

— Zwierzęta.

Ralf zajrzał w mrok pod drzewami. Las wibrował ledwie dostrzegalnie.

— Naprzód.

Trudność sprawiało nie strome podejście obok występów skalnych, ale przedzieranie się od jednej ścieżki do drugiej przez gęste poszycie. Tutaj korzenie i

łodygi pnączy stanowiły taką gmatwaninę, że chłopcy musieli przewlekać się przez nie jak giętkie igły. Za drogowskaz, prócz brunatnej ziemi i przebłysków światła przez listowie, służyło im tylko ukształtowanie zbocza — czy jedno zagłębienie, oplecione sznurami pnączy, jest wyżej położone od drugiego.

W ten sposób brnęli jakoś naprzód.

Unieruchomiony w takich splotach, w jednym z najtrudniejszych odcinków wspinaczki, Ralf zwrócił na towarzyszy błyszczące oczy.

— Ale klawo.

— Fajowo.

— Fajniście.

Trudno powiedzieć, co stanowiło przyczynę ich zachwytu. Wszyscy trzej byli spoceni, brudni, zmęczeni. Pnącza, grube jak ich uda, tworzyły zwartą ścianę, w której widniały tylko czarne otwory tuneli. Ralf krzyknął w jeden z nich na próbę i chwilę nasłuchiwali stłumionych ech.

— To jest prawdziwa wyprawa badawcza — rzekł Jack — Założę się, że nikt tu jeszcze przed nami nie był.

— Powinniśmy narysować mapę — powiedział Ralf — ale nie mamy papieru.

— Moglibyśmy robić nacięcia na korze — zaproponował Simon — a później wetrzeć w nie coś czarnego.

Znów nastąpiła uroczysta wymiana błyszczących spojrzeń w mroku.

— Ale klawo.

— Fajniście.

Nie było gdzie stanąć na głowie. Tym razem Ralf wyraził nadmiar uczuć udając, że chce powalić Simona na ziemię; wkrótce powstał kłęb kotłujących się radośnie ciał.

Kiedy kłęb się rozpadł, Ralf podniósł się pierwszy.

— Trzeba iść dalej.

Różowy granit następnej skały był oddalony od pnączy i drzew, mogli więc raźniej posuwać się w górę. Weszli potem w rzadziej rosnący las, tak że widzieli przebłysk rozpościerającego się za nim morza. Wraz z przeredzeniem się lasu przyszło słońce; wysuszyło pot, którym nasiąkły ich ubrania w mrocznym, wilgotnym upale. W końcu droga na wierzchołek góry zmieniła się we wspinaczkę po różowych skałach, już bez

konieczności nurzania się w gąszczach. Chłopcy udali się tą drogą przez wąwozy i piargi, pełne ostrych kamieni.

— Patrzcie! Patrzcie!

Strzaskane skały wznosiły wysoko nad wyspę swoje iglice i kominy. Ten, o który oparł się Jack, poruszył się ze zgrzytem, gdy go popchnęli.

— Chodźcie...

Ale nie na wierzchołek góry. Atak na wierzchołek musi poczekać, póki chłopcy się nie uporają z tą nową pokusą. Skała była wielkości niedużego samochodu.

— Heeej, hop!

Rozkołysać w przód i w tył, złapać rytm.

— Heeej, hop!

Wprawić w silniejsze kołysanie, jeszcze, jeszcze, doskoczyć i wypchnąć za punkt równowagi... jeszcze... jeszcze...

— Heej, hop!

Wielka skała ważyła się chwilę na krawędzi, postanowiła już nie wracać, poruszyła się, upadła, przetoczyła, wywinęła kozła i runęła z hukiem w dół wybijając wielką dziurę w baldachimie lasu. W powietrze wzbily się echa i ptactwo, uniósł się biało-różowy pył, las w dole zadygotał jak od kroków rozwścieczonego potwora — i wyspa znów zrobiła się cicha.

— Ale klawo!

— Jak bomba!

— Łuuup!

Minęło dobrych kilka minut, zanim zdołali się oderwać od tego sukcesu. Ruszyli jednak dalej.

Droga na wierzchołek góry była stąd już łatwa. Gdy doszli do ostatniej pochyłości, Ralf zatrzymał się.

— Rany!

Stali na skraju kotliny, a raczej kotlinki. Wypełniały ją niebieskie kwiaty jakiejś skalnej rośliny; powódź kwiatów wylewała się z kotlinki, opadała jak wodospad na korony drzew gdzieś w dole. W powietrzu roilo się od motyli, które wlatywały, trzepocząc skrzydełkami, i osiadały.

Za kotlinką widniał kanciasty wierzchołek góry i wkrótce stanęli na nim.

Odgadli już przedtem, że są na wyspie: wspinając się wśród różowych skał, mając po obu stronach morze i kryształowe bezmiary powietrza, wiedzieli instynktownie, że zewsząd otacza ich woda. Uznali jednak za stosowniejsze wstrzymać się z ostatnim słowem aż do chwili, gdy staną na wierzchołku i ujrzą kolisty horyzont wody.

Ralf zwrócił się do towarzyszy:

— Cała nasza!

Trochę przypominała okręt. Z tyłu, za plecami, mieli ostre, trudne zejście ku brzegowi. Po obu stronach były skały, urwiska, wierzchołki drzew i strome zbocza — w przedzie, jakby ku dziobowi, zejście łagodniejsze, porośnięte drzewami, prześwitujące tu i ówdzie różowością — dalej pokryta dżunglą płaskość wyspy, ciemnozielona, ale wyprowadzona przy końcu w różowy cypelek. I właśnie tam, gdzie jej kraniec ginął w morzu, była jakby inna wyspa; odosobniona skała, niczym fort, zwrócona ku nim ponad zielonością śmiałym różowym bastionem.

Chłopcy przyjrzeni się uważnie, po czym skierowali wzrok ku morzu. Stali wysoko i było już po południu, toteż miraż nie ograbiała widoku z ostrości.

— To rafa. Rafa koralowa. Widziałem takie na obrazkach.

Rafa, leżąca może o milę od wyspy i równoległa do plaży, którą nazywali w myślach swoją, obejmowała większą część brzegu. Koral znaczył się na wodzie wstęgą białej piany, jakby jakiś olbrzym schylił się na chwilę, aby płynnym pociągnięciem kredy odtworzyć kształt wyspy, ale znudzony, zaprzestał tej zabawy. Woda wewnątrz rafy była niebieska i dostrzegali w niej skały i wodorosty jak w akwarium; na zewnątrz granatowiło się morze. Był przypływ, od rafy biegły długie pasma piany i na chwilę ulegli złudzeniu, że płyną okrętem.

Jack wskazał w dół.

— Tam wylądowaliśmy.

Za uskokami i urwiskami góry widniała szrama w powierzchni lasu — strzaskane pnie i bruzda dochodząca aż do grzywki palm na brzegu morza. Tam też leżała wpuszczona w lagunę granitowa płyta, koło niej zaś malutkie jak mrówki ruchome figurki.

Ralf wytyczył wzrokiem krętą linię od nagiego wierzchołka, na którym stali, poprzez zbocze, żleb, kwiaty, do skały, gdzie zaczynała się bruzda.

— Tędy zejdziemy najszybciej.

Z pałającymi oczyma, otwartymi ustami, tryumfujący, delektowali się poczuciem władzy. Byli szczęśliwi — byli przyjaciółmi.

— Nie widać żadnych dymów, żadnych łodzi — zauważył roztropnie Ralf. — Później się jeszcze upewnimy, ale sądzę, że jest nie zamieszкана.

— Będziemy zdobywali pożywienie! — wykrzykiwał Jack. — Będziemy polowali! Zastawiali sidła... póki nas stąd nie zabiorą.

Simon patrzył na nich obu nic nie mówiąc, tylko potrząsał czarną czupryną; twarz mu promieniała.

Ralf spojrział w drugą stronę, gdzie nie było rafy.

— Tutaj stromiej — rzekł Jack.

Ralf zrobił miseczkę z dłoni.

— Ten kawałeczek lasu w dole... zupełnie jakby siedział we wgłębieniu zbocza.

W każdym załomie góry rosły drzewa — drzewa i kwiaty. Las poruszył się, zaszumiał, zachwiał. Pobliskie pólka skalnych kwiatów zdrząły i przez chwilę orzeźwiający powiew chłodził im twarze.

Ralf wyciągnął ramiona.

— Wszystko to nasze.

Śmiali się, skakali, pokrzykiwali z radości.

— Jeść mi się chce.

Ledwie Simon o tym wspomniał, Ralf i Jack też poczuli się głodni.

— Chodźcie — rzekł Ralf. — Wiemy już, co chcieliśmy wiedzieć.

Zsunęli się ze skalnej pochyłości, skoczyli w kwiaty i weszli między drzewa. Tutaj zatrzymali się i zaczęli ciekawie przyglądać się krzakom.

Simon przemówił pierwszy:

— Jak świece. Krzaki świecznikowe. Świecowe pąki.

Były to wieczniezielone krzaki, ciemne i aromatyczne, a liczne ich pąki miały barwę woskowej zieleni i zamykały się przy świetle dnia. Jack ściął jeden z nich nożem i w powietrzu zapachniało.

— Świecowe pąki.

— Nie palą się — powiedział Ralf. — Tylko wyglądają jak świece.

— Zielone świece! — rzekł Jack z pogardą. — Nie będziemy ich jedli. Chodźcie...

Dobrnęli właśnie do gęstego lasu, wlokąc się na zmęczonych nogach, gdy usłyszeli jakiś hałas — kwik i twarde uderzenia raciczek o ziemię. Kiedy przedarli się bliżej, kwik stał się głośniejszy i wreszcie przeszedł w przeraźliwy pisk. Znaleźli prosię zaplątane w gąszczu pnączy, miotające się w tych elastycznych więzach w stanie najwyższego przerażenia. Kwik był cieniutki, ostry, natarczywy. Trzej chłopcy skoczyli naprzód i Jack zawadiacko wyrwał z pochwy nóż. Uniósł ramię w górę. Nastąpiła pauza, luka, prosiak dalej kwiczał, pnącza podrygiwały, a nóż wciąż błyszczał w znieruchomiałej kościstej ręce. Pauza ta trwała zaledwie tyle, by chłopcy zrozumieli, jak potworny byłby ten cios. Nagle prosię wyrwało się ze splotów pnączy i znikło w poszyciu lasu. Chłopcy zostali spoglądając na siebie i na miejsce grozy. Twarz Jacka była pod piegami. Spostrzegł, że ciągle trzyma we wzniesionej dłoni nóż, i wsunął go do pochwy. Wówczas wszyscy trzej zaśmiali się jakoś wstydliwie i wrócili na ścieżkę.

— Wybierałem miejsce — tłumaczył się Jack — czekałem na odpowiednią chwilę, żeby go dźgnąć.

— Należało go zakłuć — rzekł Ralf zapalczywie. — Zawsze się mówi o kluciu świń.

— Świni przerysna się gardło, żeby spuścić krew — powiedział Jack. — Inaczej nie można jeść mięsa.

— Czemu go nie...

Wiedzieli doskonale czemu — bo wstrzymała go okropność tego czynu — bo widok noża przesywającego żywe ciało i widok krwi byłby nie do zniesienia.

— Właśnie chciałem — tłumaczył się Jack. Szedł przodem, więc nie mogli widzieć jego twarzy. — Wybierałem miejsce. Na przyszły raz!...

Wyrwał z pochwy nóż i wbił go w pień drzewa. Na przyszłość nie będzie miał litości. Spojrzał na nich groźnym wzrokiem, czy któryś nie próbuje mu zaprzeczyć. Potem wyszli w słońce i przedzierając się przez pas zdruzgotanej roślinności w stronę granitowej płyty, zajęli się wyszukiwaniem i łapczywym pochłanianiem owoców.

Ogień na wierzchołku góry

W chwili gdy Ralf przestał dąć w konchę, na granitowej płycie zrobiło się tłoczno. Zebranie to różniło się nieco od porannego spotkania. Popołudniowe słońce rzucało

ukośne promienie z innej strony granitowej płyty i większość dzieci, odczuwszy zbyt późno piekący ból opalenizny, była w ubraniach. Chór, tworzący już mniej zwartą grupę, wyzbył się swoich peleryn.

Ralf usiadł bokiem do słońca na zwałonym pniu. Po prawej ręce miał większą część chóru, po lewej starszych chłopców, którzy nie znali się przed ewakuacją; przed nim, na trawie, siedziały w kucki małe dzieci.

Uciszyło się. Ralf położył muszlę na kolanach i w tej samej chwili nagły powiew wiatru zasypał płytę plamkami słońca. Ralf nie wiedział, czy ma wstać, czy mówić na siedząco. Spojrzał ukosem w lewo, w stronę basenu. Obok siedział Prosiaczek, lecz nie pośpieszył mu z pomocą.

Ralf chrząknął.

— Słuchajcie.

Nagle nabrał pewności, że potrafi mówić płynnie i jasno wyrażać to, co ma do powiedzenia. Przeciągnął ręką po płowej czuprynie i zaczął:

— Jesteśmy na wyspie. Byliśmy na szczycie góry i widzieliśmy dokoła wodę. Nie zauważyliśmy tu żadnych chat, żadnych dymów, żadnych śladów, żadnych łodzi, żadnych ludzi. Jesteśmy na nie zamieszkaney wyspie i prócz nas nie ma tu nikogo.

Teraz wtrącił się Jack:

— Ale wojsko wszystko jedno jest potrzebne... do polowania. Do polowania na świnię...

— Tak. Na wyspie są świnię.

Wszyscy trzej zaczęli jednocześnie mówić o różowym stworzeniu szamocącym się w gęstwinie pnączy.

— Widzieliśmy...

— Kwiczał...

— Wyrwał się...

— Zanim zdążyłem go zabić, ale... na przyszły raz!

Jack dźgnął palmę i rzucił dokoła wyzywające spojrzenie.

Zgromadzenie uspokoiło się znowu.

— Teraz rozumiecie — rzekł Ralf — że potrzeba nam myśliwych, żeby zdobywali mięso. I jeszcze jedno.

Uniósł leżącą na kolanach muszlę i rozejrzał się po spalonych słońcem twarzach.

— Nie ma dorosłych. Musimy sami zadbać o siebie.

Zgromadzenie zaszemrało i umilkło.

— I jeszcze jedno. Nie możemy mówić wszyscy jednocześnie. Kto chce coś powiedzieć, musi podnieść rękę, tak jak w szkole.

Uniósł konchę do twarzy i spojrzał zza jej wylotu.

— Wtedy dam mu konchę.

— Konchę?

— Tak się nazywa ta muszla. Dam tę muszlę temu, kto po mnie zabierze głos. Musi ją trzymać, kiedy będzie mówił.

— Ale...

— Słuchajcie...

— I nikt mu nie będzie mógł przerwać, tylko ja. Jack zerwał się na równe nogi.

— Ustanowimy prawa! — krzyknął w podnieceniu. — Mnóstwo różnych praw! A jeżeli ktoś je złamie, to...

— Uuuch!

— Rany!

— Bach!

— Łubudu!

Ralf poczuł, jak ktoś bierze konchę z jego kolan. Kiedy chłopcy zobaczyli, że Prosiaczek stoi kołysząc wielką kremową muszlą w dłoniach, krzyki ucichły. Jack, który ciągle jeszcze stał, spojrzał niepewnie na Ralfa, a ten uśmiechnął się i klepnął ręką kłodę obok siebie. Jack usiadł. Prosiaczek zdjął okulary i mrugając powiekami zaczął wycierać szklą o koszulę.

— Przeszkadzacie Ralfowi. Nie dajecie mu dojść do najważniejszej rzeczy. Zrobił efektowną pauzę.

— A kto wie, że tu jesteśmy? He?

— Ci ludzie z lotniska.

— Ten pan z tą jakby trąbką...

— Mój tata.

Prosiaczek włożył okulary.

— Nikt nie wie, gdzie jesteśmy — rzekł. Był jeszcze bledszy niż poprzednio i z trudem chwycił oddech. — Może wiedzieli, dokąd lecimy. Ale nie wiedzą, gdzie jesteśmy,

bośmy tam nie dolecieli. — Patrzył na nich z otwartymi ustami, a potem zachwiał się i usiadł. Ralf wziął od niego konchę.

— Właśnie to chciałem powiedzieć, kiedy zaczęliście... — patrzył w ich uważne twarze. — Samolot spadł w płomieniach, zestrzelony. Nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Może będziemy tu długo...

Cisza była taka, że słyszeli świszczący oddech Prosiaczka. Słońce zniżyło się i okryło złotem połowę granitowej płyty. Powiewy, które kręciły się na lagunie jak kocięta za własnym ogonem, przemykały ponad płytą w las. Ralf odgarnął z czoła zmierzwioną czuprynę.

— Więc może jeszcze długo tu będziemy...

Nikt nie odezwał się ani słowem. Nagle Ralf uśmiechnął się.

— Ale to jest dobra wyspa. My — Jack, Simon i ja — byliśmy na szczycie góry. Fantastyczna wyspa. Jest jedzenie i woda do picia, i...

— Skały...

— Niebieskie kwiaty...

Prosiaczek, który już trochę przyszedł do siebie, wskazał na konchę w dłoniach Ralfa i Jack z Simonem umilkli. Ralf mówił dalej:

— Tymczasem, póki po nas nie przyjadą, możemy się pobawić.

Zamachał gwałtownie rękami.

— To jak w tej książce.

Natychmiast zerwała się wrzawa.

— Wyspa Skarbów...

— Wyspa Koralowa.

Ralf zamachał konchą.

— To jest nasza wyspa. Wspaniała wyspa. Będziemy sobie używali, póki dorośli po nas nie przyjadą.

Jack sięgnął po konchę.

— Tu są świny — rzekł. — Mamy co jeść i jest woda do kąpieli w tamtej rzeczce... i wszystko. Czy ktoś znalazł coś jeszcze?

Oddał konchę Ralfowi i usiadł. Widocznie nic więcej nie znaleziono.

Starsi chłopcy zwrócili teraz uwagę na malucha, którego kilku malców pchało do przodu, lecz on się opierał. Był to mały brzdąc, mniej więcej sześciolatek, i miał na

policzku znamię koloru morwy. Stał teraz skulony w samym centrum ogólnej uwagi i palcem u nogi wiercił dziurę w trawie. Bąkał coś i był bliski płaczu.

Inni malcy, szepcząc mu coś z przejęciem, popychali go w stronę Ralfa.

— No dobra — powiedział Ralf — chodź.

Maluch rozejrzył się z przerażeniem.

— Gadaj!

Chłopczyk wyciągnął rączki po konchę, a całe zgromadzenie buchnęło śmiechem. Cofnął więc gwałtownym ruchem dłonie i rozplakał się.

— Dać mu konchę! — krzyknął Prosiaczek. — Dać mu ją!

W końcu Ralf zdołał skłonić go, żeby wziął muszlę, ale wybuch śmiechu odebrał dziecku mowę. Prosiaczek ukląkł przy nim i trzymając rękę na ogromnej muszli słuchał i przekazywał jego słowa całemu zgromadzeniu.

— On chce wiedzieć, co zrobicie z wężyskiem.

Ralf zaśmiał się, a inni mu zawtórowali. Maluch jeszcze bardziej zamknął się w sobie.

— Powiedz nam o tym wężysku.

— Teraz mówi, że to był zwierz.

— Zwierz?

— Wąż. Strasznie wielki. On go widział.

— Gdzie?

— W lesie.

Wędrownie podmuchy, a może mniejszy kąt padania słońca sprawił, że pod drzewami zrobiło się chłodniej. Chłopcy poruszyli się niespokojnie.

— Na takiej małej wyspie nie może być żadnego zwierza, wężyska — wyjaśnił Ralf spokojnie. — One bywają tylko w dużych krajach, jak India albo Afryka.

Szmer i poważne skinienia głów.

— Mówi, że zwierz przyszedł po ciemku.

— No to jak mógł go zobaczyć?

Śmiech i oklaski.

— Słyszeliście? Mówi, że widział to coś po ciemku...

— Mówi, że naprawdę widział tego zwierza. Przyszedł i zniknął, a potem znowu wrócił i chciał go zjeść...

— Śniło mu się.

Śmiejąc się Ralf szukał w kręgu twarzy potwierdzenia. Starsi chłopcy zgadzali się z nim, ale u maluchów wyczuwał niepewność, która wymagała czegoś więcej niż odwoływania się do rozsądku.

— Na pewno miał koszmarne sny. Po błędzeniu wśród tych wszystkich pnączy...

Znowu poważne potakiwania, wiedzieli dobrze, co to koszmarne sny.

— Mówi, że widział tego zwierza, tego węża, i pyta, czy dziś w nocy też przyjdzie?

— Ale przecież żadnego zwierza nie ma!

— Mówi, że rano zamienił się w sznury na drzewach i zawisł wśród gałęzi. Pyta, czy dziś w nocy także przyjdzie?

— Ale przecież nie ma żadnego zwierza!

Tym razem nikt się nie roześmiał i więcej twarzy przybrało wyraz wyczekującej powagi. Ralf przejechał rękami po czuprynie i spojrzał na malucha z mieszaniną gniewu i rozbawienia.

Jack chwycił konchę.

— Ralf ma, oczywiście, rację. Żadnego węża tu nie ma. A gdyby był, to byśmy go zabili. Zapolujemy na świnie i będzie mięso dla wszystkich. I poszukamy węża...

— Ale nie ma przecież żadnego węża!

— Upewnimy się, jak będziemy polowali.

Ralf rozgniewał się i przez chwilę poczuł się bezradny. Stał wobec czegoś nieuchwytnego. W oczach, które z takim przejęciem patrzyły na niego, była powaga.

— Nie ma żadnego zwierza!

Coś, czego istnienia dotychczas nie podejrzewał, wezbrało w nim i zmusiło go do zapewnienia po raz wtóry:

— Mówię wam, że nie ma żadnego zwierza!

Zgromadzenie milczało.

Ralf znowu uniósł konchę i na myśl o tym, co teraz powie, powrócił mu humor.

— Przechodzimy teraz do najważniejszego. Długo myślałem. Myślałem, kiedy wspinaliśmy się na tę górę. — Uśmiechnął się konspiracyjnie do towarzyszy wyprawy. — I przed chwilą na plaży. O tym myślałem. Chcemy się bawić. I chcemy, żeby nas uratowano.

Gwałtowny hałas, jakim zgromadzenie wyraziło swoją aprobatę, uderzył go jak fala i Ralf zgubił wątek. Zebrał ponownie myśli.

— Chcemy być uratowani i, oczywiście, będziemy.

Zaszemrały głosy. To proste stwierdzenie, nie poparte żadnym konkretnym dowodem, tylko nowo zrodzonym autorytetem Ralfa, wzniciło radość. Musiał pomachać konchą, żeby słuchali go dalej.

— Mój ojciec jest marynarzem. Mówił mi, że na świecie nie ma już nieznanych wysp. Mówił, że Królowa ma u siebie wielką salę pełną map, a na tych mapach są wyrysowane wszystkie wyspy świata. Więc na pewno u Królowej jest też mapa i tej wyspy.

Znowu chłopcy wyrazili okrzykami radość i nadzieję.

— Prędzej czy później przyplynie po nas statek. Może nawet statek mojego taty. A więc widzicie, prędzej czy później będziemy uratowani.

Przerwał, skończywszy swój wywód. Jego słowa wzbudziły w chłopcach poczucie bezpieczeństwa. Lubili go teraz i poważali. Zaczęli klaskać spontanicznie, granitowa płyta grzmiała brawami. Ralf zaczerwienił się, spojrzął z ukosa na jawny zachwyt Prosiaczka, a potem w drugą stronę, na Jacka, który uśmiechał się głupawo i też klaskał.

Ralf pomachał konchą.

— Cisza! Czekajcie! Słuchajcie!

W zapadłym nagle milczeniu zaczął mówić dalej:

— Jeszcze jedna rzecz. Możemy im pomóc, żeby nas znaleźli. Jeżeli jakiś statek będzie płynął koło wyspy, może nas nie zauważyć. Więc powinien być dym na szczycie góry. Musimy rozpalić ognisko.

— Ognisko! Palimy ognisko!

Połowa chłopców zerwała się z miejsc. Jack wrzeszczał najgłośniej. Nikt nie zważał na konchę.

— Idziemy! Za mną!

Pod palmami zaroilo się, zawrzało. Ralf też stał i krzyczał o spokój, lecz nikt go nie słyszał. Cały tłum natychmiast pociągnął w głąb wyspy i znikł za Jackiem. Poszły nawet najmniejsze szkraby gramoląc się przez gąszcza i połamane gałęzie. Jeden Prosiaczek nie opuścił Ralfa, który stał trzymając konchę w dłoni.

Prosiaczek odzyskał już całkowicie oddech.

— Dzieciarnia! — powiedział z pogardą. — Banda dzieciaków!

Ralf spojrział na niego niezdecydowanie i położył konchę na pniu drzewa.

— Dam głowę, że już po podwieczorku — rzekł Prosiaczek. — Co oni mogą teraz zrobić na tej górze?

Gładził muszlę z szacunkiem. Nagle przestał i podniósł głowę.

— Ralf! Hej, Ralf! Dokąd idziesz?

Ralf już gramolił się przez pierwsze kłębowisko strzaskanej zieleni. Daleko przed nim rozlegał się łoskot i śmiechy.

Prosiaczek patrzył na niego z oburzeniem.

— Dzieciarnia...

Westchnął, pochylił się i zawiązał sznurowadła butów. Hałas pochodzący z ucichł gdzieś na stoku góry. Potem, z wyrazem udręki na twarzy, jak ojciec, który musi dotrzymać kroku niepohamowanemu zapałowi dzieci, wziął konchę, ruszył w stronę lasu i zaczął się przedzierać przez pas zdruzgotanej zieleni.

Pod szczytem, z drugiej strony góry, był skrawek lasu.

— Tam na dole możemy mieć drzewa, ile tylko chcemy.

Jack skinął głową i zaczął skubać wargę. Skrawek lasu, który zaczynał się może jakieś sto stóp pod nimi po bardzo stromej stronie góry, jakby rósł tu specjalnie, aby dostarczać opału. Drzewa pędzone do góry wilgotnym gorącym miały za mało gleby, by w pełni się rozwinąć, toteż padały wcześniej i gniły w kołyskach pnączy, a młode pędy szukały znowu drogi wznwyż.

Jack zwrócił się do chóru, który stał w pogotowiu. Chłopcy swoje czarne czapki zsunęli na ucho jak berety.

— Ułożymy stos. Za mną.

Znaleźli coś w rodzaju ścieżki w dół i tędy postanowili ściągać uschłe drzewo. Malcy, którzy teraz wdrapali się na szczyt, zaczęli też zsuwać się w dół; pracowali wszyscy prócz Prosiaczka. Drzewo przeważnie było tak przegniłe, że gdy ściągano kłodę, rozsypywała się na kawałki w chmurze stonóg i próchna; niektóre jednak pnie udało się wyciągnąć całe. Bliźniacy, Sam i Eryk, pierwsi znaleźli uschniętą kłodę, ale nie mogli sobie poradzić, póki Ralf, Jack, Simon, Roger i Maurice nie znaleźli podejścia. Potem cała grupa wwindowała groteskowy kształt na skały i złożyli na szczycie. Każda grupka

chłopców dokładała swoją zdobycz i stos rósł. Za drugim nawrotem Ralf znalazł się sam na sam z Jackiem przy jakimś konarze i uśmiechnęli się do siebie, dźwigając wspólny ciężar. Znowu w podmuchu wiatru, wśród krzyków, w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca na wysokiej górze padł na nich ów czar, ten dziwny, niewidoczny blask przyjaźni, radości i przygody.

— Trochę za ciężki.

Jack uśmiechnął się.

— Ale nie dla nas dwóch.

Złączeni wspólnym wysiłkiem, potykając się, razem przeszli ostatni odcinek stromizny. Razem wyśpiewali: "Raz! Dwa! Trzy!" i cisnęli kłodę z łoskotem na olbrzymi stos. Potem odstępili na bok śmiejąc się w takim uniesieniu, że aż Ralf musiał stanąć na głowie. Na dole chłopcy wciąż się mozolili, chociaż niektórzy malcy stracili już zapał i zaczęli szukać w tym nowym lesie owoców. Wkrótce bliźniacy, wykazując zaskakującą pojętność, weszli na górę z naręczami suchych liści i zwalili je przy stosie. Jeden za drugim, czując, że stos jest na ukończeniu, chłopcy przestawali schodzić na dół i gromadzili się na różowym skalnym wierzchołku. Oddech się uspokajał, obsychał pot.

Gdy reszta dzieci zaczęła się do nich schodzić, Ralf i Jack spojrzeli na siebie. Narastała w nich świadomość, której się wstydzili, i nie wiedzieli, jak zacząć wyznanie.

Ralf zaczął pierwszy, szkarłatny na twarzy.

— Czy ty?... — Odchrząknął: — Ty zapalisz ogień?

Teraz, gdy absurdalność sytuacji stała się jawna, Jack również poczerwieniał. Zaczął mamrotać niejasno:

— Bierze się dwa patyki i trzy. Trze się...

Spojrzał na Ralfa, który ostatecznie wyznał swoją nieudolność.

— Czy ma kto zapałki?

— Robi się łuk i obraca się szybko strzałę — rzekł Roger. Potarł w mimicznym geście jedną rękę o drugą. — Pss. Pss.

Nad wierzchołkiem przemknął lekki powiew. Wraz z tym powiewem nadszedł Prosiaczek, w szortach i koszuli, z trudem wyplątując się z gęstwiny leśnej, a w szklach jego okularów odbijało się wieczorne słońce. Pod pachą niósł konchę.

Ralf krzyknął w jego stronę:

— Prosiaczek! Masz zapałki?

Inni podjęli ten okrzyk, aż zagrzmiała cała góra. Prosiaczek potrząsnął głową przecząco i zbliżył się do stosu.

— Jeju! Ale kupa drzewa!

Nagle Jack wyciągnął rękę.

— Okulary... będzie z nich szkło powiększające!

Prosiaczek został otoczony, zanim zdążył umknąć.

— Zaraz... puśćcie mnie! — głos jego przeszedł w okrzyk zgrozy, gdy Jack zerwał mu z twarzy okulary. — Uważaj! Oddaj moje szkła! Nic bez nich nie widzę! Rozbijecie konchę!

Ralf odepchnął go łokciem i ukląkł przy stosie.

— Odsłońcie!

Chłopcy zaczęli się popychać, szarpać, gorliwie napominać. Ralf przesuwiał szkła to w przód, to w tył, to w jedną, to w drugą stronę, aż lśniący biały obraz zachodzącego słońca legł na kawałku spróchniałego drewna. Niemal w tej samej chwili podniosła się wąziutka strużka dymu i zadrapało go w gardle, aż kaszlnął. Jack ukląkł również i zaczął lekko dmuchać rozpraszając gęstniejący dymek. Ukazał się nikły ogieniek. Początkowo niemal niewidoczny w jasnym słońcu płomyk liznął cienki patyczek, wzrósł, nabrał barwy i sięgnął wyżej do gałęzi, która eksplodowała z ostrym trzaskiem. Ogień pobiegł w górę i chłopcy zaczęli wiwatować.

— Moje szkła! — wył Prosiaczek. — Oddajcie moje szkła!

Ralf odszedł od ogniska i wsunął mu okulary w wyciągnięte dłonie. Głos Prosiaczka zmienił się teraz w pomruk:

— Rozmazane plamy i nic więcej. Ledwie widzę własną rękę.

Chłopcy tańczyli. Drzewo było spróchniałe, suche jak pieprz i całe konary uległy poddawały się żółtym płomieniom, które biegły w górę tworząc snop ognia sięgający na dwadzieścia stóp. Daleko od ogniska bił potężny żar, a drogę powiewu znaczyła rzeka iskier. Kłody rozsypywały się w biały pył.

Ralf krzyczał:

— Więcej drzewa! Wszyscy po drzewo!

Życie stało się wyścigiem z ogniem i chłopcy rozbiegli się po górnej części lasu. Szło o utrzymanie łopocącej flagi ognia na wierzchołku góry i o niczym więcej nikt nie myślał. Nawet najmniejsi, jeśli pragnienie owoców nie było od nich silniejsze, przynosili

kawałeczki drzewa i ciskali je w płomienie. Powiew stał się trochę żywszy i zmienił się w lekki wiaterek, tak że wyraźnie dawało się teraz odróżnić stronę nawietrzną od zawietrznej. Z jednej strony było chłodnawo, z drugiej potężne ramię ognia siekło srogim żarem, który w mgnieniu oka osmalał włosy. Czując wieczorny wiatr na spoconych twarzach chłopcy stawali, żeby nacieszyć się jego świeżością, i dopiero wtedy przekonywali się, jacy są zmęczeni. Rzucali się na ziemię w cieniu, który zalegał wśród porozbijanych skał. Snop ognia szybko się zmniejszał; po chwili stos opadł z głuchym łoskotem i wystrzelił w górę wielkim słupem iskier, które porwał wiatr i rozrzucił na swej drodze. Chłopcy leżeli zziębnięci jak psy.

Ralf uniósł głowę.

— To było do kitu.

Roger plunął celnie w spopielony żar.

— Dlaczego?

— Nie było wcale dymu. Sam płomień. Prosiaczek usadowił się w załomie skał i położył sobie konchę na kolanach.

— To ognisko — rzekł — było do niczego. Nie potrafilibyśmy utrzymać takiego ognia, choćbyśmy się nie wiem jak starali.

— Tyś się najwięcej starał — powiedział Jack pogardliwie. — Tylko siedziałeś.

— Dał nam swoje okulary — bronił go Simon rozmazując ramieniem sadzę na policzku. — Więc nam pomógł.

— Ja mam konchę — oburzył się Prosiaczek. — Dajcie mi mówić!

— Koncha nic nie znaczy tu na górze — powiedział Jack — więc możesz się zamknąć.

— Trzymam w ręku konchę.

— Połóżcie parę zielonych gałęzi — doradził Maurice. — To najlepszy sposób, żeby zrobić dym.

— Mam w ręku...

Jack odwrócił się gwałtownie.

— Zamknij się!

Prosiaczek umilkł. Ralf zabrał mu konchę i spojrzał na krąg chłopców.

— Musimy wyznaczyć specjalną grupę do pilnowania ognia. Każdej chwili może pokazać się okręt — machnął ręką ku rozciągniętej linii horyzontu — i jeśli będziemy

dawali sygnały, przyplynie i zabierze nas. I jeszcze jedna rzecz. Powinniśmy ustanowić więcej praw. Tam, gdzie jest koncha, tam jest zgromadzenie. Tak samo tu, jak na dole.

Wyrazili zgodę. Prosiaczek otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale pochwycił wzrok Jacka i zamknął je z powrotem. Jack wyciągnął ręce po konchę i wstał, ostrożnie trzymając delikatny przedmiot w czarnych od sady dłoniach.

— Zgadzam się z Ralfem. Musimy ustanowić prawa i szanować je. Ostatecznie nie jesteśmy przecież dzikusami. Jesteśmy Anglikami, a Anglicy we wszystkim są najlepsi. Musimy więc robić to, co trzeba.

Zwrócił się do Ralfa.

— Ralf, podzielę chór — to znaczy moich myśliwych — na grupy i zajmiemy się podtrzymywaniem ognia...

Ta wielkoduszność wznieciła burzę oklasków, a Jack uśmiechnął się do chłopców i pomachał konchą, by się uciszyli.

— Teraz nie będziemy już podsycać ognia. Bo kto w nocy zauważy dym? A możemy przecież rozpalić na nowo ognisko, kiedy zechcemy. Alty, będziecie pilnowali ognia w tym tygodniu, a sopran w przyszłym...

Zgromadzenie z powagą wyraziło zgodę.

— Będziemy także trzymać straż. Gdy zobaczymy okręt — wszyscy zwrócili oczy w stronę, którą wskazywało kościste ramię — dołożymy zielonych gałęzi. Wtedy będzie więcej dymu.

Wpatrywali się pilnie w niebieski horyzont, jakby każdej chwili mogła pojawić się na nim malutka sylwetka.

Słońce na zachodzie było jak kropla płonącego złota, osuwająca się wciąż bliżej i bliżej parapetu świata. Zaraz też zdali sobie sprawę, że wieczór oznacza kres światła i ciepła.

Roger wziął konchę i spojrzał po chłopcach z ponurą miną.

— Obserwowałem morze. Okrętu ani śladu. Może nigdy nas nie uratują...

Podniósł się, szmer i zaraz ucichł. Ralf odebrał konchę Rogerowi.

— Mówiłem już, że przyjadą po nas. Musimy po prostu poczekać. To wszystko.

Odważnie, z oburzeniem, Prosiaczek chwycił konchę.

— Właśnie to mówiłem! O naszych zebraniach i o tym wszystkim, a wtedy powiedzieliście, żebym się zamknął...

Głos jego wpadł w płaczliwy ton wyrzutu. Chłopcy poruszyli się, zaczęli go przekrzykiwać.

— Mówiliście, że chcecie rozpaść ognisko, i poszłicie, i ułożyliście stos jak stóg siana. Jak ja coś mówię — krzyczał Prosiaczek z goryczą w głosie — każecie mi się zamknąć, ale jeżeli Jack albo Maurice, albo Simon...

Przerwał wśród ogólnej wrzawy i stał utkwivszy spojrzenie poza nimi w nieprzyjazne zbocze góry, gdzie rósł las, w którym znaleźli suche drzewo. Potem roześmiał się tak jakoś dziwnie, że uciszyli się patrząc ze zdumieniem na błyszczące okulary. Spojrzeli w ślad za jego wzrokiem, by odkryć powód gorzkiego śmiechu.

— I macie teraz swoje ognisko.

Tu i ówdzie, spomiędzy pnączy, które zdobiły umarłe lub umierające drzewa, wznosił się dym. Gdy tak patrzyli, u korzenia jednej z lian błysnął ogień i dym zaraz zgęstniał. Przy zwalonym drzewie zamigotały drobne płomyki i rozpełzły się na wszystkie strony, po liściach i poszyciu, mnożąc się i potęgując. Jeden z płomieni sięgnął pnia drzewa i pomknął w górę jak wiewiórka. Dym zwiększał się, sączył przez liście, przenikał na zewnątrz. Niczym na skrzydłach wiatru wiewiórka dała susa, przywarła do sąsiedniego drzewa, po czym zbiegła na dół. Pod ciemnym baldachimem listowia i dymu las ogarnęła pożoga. Płachty czarnożółtego dymu sunęły ku morzu. Widząc płomienie i niepowstrzymany pochód ognia, chłopcy wydali przenikliwy, pełen podniecenia krzyk. Jak bestia, pełnący jaguar, płomień podkraść się ku linii przypominających brzozy drzewek, które okalały zwały różowawych skał. Rzucił się na pierwsze z brzegu i na krótką chwilę ich gałęzie zaszumiały ognistymi liśćmi. Ogień przeskoczył zwinnie przerwę pomiędzy drzewami i jednym zamachem ogarnął cały rząd. Odgłosy pożaru zlały się w jedno dudnienie, które jakby trzęsło całą górą.

— Macie swoje ognisko.

Przestraszony Ralf zdał sobie sprawę, że chłopcy milkną i nieruchomieją ze zgrozy na widok żywiołu. Świadomość tego i własny strach rozwścieczyły go.

— Och, zamknij się!

— Trzymam konchę — rzekł urażony Prosiaczek. — Mam prawo mówić.

Patrzyli na niego oczami, w których nie było zainteresowania, i nastawiali uszu na dudnienie ognia. Prosiaczek spojrział nerwowo w to piekło i przycisnął konchę do piersi.

— Teraz wszystko się pali. A to było nasze drzewo na ognisko.

Zwilżył językiem wargi.

— Nic na to nie poradzimy. Powinniśmy być ostrożniejsi. Mam stracha, że...

Jack oderwał wzrok od ognia.

— Ty masz zawsze stracha. Ty... Tłusciochu!

— Ja trzymam konchę — powiedział Prosiaczek chłodno. Zwrócił się do Ralfa: — Trzymam w ręku konchę, widzisz, Ralf?

Ralf niechętnie odwrócił się od wspaniałego, groźnego widoku.

— Co to?

— Koncha. Mam prawo mówić.

Bliźniacy zachichotali.

— Chcieliśmy dymu...

— A teraz patrzcie!...

Całun dymu ciągnął się milami. Wszyscy chłopcy z wyjątkiem Prosiaczka zaczęli chichotać i wkrótce chichot przemienił się w grzmiący śmiech.

Prosiaczek zdenerwował się.

— Ja mam konchę! Słuchajcie! Powinniśmy byli w pierwszym rzędzie zbudować szałas nad brzegiem. Tam, na dole, było w nocy dużo cieplej. Ale wystarczyło, żeby Ralf powiedział "ognisko", a zaraz polecieście z wrzaskiem i wyciem na górę. Jak banda dzieciaków!

Teraz już słuchali tej tyrady.

— Chcecie się uratować, a nie robicie najważniejszych rzeczy i nie zachowujecie się jak należy.

Zdjął okulary i chciał odłożyć konchę, ale rozmyślił się na widok rąk kilku starszych chłopców wyciągniętych w jej stronę. Wsunął muszlę pod pachę i z powrotem kucnął na skale.

— Potem przyśleście tutaj i zrobicie ognisko, które jest zupełnie do niczego. A teraz podpaliliście wyspę. Ładnie będziemy wyglądali, jak cała wyspa pójdzie z dymem. Będziemy jedli pieczone owoce i pieczoną wieprzowinę. W tym nie ma nic śmiesznego! Wybraliście Ralfa na wodza i nie dajecie mu czasu do namysłu. A jak tylko coś powie, to zaraz lecicie, jak, jak...

Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu; słychać było pomruk ognia.

— To jeszcze nie wszystko. Chodzi o dzieci. O maluchów. Kto na nich zwrócił uwagę? Kto wie, ilu ich jest?

Ralf zrobił nagle krok naprzód.

— Ty. Kazałem ci zrobić listę!

— W jaki sposób — wrzasnął Prosiaczek z oburzeniem — sam jeden? Posiedzieli parę minut, potem jedni poszli się kąpać, a drudzy do lasu. Porozłazili się na wszystkie strony. Co ja mogłem zrobić?

Ralf zwilżył pobladłe wargi.

— Więc nie wiesz, ilu nas powinno być?

— A jak miałem ich policzyć, kiedy biegali jak mrówki. A potem, jak wyście trzej wrócili, ledwie powiedziałeś o ognisku, wszyscy zerwali się i pobiegli, i nie miałem czasu.

— Dość! — przerwał mu Ralf ostro i wyrwał konchę. — Nie policzyłeś i tyle.

— ...potem ukradliście mi okulary...

— Zamknij się! — wrzasnął Jack.

— ...a te maluchy łążyły tam, na dole, gdzie teraz się pali. Skąd wiecie, czy ich tam jeszcze nie ma?

Prosiaczek wstał i wskazał ręką dym i płomienie. Wśród chłopców podniósł się szmer, który zaraz ucichł. Coś dziwnego działo się z Prosiaczkiem, bo aż go zatkało.

— Ten mały... — z trudem łapał oddech — ten z myszką na twarzy, nie widzę go. Gdzie on jest? Zrobiła się śmiertelna cisza.

— Ten, co mówił o węzach. On był tam, na dole...

Nagle jakieś drzewo eksplodowało w ogniu jak bomba. Płatanina lian uniosła się na chwilę w górę, zadrgała i znowu opadła. Widząc to malcy wrzasnęli:

— Węże! Węże! Patrzcie, jakie węże! Na zachodzie słońce niepostrzeżenie znalazło się już tylko o cal nad linią wody. Na twarze chłopców padały od dołu czerwone blaski. Prosiaczek rzucił się na skałę ściskając ją kurczowo dłońmi.

— Gdzie jest ten mały... co miał myszkę... na twarzy? Mówię wam, że go nie widzę. Chłopcy spoglądali na siebie trwoźnie, niedowierzająco.

— Gdzie on jest?

Ralf wymamrotał jakby zawstydzony:

— Może wrócił do... do...

Pod nimi, w dole, po nieprzyjaznej stronie góry, trwało nadal dudnienie.

Chatki na brzegu

Jack stał zgięty we dwoje. Skulił się jak sprinter, z nosem zaledwie o parę cali nad wilgotną ziemią. Pnącza, które zdobiły drzewa girlandami, gubiły się w zielonym mroku o trzydzieści stóp ponad nim; zewsząd otaczało go poszycie leśne. Nikłe oznaki świadczyły, że tędy przeszło zwierzę – złamana gałązka i coś, co mogło być lekkim śladem racicy. Opuścił głowę i wpatrzył się w ślady, jakby chcąc je zmusić, żeby przemówiły. Potem na czworakach, niebacznym na trudy, podkraść się jak pies kilka kroków dalej. Pnącze tworzyło tu pętlę ze zwisającym z kolanka wąsem rośliny. Wąs ten był wypolerowany od dołu. Świnie przechodząc przez pętlę pocierały go swą szczeciniastą skórą.

Przykucnął z twarzą o kilka cali od tropu, a potem wpatrzył się w półmrok poszycia. Jego ruda czupryna, znacznie dłuższa niż w dniu przybycia na wyspę, była teraz jaśniejsza, a nagie plecy pokrywała masa ciemnych piegów i płatki łuszczącej się skóry. W ręku trzymał długi, zastrzony kij; oprócz wyświechtanych, przepasanych paskiem szortów nie miał na sobie nic. Zamknął oczy, zadarł głowę i powoli wciągnął w rozszerzone nozdrza ciepły prąd powietrza, pragnąc w nim znaleźć jakąś wskazówkę. I on, i las trwali w zupełnym bezruchu.

Wreszcie odetchnął z długim westchnieniem i otworzył oczy. Były jasnoniebieskie – oczy, które w odczuciu zawodu ciskały pioruny i wydawały się szalone. Zwilżył językiem zeschnięte wargi i badał wzrokiem nieprzenikniony las. Potem znów przekradł się dalej, przypadając od czasu do czasu do ziemi.

Milczenie lasu było bardziej przytłaczające niż upał, a o tej porze dnia cichły nawet owady. Raz tylko, kiedy Jack wystraszył barwnego ptaka z prymitywnego gniazda z patyków, cisza została zakłócona i zgrzytliwy krzyk dobywający się niczym z wieczystej otchłani zabrzmiał zwielokrotnionym echem. Jack wzdrygnął się i wciągnął ze świstem powietrze; na krótką chwilę stał się nie myśliwym, a zastraszone stworzenie podobnym do małpy w plątaniu drzew. Potem przypomniał sobie trop, doznany zawód i zaczął znów zapamiętałe przeszukiwać teren. Przy pniu ogromnego drzewa, na którym rosły blade kwiaty, zatrzymał się, zamknął oczy i jeszcze raz wciągnął ciepłe powietrze. Tym razem szybko wypuścił dech, nawet przybladł trochę, ale zaraz krew znowu

napłynęła mu do twarzy. Przemknął jak cień mroczną przestrzeń pod drzewem i kucnął zapatrzony w stratowaną ziemię u swych stóp.

Odchody były jeszcze ciepłe. Leżały kupkami na zrytej ziemi. Były oliwkowozielone, gładkie i trochę parowały. Jack uniósł głowę i wpatrzył się z uwagą w nieprzeniknione kłębowisko pnączy, które leżały w poprzek tropu. Potem wznosił włócznię i przekradł się przez pnącza. Dalej trop prowadził na szeroką, wydeptaną ścieżkę, ziemia tu stwardniała od stałego tłuczenia racicami. Prostując się na całą swą wysokość Jack usłyszał jakiś ruch na ścieżce. Odchylił ramię do tyłu i z całej siły cisnął włócznią. Ze ścieżki dobiegł szybki, twardy klekot racic, jak dźwięk kastanietów, nęcący, doprowadzający do szaleństwa — obietnica mięsa. Jack wyskoczył z poszycia i porwał włócznię. Tupot świńskich racic zamarł gdzieś w oddali.

Jack stał ociekając potem, wysmarowany brunatną ziemią, poznaczony całodziennym polowaniem. Klnąc zszedł ze ścieżki i zaczął się przedzierać przez zarośla, póki się nie przerzedziły, a nagie pnie podtrzymujące ciemny strop zastąpiły jasnoszare palmy z pierzastymi koronami. Za nimi połyskiwało morze i słychać było głosy. Ralf klecił z pni i liści palmowych prymitywną budę, która wyglądała, jakby lada chwila miała runąć. Nie widział Jacka.

— Masz trochę wody?

Ralf podniósł głowę znad płataniny liści i zmarszczył brwi. Nawet patrząc na Jacka nie widział go.

— Pytam, czy masz trochę wody. Pić mi się chce.

Ralf oderwał się od swojej pracy i drgnął na widok Jacka.

— Och, to ty! Woda? Tam pod drzewem. Powinno być jeszcze trochę.

Jack wziął jedną z napełnionych świeżą wodą skorup orzecha kokosowego, które stały w cieniu, i zaczął pić. Woda ściekała mu na brodę, szyję, piersi. Skończywszy, głośno oddychał.

— Strasznie mi się chciało pić.

Z wnętrza budki zabrzmiał głos Simona:

— Trochę do góry.

Ralf uniósł gałąź, na której obierało się poszycie z liści. Liście rozsunęły się i opadły na dół. W otworze ukazała się skruszona twarz Simona.

— Przepraszam.

Ralf z niezadowoleniem przyglądał się zniszczeniu.

— Nigdy tego nie skończymy.

Rzucił się na ziemię u stóp Jacka. Simon wyglądał przez otwór w szałasie. Leżąc na ziemi Ralf wyjaśnił:

— Tyle dni pracujemy i teraz patrz!

Dwie chatki, chociaż chwiejne, ale stały. Ta była ruiną.

— A oni ciągle uciekają. Pamiętasz zebranie? Jak to każdy mówił, że będzie ciężko pracował, póki nie ukończymy chat?

— Oprócz mnie i myśliwych...

— Oprócz myśliwych. A te małuchy są...

Zrobił ręką gest, szukając właściwego określenia.

— Są beznadziejne. Starsi też niewiele lepsi. Patrz! Pracuję tu z Simonem cały dzień. Żaden nam nie pomaga. Kapią się, jedzą albo się bawią.

Simon wysadził ostrożnie głowę przez dziurę.

— Jesteś wodzem. Możesz im nakazać.

Ralf leżał na wznak i patrzył w górę na palmy i niebo.

— Zebrania. Bardzo lubimy zebrania. Codziennie je robimy. Dwa razy na dzień. I gadamy. — Oparł się na łokciu. — Założę się, że gdybym w tej chwili zatrąbił, zaraz by przybiegli. Zaraz by się zrobili poważni i zaraz by któryś powiedział, że powinniśmy zbudować odrzutowiec albo łódź podwodną, albo telewizor. A jak zebranie się skończy, pięć minut popracują i rozleżą się albo pójdą polować.

Jack zaczerwienił się.

— Chcemy mięsa.

— Nie ma go jak dotąd. Chcemy też chat. Poza tym twoi myśliwi wrócili kilka godzin temu. Poszli się kąpać.

— Ja polowałem dalej — rzekł Jack. — Kazałem im iść, a sam musiałem... Starał się jakoś wyrazić nurtującą go konieczność tropienia i zabijania.

— Ja polowałem dalej. Myślałem, że jak sam...

Znowu w jego oczach pojawił się szaleńczy błysk.

— Myślałem, że upoluję.

— Ale nie upolowałeś.

— Myślałem, że upoluję.

Jakaś ukryta pasja zawibrowała w głosie Ralfa.

— Ale jak dotąd nie upolowałeś! Nie pomógłbyś nam przy budowie chat? —
Zaproszenie to mogłoby ujść za zdawkowe, gdyby nie szczególna nuta w głosie Ralfa.

— Chcemy mięsa...

— I nie możemy go zdobyć.

Teraz antagonizm stał się zupełnie wyraźny.

— Ale zdobędziemy! Następnym razem! Muszę zrobić zadziór na włóczni.
Zraniliśmy świnie i włócznia wypadła. Żebyśmy tylko mogli jakoś porobić zadziory...

— Potrzebne nam chaty.

Nagle Jack zaczął wrzeszczeć z wściekłością:

— Chcesz powiedzieć...

— Mówię tylko, że pracowaliśmy piekielnie ciężko. Więcej nic.

Obaj byli czerwoni na twarzy i wzajemnie unikali swoich spojrzeń. Ralf obrócił się na brzuch i zaczął się bawić trawką.

— Gdyby zaczęło padać, jak wtedy, kiedyśmy spadli, tobyś zobaczył. I jeszcze jedno. Potrzebujemy chat ze względu na...

Przerwał na chwilę i obaj uciszyli w sobie gniew. Wówczas Ralf podjął znów ten zmieniony, bezpieczny temat:

— Zauważyłeś, prawda?

Jack rzucił włócznię i kucnął.

— Co?

— No. Że się boją.

Przewrócił się na plecy i spojrzał w zawziętą, brudną twarz Jacka.

— Wiesz, jak jest. Śni im się. To słycać. Próbowales kiedy nasłuchiwać w nocy?

Jack potrząsnął głową.

— Krzyczą i gadają. Te maluchy. A nawet starsi. Jakby...

— Jakby to nie była dobra wyspa.

Zdziwieni słowami Simona, spojrzeli w jego poważną twarz.

— Jakby — rzekł Simon — ten zwierz, ten zwierz albo wąż był naprawdę.
Pamiętacie?

Starsi chłopcy drgnęli na dźwięk tego zakazanego słowa. Od pewnego czasu nie wspominało się wśród nich o węzach — nie wypadało wspominać.

— Jakby to nie była dobra wyspa — powtórzył Ralf wolno. — Tak, słusznie.

Jack usiadł i wyprostował nogi.

— Mają źle w głowie.

— Stuknięci. Pamiętasz naszą wyprawę?

Uśmiechnęli się do siebie wspominając urok pierwszego dnia pobytu na wyspie.

Ralf ciągnął dalej:

— Więc potrzebne nam chaty jako rodzaj...

— Domu.

— Słusznie.

Jack podciągnął nogi, objął rękoma kolana i zmarszczył brwi z wysiłku, żeby go dobrze zrozumiano.

— Ale wszystko jedno... w lesie... To znaczy, jak polujesz... nie wtedy, jak zrywasz owoce, oczywiście, tylko jak jesteś sam...

Przerwał na chwilę, niepewny, czy Ralf potraktuje go poważnie.

— Mów.

— Jak polujesz, to czasem czujesz się jakby... — Zaczerwienił się niespodziewanie.

— Nic w tym, oczywiście, nie ma. To tylko takie uczucie. Ale czujesz się, jakbyś to nie ty polował, a... na ciebie polowali. Jakby coś cały czas w dżungli za tobą chodziło.

Siedzieli milcząc. Simon przejęty, Ralf z niedowierzaniem i lekkim zgorszeniem. Usiadł pocierając ramię brudną dłonią.

— No, nie wiem.

Jack poderwał się i zaczął mówić bardzo szybko:

— Tak właśnie czasem człowiek się w lesie czuje. Oczywiście, to nic nie znaczy. Tylko... tylko...

Zrobił kilka szybkich kroków w stronę brzegu i z powrotem.

— Tylko nie wiem, jak oni się czują. Rozumiesz? I to wszystko.

— Najlepiej byłoby, żeby nas uratowano.

Jack musiał pomyśleć chwilkę, zanim przypomniał sobie, co to słowo znaczy.

— Żeby nas uratowano? Oczywiście. Ale niezależnie od wszystkiego chciałbym najpierw złapać świnię... — Porwał włócznię i wbił ją z rozmachem w ziemię. W jego oczach pojawił się znowu obłądny, tępy wyraz. Ralf patrzył na niego krytycznie zza splecionej grzywy jasnych włosów.

— Jak tylko myśliwi będą pamiętać o ogniu...

— Ty tylko ogień i ogień!

Zbiegli na plażę i odwróciwszy się nad samą wodą spojrzeli na różowy szczyt. Na ciemnoniebieskim niebie kreśliła się kredową linią smużka dymu, falowała lekko hen, wysoko i nikła, Ralf zmarszczył brwi.

— Ciekawym, czy to daleko widać?

— Całe mile.

— Za mało robimy dymu.

Dolna część smużki, jakby świadoma ich wzroku, zgęstniała w kremową plamę, która zaczęła pięć się w górę po wątlej kolumnie.

— Dołożyli zielonych gałęzi — mruknął Ralf. — Ciekawe! — Wyteżonym wzrokiem śledził horyzont.

— Mam!

Jack wrzasnął tak przeraźliwie, że Ralf aż podskoczył.

— Co? Gdzie? Okręt?

Lecz Jack wskazywał wysokie stromizny wiodące z góry do niższych partii wyspy.

— Prosta sprawa! One są tam... muszą być tam, gdy słońce za bardzo przygrzewa...

Ralf patrzył zdezorientowany w jego skupioną twarz.

— ...wyłażą na górę. Wysoko, w cień, i odpoczywają sobie w czasie upału, jak u nas krowy...

— Myślałem, że zobaczyłeś okręt!

— Moglibyśmy zakraść się... najpierw pomalować twarze, żeby nas nie zobaczyły... albo otoczyć je i... Ralf z oburzenia stracił panowanie nad sobą.

— Ja mówię o dymie! Nie chcesz się uratować? U ciebie w głowie tylko świnia, świnia, świnia!

— Ale my chcemy mięsa!

— Cały dzień pracuję sam z Simonem, a ty przychodzisz i nawet nie zwracasz uwagi na chaty!

— Ja też pracowałem...

— Tak, ale robisz to, co chcesz! — krzyczał Ralf. — Chcesz polować! A ja...

Stali patrząc na siebie na olśniewająco białym piasku plaży, zdziwieni tym wybuchem. Ralf pierwszy odwrócił wzrok udając zainteresowanie grupką maluchów na piasku. Zza granitowej płyty dobiegały okrzyki myśliwych kąpiących się w basenie. Na skraju płyty leżał na brzuchu Prosiaczek i patrzył w połyskliwą wodę.

— Nie można liczyć na ludzką pomoc. Chciał wytłumaczyć, jak to jest, że ludzie nigdy nie okazują się tacy, za jakich się ich brało.

— Simon. Ten pomaga. — Wskazał ręką chaty. — Wszyscy inni pouciekali. A on napracował się tyle, co ja. Tylko...

— Simon zawsze jest pod ręką.

Ralf ruszył z powrotem do chat, a Jack za nim.

— Pomogę ci trochę przed kąpielą — mruknął Jack.

— Nie zwracaj sobie głowy.

Ale gdy doszli do chat, Simona nie było. Ralf zajrzał do chaty i odwracając się do Jacka powiedział:

— Prysnał.

— Znudziło mu się — rzekł Jack — i poszedł się kąpać.

Ralf zmarszczył brwi.

— Dziwny chłopak. Śmieszny chłopak.

Jack skinął głową, co mogło oznaczać zarówno potwierdzenie, jak i wszystko inne, i w milczeniu ruszyli obaj w stronę basenu.

— A potem — rzekł Jack — jak się wykąpię i coś zjem, pójdę na drugą stronę góry i zobaczę, czy tam są jakie ślady. Pójdiesz ze mną?

— Ale przecież słońce prawie już zachodzi!

— Może zdążę...

Szli obok siebie — dwa niezależne kontynenty doświadczeń i uczuć — niezdolni się porozumieć.

— Gdyby tak udało mi się upolować świnię!

— A ja wrócę i będę dalej budował chatę!

Spojrzeni na siebie zmieszani, z miłością i nienawiścią. Pojednała ich dopiero słona, ciepła woda, okrzyki, pluski i śmiechy kąpiących się w basenie chłopców.

Simona, którego spodziewali się zastać przy basenie, nie było tam.

Kiedy dwaj starsi chłopcy pobiegli na plażę, by spojrzeć stamtąd na wierzchołek góry, z początku szedł za nimi, ale zatrzymał się. Chwilę stał, patrząc w zamyśleniu na kupę piachu na plaży, gdzie ktoś próbował sklecić jakiś szałas czy budkę. Potem odwrócił się do niej plecami i poszedł w las z miną człowieka, który wie, czego chce. Simon był małym, chudym chłopcem ze spiczastą brodą i tak jasnymi oczyma, że Ralfowi wydał się ogromnie wesoły i psotny. Zmierzwiona strzecha czarnych włosów zakrywała mu niemal całkowicie szerokie czoło. Ubrany w strzępy szortów, nogi miał bose jak Jack. Zawsze śniadej cery był teraz spalony na ciemny brąz, a skóra błyszczała mu od potu.

Przeszedł przez pas zgniecionej zieleni, minął wielką skałę, na którą Ralf wspiał się zaraz pierwszego ranka, a potem skręcił w prawo, między drzewa. Szedł znajomą drogą, wśród drzew owocowych, gdzie nawet największy leń mógł znaleźć łatwy, jeśli nie zadowalający posiłek. Kwiaty i owoce rosły tu razem na tym samym drzewie i wszędzie rozchodził się zapach dojrzałych owoców i brzęczenie miliona zbierających pokarm pszczoł. Tutaj dopadły Simona biegnące za nim maluchy. Mówiły, wykrzykiwały coś niezrozumiałe, ciągnęły go ku drzewom. Potem, wśród brzęczenia pszczoł w popołudniowym słońcu, Simon znalazł owoce, których nie mogły dosięgnąć, i wybierając spomiędzy liści co najlepsze, podawał nieskończonej ilości wyciągniętych rąk. Gdy zaspokoił ich głód, przestał zrywać owoce i rozejrzał się dokoła. Maluchy patrzyły na niego nieodgadnionym wzrokiem sponad garści, w których trzymały pełno dojrzałych owoców.

Simon zostawił ich i poszedł ledwie widoczną ścieżką. Wkrótce zamknęły się nad nim korony drzew dżungli. Od dołu aż po ciemne baldachimy, w których wrzało życie, rosły niezwykle blade kwiaty. Panował tu półmrok i pnącza zwisały jak olinowanie zatopionych statków. Stopy Simona zostawiały ślady w pulchnej glebie, a pnącza dygotały na całej długości, kiedy je potrącał.

Doszedł wreszcie do miejsca, gdzie padało więcej słońca. Pnącza, które nie musiały szukać światła w górze, utkały tu ogromną matę zawieszoną z jednej strony niewielkiej polanki; bowiem pod cienką warstwą gleby była skała, która pozwalała rosnąć tylko drobnym roślinom i paprociom. Całą tę polankę otaczał gąszcz ciemnych aromatycznych krzewów, tworząc jak gdyby kocioł światła i skwaru. W kącie polanki wielkie, walące się drzewo wspierało się ukośnie o korony drzew jeszcze rosnących, a na nim, od dołu aż po wierzchołek, pysznił się żółty i czerwony powój.

Simon przystanął. Spojrzał najpierw za siebie jak Jack w leśny gąszcz, a potem bystro dokoła, by się upewnić, że jest sam. Jego ruchy były teraz niemal ukradkowe. Potem schylił się i przecisnął w środek maty. Pnącza i krzewy były tu tak zbite, że zostawił na nich pot, a gdy przedostał się na drugą stronę, znowu zamknęły się za nim szczelnie. Znalazłszy się bezpiecznie w środku, był jakby w chatce odgradzonej od polanki liśćmi. Kucnął, rozgarnął liście i wyjrzał na zewnątrz. Nie dostrzegł żadnego ruchu prócz harców pary barwnych motyli, które tańczyły w rozgrzanym powietrzu. Wstrzymując oddech zaczął nasłuchiwać. Ku wyspie nadciągał wieczór; cichły głosy fantastycznych różnobarwnych ptaków, uspokajało się brzęczenie pszczół, nawet krzyki mew powracających do gniazd pośród zwalistych skał powoli słabły. Fale, które daleko, daleko rozbijały się o rafę koralową, dawały znać o sobie coraz cichszym pomrukiem.

Simon opuścił zasłonę liści. Miodowe pręgi słońca chyliły się coraz bardziej; wśliznęły się na krzewy, przesunęły po zielonych pąkach przypominających świece, skoczyły ku koronom drzew, a tymczasem w dole mrok powoli gęstniał. Wraz z nikieniem światła przymierała jaskrawość kolorów, ustawał skwar. Śwecowe pąki drgnęły. Zielone listki rozchyliły się leciutko i białe koniuszki kwiatów ostrożnie wysunęły się na zewnątrz. Niebawem słońce ustąpiło z polanki całkowicie i spełzło także z nieba. Napływająca ciemność ogarnęła wnętrze lasu nadając mu mętny i niesamowity wygląd dna morskiego. Śwecowe pąki przemieniły się w ogromne białe kwiaty majaczące niewyraźnie w słabym blasku pierwszych gwiazd. Ich aromat rozlał się w powietrzu i zawładnął niepodzielnie wyspą.

Długie włosy i malowane twarze

Pierwszym rytmem, do którego się przyzwyczaili, było powolne przejście od brzasku do szybko następującego zmierzchu. Rozkosze poranka, jasne słońce, obmywające wody i wonne powietrze, były dla nich czasem dobrej zabawy i życia tak pełnego, że nadzieja przestawała być potrzebna, toteż ulegała zapomnieniu. Około południa, kiedy powódź światła spływała bardziej prostopadle, jaskrawy poranek przybierał perłowe opalizujące barwy, a upał — jakby wysokość wiszącego ponad nimi słońca dodawała mu siły — spadał jak cios, przed którym uciekali chroniąc się w cień, gdzie dopiero mogli sobie poleżeć lub zasnąć.

Dziwne rzeczy zdarzały się o południu. Połyskujące morze podnosiło się, rozstępowało w płaszczyznach rażącego niepodobieństwa; rafa koralowa i kilka karłowatych palm, uczepionych wyższych jej partii, płynęły ku niebu, drżały, rozrywały się na części, rozpływały niczym krople deszczu osiadłe na drucie albo zwielokrotnione jak w nieskończonym szeregu luster. Czasem wyłaniał się ląd tam, gdzie nigdy go nie było, a potem nagle znikał na oczach dzieci jak bańka mydlana. Prosiaczek kwitował to wszystko uczenie jako "miraże", a ponieważ żaden z chłopców nie mógł dotrzeć nawet do rafy za wodą, w której czyhały zębate rekiny, przywykli do tych tajemnic i ignorowali je tak samo, jak ignorowali cudowne zjawisko migotania gwiazd. W południe złudzenia wtapiały się w niebo, skąd jak złe oko spoglądało na dół słońce. Potem, z upływem godzin, miraże ustępowały i horyzont wyrównywał się, stawał się błękitny i wyrazisty, w miarę jak słońce się obniżało. Następowala wówczas druga pora umiarkowanego chłodu, ale ciążyła nad nią groźba nadejścia nocy. Kiedy słońce zachodziło, ciemność spadała na wyspę jak kaptur gasidła i wkrótce do chat pod odległymi gwiazdami napływał niepokój.

Jednak tradycja pracy, zabawy i jedzenia w ciągu całego dnia, którą wynieśli z północnej Europy, uniemożliwiała im całkowite dostosowanie się do tego nowego rytmu. Początkowo jeden z maluchów, Percival, wśliznął się do chaty i siedział w niej dwa dni płacząc, śpiewając i gadając, aż uznali go za stukniętego, co ich trochę rozbawiło. Od tej pory zawsze był mizerny, z zaczerwienionymi oczyma i nieszczęśliwy; maluch, który mało się bawił i często płakał.

Mniejszych chłopców nazywano teraz ogólnym mianem "maluchów". Różnica wzrostu biegła stopniowo od Ralfa w dół, a chociaż można było mieć pewne wątpliwości co do miejsca zajmowanego przez Simona, Roberta i Maurice'a, każdy bez trudu odróżniał starszaków od maluchów. Te prawdziwe maluchy, ci mniej więcej sześćioletni, wiedli całkiem odrębny, a jednocześnie intensywny własny żywot. Przez większą część dnia jedli, rwąc owoce, gdzie tylko mogli je dosięgnąć, i nie bardzo wybredzając co do gatunku i stopnia dojrzałości. Przywykli już do bólów brzucha i czegoś w rodzaju chronicznej biegunki. W nocy cierpieli niewypowiedziane męki strachu i tulili się do siebie, szukając pociechy. Poza jedzeniem i snem znajdowali czas na zabawę, bezcelową i niewyszukaną, na białym piasku nad lśniącą wodą. Płakali za matkami dużo rzadziej, niż można by się było spodziewać; byli bardzo opaleni i straszliwie brudni. Posłuszenie schodzili się na głos konchy, częściowo dlatego, że to Ralf na niej trąbił, a był dość duży, żeby mieć związek ze światem dorosłych, a po części dlatego, że lubili zebrania, które były dla nich rozrywką. Poza tym rzadko zaprzęтали sobie głowy sprawami starszaków i wiedli swój odrębny, bardzo uczuciowy żywot we własnym zespole.

Zbudowali zamki z piasku nad rzeczulką. Zamki te były wysokie na stopę i ozdabiały je muszle, zwiędłe kwiaty i różne ciekawe kamyki. Wokół zamków wił się gąszcz granic, ścieżek, murów, linii kolejowych, które dopiero wtedy nabierały jakiegoś znaczenia, gdy się patrzyło na nie trzymając głowę tuż przy ziemi. Maluchy bawiły się tutaj jeśli nie radośnie, to ze skupioną uwagą, często całą gromadką.

Właśnie teraz bawiło się ich trzech — największy z nich nazywał się Henry. Był on dalekim krewnym tego chłopczyka z myszką na buzi, którego nie widziano od czasu wielkiego pożaru lasu; ale Henry był za mały, żeby to rozumieć, i gdyby mu powiedziano, że chłopczyk wsiadł do samolotu i odleciał do domu, przyjąłby to bez protestu czy niedowierzania.

Tego popołudnia Henry pełnił rolę przywódcy, bo dwaj pozostali, Percival i Johnny, byli najmniejszymi chłopcami na wyspie. Percival miał włosy koloru myszy i nawet w oczach własnej matki nie uchodził za ładnego; Johnny, silny, jasnowłosy chłopczyk, miał wojownicze usposobienie. Nie przejawiało się ono w tej chwili, gdyż pochłaniała go zabawa i wśród trójki dzieci klęczących na piasku panował spokój.

Z lasu wyszli Roger i Maurice. Zwolniono ich od obowiązku pilnowania ognia, więc zeszli na dół, żeby się wykapać. Roger podążył przodem prosto przez zamki z piasku burząc je po drodze nogą, grzebiąc w piasku kwiaty i roztrącając troskliwie poukładane

kamyki. Maurice postępował za nim powiększając jeszcze dzieło zniszczenia. Trzej malcy przerwali zabawę i podnieśli głowy. Szczęśliwym trafem przedmioty, którymi właśnie się bawili, ocalały, więc malcy nie protestowali. Tylko Percival rozbeczał się, bo miał oko zasypane piaskiem, i Maurice szybko umknął. Dawniej Maurice brał baty za sypanie młodszym dzieciom piaskiem w oczy. Teraz, kiedy nie było rodziców, którzy mogliby mu sprawić lanie, odczuwał mimo wszystko niemiłe wyrzuty z powodu popełnionego czynu. W jego umyśle zaczęła mechanicznie powstawać próba jakiejś mętnej wymówki. Bąknął coś o pływaniu i pobiegł.

Roger został, przyglądając się maluchom. Skóra niewiele mu pociemniała od dnia przybycia, ale czarna czupryna, opadająca z tyłu na kark, a z przodu na oczy, pasowała do posępnej twarzy i zmieniła uprzednie wrażenie nietowarzystości na wręcz odpychające. Percival przestał beczeć i zaczął bawić się dalej, bo łyzy spłukały piasek. Johnny przyglądał mu się chwilę porcelanowoniebieskimi oczami, a potem sypnął garść piasku i Percival rozbeczał się na nowo.

Gdy Henry znudził się swoją zabawą i powędrował wzdłuż wybrzeża, Roger poszedł za nim trzymając się palm i podążając w tym samym kierunku niby od niechcienia. Henry szedł w pewnej odległości od palm i cienia, bo był za mały, żeby rozumieć potrzebę chronienia się przed słońcem. Szedł wybrzeżem tuż nad skrajem wody. Był właśnie przypływ i co kilka sekund wody Pacyfiku podnosiły się o cal we względnie spokojnej lagunie. W tym ostatnim naporze wód były żywe stworzenia, drobniutkie, przezroczyste żyjątka, które napłynęły na gorący, suchy piach. Niepojętymi organami zmysłów badały nowy teren. Może tam, gdzie za poprzednim najazdem nie było pożywienia, teraz się ono raptem pojawiło — ptasie odchody, jakiś owad, wszelkie odpady lądowego życia. Jak miriady drobniuteńkich zębów piły żyjątka oczyszczały plażę.

Henry był tym zjawiskiem zafascynowany. Grzebał w piasku kawałkiem wybielonego w wodzie patyka, który przyniosła fala, i usiłował kierować ruchami czyścicieli plaży. Robił małe kanaliki, które przypływ napełniał wodą, i wpuszczał tam żyjątka. Uczucie panowania nad żywymi stworzeniami przejęło go do najwyższych granic. Mówił do nich, poganiał, wydawał rozkazy. Kiedy się cofał przed przypływem, jego ślady tworzyły małe zatoczki, w których żyjątka więzły dając mu złudzenie władzy. Kucnął na skraju wody, pochylony, z czupryną opadającą na czoło, na oczy, a popołudniowe słońce raziło w niego niewidzialnymi pociskami.

Roger zatrzymał się również. Najpierw stał ukryty za wielkim pniem palmy; ale Henry był tak wyraźnie zaabsorbowany przezroczystymi żyłkami, że w końcu Roger przestał się kryć. Rozejrzał się po plaży. Percival odszedł z płaczem, a Johnny tryumfalnie objął w posiadanie wszystkie zamki. Siedział podśpiewując sobie i rzucając piaskiem w wyimaginowanego Percivala. Za nim Roger widział granitową płytę i bryzgi wody, gdzie Ralf i Simon, Prosiaczek i Maurice skakali do basenu. Nastawił pilnie ucha, ale ich głosy ledwie do niego docierały.

Nagły powiew zatrzęsł koronami palm, aż liście zaczęły łopotać i szeleścić. Jakieś sześćdziesiąt stóp nad głową Rogera pęk orzechów — włókniste bryły, wielkie jak piłka do rugby — oderwał się od łodyg i z głuchym łoskotem uderzył w ziemię tuż obok Rogera nie tykając go. Roger ani myślał uciekać, tylko stał spoglądając to na orzechy, to na Henry'ego.

Podglebie palm stanowiło wzniesienie plaży i całe pokolenia tych drzew kruszyły w nim kamienie, które leżały teraz na piasku. Roger pochylił się, wybrał jeden kamień, zamierzył się i rzucił w Henry'ego — rzucił specjalnie tak, żeby nie trafić. Kamień, ów symbol niedorzecznej epoki, śmignął o kilka kroków w prawo od Henry'ego i plusnął w wodę. Roger zebrał garść kamyków i zaczął nimi rzucać. Wokół Henry'ego była jednak przestrzeń o średnicy może sześciu jardów, w którą Roger nie śmiał trafić. Oto niewidzialne, jednakże silne tabu dawnego życia. Bawiące się dziecko było nietykalne — strzegli go rodzice, szkoła, policja i prawo. Ruch ręki Rogera warunkowała cywilizacja, która nie wiedziała o nim nic i leżała w gruzach.

Henry zdziwił się pluskami w wodzie. Porzucił bezgłośnie żyłtka i wyciągnął szyję jak seter w stronę rozszerzających się kręgów na wodzie. Kamienie padały to z jednej, to z drugiej strony i Henry posłusznie odwracał głowę, lecz zawsze za późno, żeby zobaczyć śmigający kamień. W końcu zobaczył i roześmiał się, szukając wzrokiem przyjaciela, który mu płał figle. Roger jednak czmychnął za pień palmy i stał przyciśnięty do niego, oddychając szybko i mrużąc oczy. Wówczas Henry przestał interesować się kamykami i odszedł.

— Roger.

W pobliżu, pod drzewem, stał Jack. Gdy Roger otworzył oczy i zobaczył go, przez jego smagłą twarz przemknął cień. Jack jednak niczego nie zauważył. Pałał ożywieniem, niecierpliwością i przywoływał go skinieniem, więc Roger podszedł.

U ujścia rzeczki było rozlewisko, jezioro utworzone przez zwały piasku, pełne białych lilii wodnych i ostrych trzciny. Czekał tu na nich Sam, Eryk i Bill. Jack, kryjąc się przed słońcem, ukląkł na skraju jeziora i rozwinął dwa duże liście, które przyniósł z sobą. W jednym była biała glina, a w drugim czerwona. Obok leżał kawałek węgla przyniesiony z ogniska.

Jack wyjaśnił Rogerowi, o co chodzi.

— One mnie nie czują. Zdaje się, że tylko widzą. Coś różowego pod drzewami.

Rozsmarował glinę.

— Żebym tylko miał coś zielonego!

Zwrócił na wpół zasmarowaną twarz do Rogera i odpowiedział na jego pytające spojrzenie:

— Do polowania. Jak na wojnie. Rozumiesz... barwy ochronne. Jak coś, co chce wyglądać niby co innego... Aż skręcał się z potrzeby mówienia.

— ...jak ćmy na pniu drzewa.

Roger zrozumiał i skinął poważnie głową. Bliźniacy przysunęli się do Jacka i zaczęli nieśmiało protestować. Machnął ręką, żeby się od niego odczepili.

— Zamknąć się.

Natarł węglem miejsca między białymi i czerwonymi plamami na twarzy.

— Nie. Wy dwaj pójdziecie ze mną.

Przyjrzał się swemu odbiciu z niezadowoleniem. Schylił się, zaczerpnął w dłonie ciepłej wody i zmył malunek z twarzy. Ukazały się piegi i płowe brwi.

Roger uśmiechnął się mimo woli.

— Kiepsko ci to wyszło.

Jack zaczął obmyślać nową maskę. Jeden oczodół i policzek umazał na białą, potem roztarł czerwoną glinę na drugiej połowie twarzy i zrobił czarną krechę węglem od prawego ucha do lewej szczęki. Spojrzał w jezioro na swoje odbicie, ale oddech mącił lustro wody.

— Samieryk. Przynieś kokos. Tylko pusty.

Kłęczał, trzymając w dłoniach skorupę z wodą. Krągła plamka słońca padła mu na twarz i w głębi wody coś zajaśniało. Jack patrzył zdumiony widząc tym razem już nie siebie, a jakąś groźną istotę. Wylał wodę i poderwał się na nogi śmiejąc się w podnieceniu. Maską przykuwała wzrok, przerażała chłopców. Zaczął tańczyć wokoło, a

jego śmiech przeszedł w groźne warczenie. Dał susa w stronę Billa, a maska była jakby czymś od niego niezależnym, za którą Jack krył się uwolniony od wstydu i zarozumiałości. Czerwono-biało-czarna twarz poskoczyła ku Billowi. Bill zaczął się śmiać, potem nagle umilkł i pomknął na oślep w krzaki.

Jack podbiegł do bliźniaków.

— Reszta robi nagonkę. Chodźcie!

— Ale...

— ...my...

— Chodźcie! Podkradnę się i... nożem!

Maska nie zezwalała na sprzeciw.

Ralf wygramolił się z basenu, przebiegł przez plażę i usiadł w cieniu pod palmami. Odgarnął jasne włosy, które przykleiły mu się do czoła. Simon leżał na wznak na wodzie i bił w nią nogami, a Maurice ćwiczył skoki. Prosiaczek chodził jak we śnie podnosząc z ziemi w roztargnieniu jakieś przedmioty i odrzucając je. Zatoczki w zagłębieniach skalnych, które go zwykle tak fascynowały, były zakryte przypływem, nie miał więc co robić do czasu odpływu. Ujrawszy Ralfa pod palmami, podszedł i siadł koło niego.

Prosiaczek miał na sobie strzępy szortów, jego pulchne ciało było brązowozłote, a okulary wciąż połyskiwały, gdy na coś zwracał wzrok. Był jedynym chłopcem na tej wyspie, któremu włosy prawie nie rosły. Wszyscy inni mieli na głowach zmierzwione strzechy, a włosy Prosiaczka przylegały do czaszki drobnymi kosmykami, jakby naturalnym u niego stanem była łysina, a to niedoskonałe okrycie miało wkrótce wylenieć niby puszek na rogach młodego jelonka.

— Myślałem sobie o zegarze — rzekł. — Moglibyśmy zrobić zegar słoneczny. Wbić w ziemię patyk i...

Trud wyrażenia koniecznych ku temu procesów matematycznych okazał się zbyt wielki. Zrobił w to miejsce kilka gestów.

— I samolot, i telewizor — powiedział Ralf cierpko — i maszynę parową.

Prosiaczek potrząsnął głową.

— Na to trzeba mieć mnóstwo metalowych rzeczy — rzekł — a my nie mamy metalu. Ale mamy patyk.

Ralf spojrział na Prosiaczka i mimo woli uśmiechnął się. Prosiaczek to nudziarz; jego otyłość, astma, rzeczowe pomysły były nieznośne, toteż stał się przedmiotem ciągłych żartów, celowych czy przypadkowych, ku uciesze wszystkich.

Prosiaczek spostrzegł uśmiech i wziął go za wyraz życzliwości. Wśród starszaków powstało milczące przekonanie, że Prosiaczek jest outsiderem nie tylko przez swój akcent, który właściwie nie wchodził w rachubę, lecz przez swą tuszę, astmę, okulary i jawną niechęć do pracy fizycznej. Toteż teraz, stwierdziwszy, że jego słowa wywołały uśmiech na twarzy Ralfa, Prosiaczek uradował się i próbował skorzystać z okazji:

— Mamy mnóstwo patyków. Moglibyśmy zrobić wszystkim chłopcom po zegarze. Wtedy wiedzielibyśmy na pewno, która godzina.

— I guzik byśmy z tego mieli.

— Mówiłeś, że chcesz, żebyśmy robili różne rzeczy. Żeby się uratować.

— Och, zamknij się już!

Wstał szybko i pobiegł z powrotem do basenu właśnie w chwili, gdy Maurice wykonał dosyć kiepski skok. Ralf był rad, że mu się nadarzyła okazja zmiany tematu. Krzyknął do Maurice, kiedy ten wypłynął na powierzchnię:

— Decha!

Maurice błysnął uśmiechem do Ralfa, który zgrabnie wśliznął się do wody. Ze wszystkich chłopców on czuł się tu najlepiej; dziś jednak, rozdrażniony wzmianką o uratowaniu, niepotrzebną, głupią wzmianką, nie znalazł ukojenia w zieleniejącej głębinie i migotliwym złotym słońcu na powierzchni wody. Zamiast pozostać tu i bawić się, równymi ruchami ramion przepłynął pod Simonem, wdrapał się na brzeg z drugiej strony i leżał tam lśniący i ociekający wodą jak foka. Prosiaczek, zawsze niezręczny, podszedł i stanął nad nim, więc Ralf obrócił się na brzuch udając, że go nie widzi. Miraże ustąpiły odsłaniając czystą linię błękitnego horyzontu. Chłopiec przebiegł ją chmurnym spojrzeniem.

Natychmiast zerwał się z krzykiem na nogi.

— Dym! Dym!

Simon chciał usiąść w wodzie i zachłysnął się. Maurice, który stał gotując się do skoku, zatoczył się do tyłu, rzucił się w stronę granitowej płyty i zawrócił na trawę pod palmy. Tam zaczął wciągać wyświechtane szorty, przygotowany na wszystko.

Ralf stał odgarniając jedną ręką włosy nad czołem, drugą miał zaciśniętą w pięść. Simon gramolił się z wody na brzeg. Prosiaczek tarł okulary o szorty i mrużąc oczy patrzył na morze. Maurice wsadził obie nogi w tę samą nogawkę — ze wszystkich chłopców jeden Ralf pozostał spokojny.

— Nie widzę żadnego dymu — mówił Prosiaczek niedowierzająco. — Nie widzę żadnego dymu. Ralf... gdzie on jest?

Ralf nie odzywał się. Trzymał teraz obie zaciśnięte pięści nad czołem, żeby jasne włosy nie zasłaniały mu oczu. Stał trochę pochylony do przodu i sól zaczynała już lekko bielić jego schnącą skórę.

— Ralf... gdzie ten okręt?

Simon stanął obok patrząc to na Ralfa, to na horyzont. Spodnie Maurice'a puściły w szwach i chłopiec cisnął je na ziemię jako bezużyteczny łań, popędził do lasu i zaraz przybiegł z powrotem.

Dym na horyzoncie wyglądał jak nikły węzełek, który zaczynał powoli się rozsypywać. Pod nim widniała ciemna kropka, która mogła być kominem. Twarz Ralfa była biała, gdy mówił:

— Zobaczą nasz dym.

Prosiaczek patrzył teraz w dobrym kierunku.

— Słabo go widać.

Obrócił się i spojrzał na szczyt góry. Ralf nadal obserwował okręt drapieżnym wzrokiem. Krew zaczynała mu z powrotem napływać do twarzy. Simon stał przy nim, milczący.

— Wiem, że mam kiepskie oczy — rzekł Prosiaczek — ale czy tam widać jakiś dym?

Ralf poruszył się niecierpliwie, nadal obserwując okręt.

— Nasz dym, na górze.

Nadbiegł Maurice i wlepił oczy w morze. Simon i Prosiaczek patrzyli na wierzchołek góry. Prosiaczek wykrzywił twarz, a Simon wrzasnął nagle, jakby się skaleczył:

— Ralf! Ralf!

Ton jego głosu sprawił, że Ralf obrócił się na pięcie.

— Mówcie — domagał się Prosiaczek. — Czy widać sygnał?

Ralf spojrział w tył na rozpraszający się dym na horyzoncie, a potem znowu na wierzchołek góry.

Simon wyciągnął rękę nieśmiało, żeby dotknąć Ralfa, a Ralf rozpryskując stopami wodę pomknął brzegiem basenu, przez gorący, biały piach, między palmy. Po chwili zaczął się przedzierać poprzez splątaną roślinność, która już zarastała zdruzgotany pas dżungli. Simon pobiegł za nim, a później Maurice. Prosiaczek zaczął krzyżeć:

— Ralf! Słuchaj! Ralf!

Potem i on ruszył biegiem potykając się o porzucone szorty Maurice'a. Za plecami czterech chłopców dym wolno posuwał się wzdłuż linii horyzontu, a na plaży Henry i Johnny ciskali piasek w Percivala, który znowu z cicha popłakiwał; wszyscy trzej zupełnie nie zdawali sobie sprawy z powstałego podniecenia.

Dobiegłszy do krańca pasa zdruzgotanej zieleni Ralf zaczął tracić cenny oddech na przekleństwa. Gnany rozpaczą nie zważał, że pnącza ranią jego nagie ciało, ocierając je do krwi. W miejscu, gdzie zaczynała się stromizna góry, zatrzymał się. Maurice był o kilka kroków za nim.

— Prosiaczkowe okulary! — krzyknął Ralf. — Będą nam potrzebne, jeżeli ogień wygasał...

Przestał krzyżeć i zachwiał się na nogach. Prosiaczek był ledwie widoczny w dali, poruszał się ślamazarnie. Ralf spojrział na horyzont, a potem na wierzchołek góry. Czy skoczyć do Prosiaczka po okulary, ryzykując, że okręt tymczasem odpłynie? Czy piąć się dalej, a jeśli się okaże, że ogień wygasał, stać i patrzeć, jak Prosiaczek wlecze się noga za nogą, a okręt powoli ginie za horyzontem? W udręce niezdecydowania Ralf krzyknął:

— Boże, Boże!

Simon walczący z zaroślami oddychał z trudem. Twarz miał wykrzywioną. Ralf szedł na ślepo, ogarniała go furia na widok oddalającej się wstążki dymu.

Ognisko wygasało. Spostrzegli to od razu; wiedzieli o tym, jeszcze gdy byli na plaży, kiedy od horyzontu powiało ku nim dymem domowego paleniska. Ognisko było zupełnie wystygłe, bezdymne i martwe; po strażnikach ani śladu. Stos drzewa leżał obok w pogotowiu.

Ralf spojrział ku morzu. Leżący przed nim horyzont stał się znów bezosobowy, a jego pustkę zakłócał tylko słabiutki ślad dymu. Ralf pobiegł potykając się o skały na skraj różowej przepaści i zaczął wrzeszczeć do okrętu:

— Wróć! Wróć!

Biegał tam i z powrotem nad urwiskiem, z twarzą zwróconą ku morzu, i krzyczał obłąkańczym głosem:

— Wróć! Wróć!

Nadszedł Simon i Maurice. Ralf spojrział na nich szklanym wzrokiem. Simon odwrócił się ocierając pot z twarzy. Ralf dobył z siebie najgorsze ze znanych sobie przekleństw.

— Dopuszcili, żeby ten cholerny ogień wygasł.

Spojrział w dół na nieprzyjazne zbocze góry. Przyszedł Prosiaczek, bez tchu i pochlipując jak maluch. Ralf zacisnął pięści i poczerwieniał na twarzy. Jego spojrzenie i gorycz w głosie mówiły same za siebie.

— Macie ich.

Daleko w dole, pośród różowych piargów nad brzegiem wody, ukazał się dziwny pochód. Niektórzy chłopcy mieli na głowach czapki, ale poza tym byli niemal nacy. Gdy dochodzili do skrawka wolnej przestrzeni, podnosili jednocześnie kije, które trzymali w rękach. Śpiewali coś monotownie, coś widocznie w związku z tobołkiem, który bliźniacy nieśli z wielką ostrożnością. Ralf nawet z tej odległości bez trudu rozróżnił wśród nich Jacka — czerwonołosego i oczywiście na czele pochodu.

Simon spoglądał teraz od Ralfa do Jacka, tak jak przedtem patrzył to na Ralfa, to na horyzont; i to, co zobaczył, przestraszyło go. Ralf już nie mówił, tylko stał i czekał, a pochód coraz bardziej się przybliżał. Słyszeli śpiew, ale z tej odległości jeszcze pozbawiony słów. Za Jackiem szli bliźniacy niosąc na ramionach długą żerdź. Na tej żerdzi wisiała wypatroszona świnia, kołysząc się mocno, gdy bliźniacy z trudem pokonywali nierówności drogi. Łeb świni z rozplataną szyją zwisał przy ziemi jakby coś węsząc. Wreszcie zza wielkiej masy czerniałych drzew i popiołów doszły ich słowa monotonnej pieśni.

— Nożem świnie! Ciach po gardle! Tryska krew!

Jednakże w chwili, gdy słowa stały się słyszalne, pochód dotarł właśnie do najbardziej stromej części zbocza i monotonna pieśń ucichła. Prosiaczek zaszlochał i Simon szybko go uciszył, jak się ucisza kolegę, który za głośno odezwał się w kościele.

Jack, z twarzą umazaną kolorową gliną, pierwszy ukazał się na wierzchołku i podniecony powitał Ralfa wzniesioną w górę włócznią.

— Spójrz! Zabiliśmy świnie... podkradliśmy się do nich... otoczyliśmy...

Przerwały mu głosy innych myśliwych:

— Otoczyliśmy je kołem...

— Podczołgaliśmy się...

— Kwiczała...

Podeszli bliźniacy z kołyszącą się na żerdzi świnia, z której ściekały na skałę czarne kapki. Twarze ich rozpromieniał jakby jeden wspólny, ekstatyczny uśmiech. Jack miał do opowiedzenia Ralfowi zbyt wiele rzeczy naraz. Czując nadmiar cisnących się na usta słów, wykonał parę tanecznych kroków, potem przypomniał sobie własną godność i stanął nieruchomo, uśmiechając się. Zauważył krew na swoich rękach, wykrzywił się z niesmakiem, zaczął szukać czegoś, żeby je wytrzeć, ale nie znalazłszy, wytarł je o szorty i roześmiał się.

Wtedy Ralf przemówił:

— Ognisko zgasło.

Jack trochę się zdetonował rozdrażniony tym brakiem związku z tematem, ale zbyt szczęśliwy, by się przejmować.

— Możemy rozpalić na nowo. Szkoda, że nie byłeś z nami, Ralf. Było wspaniale. Bliźniacy się poprzewracali...

— Rąbnęliśmy ją...

— ...ja rymnąłem na nią...

— A ja przeciąłem jej gardło — rzekł Jack z dumą, ale drgnął wypowiadając te słowa. — Pożyczysz mi swój nóż, żeby zrobić nacięcie na rękojeści?

Chłopcy rozmawiali i skakali wokoło. Bliźniacy wciąż się uśmiechali.

— Krew tryskała strumieniami — powiedział Jack ze śmiechem i wzdrygnął się. — Szkoda, że tego nie widziałeś.

— Będziemy co dzień chodzili polować...

Ralf znów się odezwał chrapliwym głosem. Przez cały czas stał nieruchomo.

— Ognisko zgasło.

To powtórzenie zaniepokoiło Jacka. Spojrzał na bliźniaków, a potem znów na Ralfa.

— Zabraliśmy ich — rzekł — bo było nas za mało do nagonki.

Zaczerwienił się, świadom popełnionego błędu. — Ogień wygasł dopiero przed paroma godzinami. Możemy go znowu rozpalić...

Spostrzegł podrapane ciało Ralfa i posępne milczenie czterech chłopców. Hojny w swej radości, pragnął ich włączyć w to, co zaszło. W jego głowie kłębiły się wspomnienia; wspomnienia tego, co sobie nagłe uświadomili, kiedy zacieśnili krąg wokół wyrrywającej się świni — że przechytrzyli żywe stworzenie, że narzucili mu swoją wolę, chłonąc jego życie jak upajający trunek.

Rozpostarł szeroko ramiona.

— Szkoda, że nie widziałeś krwi!

Myśliwi, którzy zdążyli już się trochę uspokoić, zawrzeli znowu na te słowa. Ralf odrzucił włosy z czoła. Wskazał ręką pusty horyzont. Głos jego zabrzmiał gromko i dziko i zmusił ich do zamilknięcia.

— Tam był okręt.

Stanąwszy wobec zbyt wielu strasznych implikacji Jack zapragnął stawić im czoło. Chwyił świnię i wyciągnął nóż. Ralf opuścił rękę zaciśniętą w pięść, głos mu drżał.

— Tam był okręt. O, tam. Mówiłeś, że będziesz pilnował ognia, a ogień zgasł! — Zrobił krok w stronę Jacka, który odwrócił się do niego twarzą. — Mogli nas zobaczyć. Mogliśmy wrócić do domu...

Tak wiele było w tym goryczy, że stała się nie do zniesienia dla Prosiaczka, który zapomniał o swoim tchórzostwie w udreće poniesionej straty. Zaczął krzyczeć piskliwie:

— Ty i twoja krew! Ty i twoje polowanie! Mogliśmy wrócić do domu...

Ralf odepchnął Prosiaczka na bok.

— Wybraliście mnie na wodza, mieliście robić, co wam każę. A wy tylko gadacie. Nie potraficie nawet zbudować chat... Idziecie sobie na polowanie, a tymczasem ogień gaśnie...

Umilkł na chwilę i odwrócił się. Potem znów powiedział głosem pełnym goryczy:

— Tam był okręt...

Jeden z mniejszych myśliwych rozbeczał się. Dopiero teraz zaczęli pojmować straszliwą prawdę. Jack, który ciął nożem i szarpał świnię, spurpurowiał na twarzy.

— Nie mogliśmy sobie poradzić. Potrzebowaliśmy wszystkich do pomocy.

Ralf odwrócił się.

— Mogłeś mieć wszystkich po ukończeniu chat. Ale musiałeś polować...

— Chcieliśmy mięsa.

Mówiąc to Jack podniósł się z okrwawionym nożem w ręku. Dwaj chłopcy stali twarzą w twarz. Olśniewający świat łowów, taktyki, niepohamowanego ożywienia, zręczności; i świat tęsknoty, rozsądku, który doznał zawodu. Jack przełożył nóż do lewej ręki i odgarniając pozlepiane włosy zasmarował czoło krwią.

Prosiaczek znowu zaczął mówić:

— Nie wolno ci było dopuścić, żeby ognisko zgasło. Mówiłeś, że dopilnujesz, by dym był zawsze...

Słowa Prosiaczka i lament kilku myśliwych doprowadziły Jacka do szału. Z niebieskich oczu sygnęły się pioruny. Zrobił krok i mogąc się wreszcie na kimś wyładować, rąbnął Prosiaczka pięścią w brzuch. Prosiaczek usiadł z jękiem. Jack stanął nad nim. Głos jego kipiał złością za doznane upokorzenie:

— Ty mi to będziesz mówił? Ty słonino!

Ralf postąpił krok naprzód i w tym momencie Jack wyrznął Prosiaczka w głowę. Prosiaczkowi spadły okulary i potoczyły się po skałach. Prosiaczek krzyknął przerażony:

— Moje okulary!

Zaczął ich szukać skulony, macając rękami po kamieniach, ale Simon, który wrzał z oburzenia, zdążył mu je odnaleźć.

— Jedno szkło zbite.

Prosiaczek schwycił okulary i nałożył. Spojrzał na Jacka wrogo.

— Ja się nie mogę obyć bez tych szkieł. Teraz mam tylko jedno oko. Czekaaj, czekaaj...

Jack zrobił ruch w stronę Prosiaczka, ale ten wgramolił się za osłonę wielkiej skały. Wysadził sponad niej głowę i błysnął złowrogo na Jacka jednym szkłem.

— Teraz mam tylko jedno oko. Czekaaj, czekaaj...

Jack zaczął małpować płaczliwy ton i gramolenie się Prosiaczka:

— Czekaaj, czekaaj...

Wszystko to, i Prosiaczek, i cała ta parodia, było tak komiczne, że myśliwi wybuchnęli śmiechem. Zachęciło to Jacka do dalszego małpowania i śmiech przeszedł w huraganową histerię. Ralf stwierdził z niechęcią, że usta mu drgają; był zły na siebie, że się załamał.

— To było świństwo — mruknął.

Jack przestał się wygłupiać i stanął przed Ralfem. Jego słowa zabrzmiały krzykliwie:

— Dobra już, dobra!

Spojrzał na Prosiaczka, myśliwych, Ralfa.

— Bardzo mi przykro. Za to ognisko. Ja...

Wyprostował się.

— Przepraszam.

Szmer wśród myśliwych był szmerem uznania za ten szarmancki postęp. Wyraźnie uważali, że Jack postąpił przyzwoicie, że poprzez swoje wielkoduszne przeprosiny przedstawił się w dobrym świetle, a Ralf jakoś jakby w złym. Oczekiwali równie przyzwoitej odpowiedzi.

Jednakże Ralf milczał. Słowa Jacka, zważywszy rodzaj postępu, oburzyły go. Ognisko zgasło, okręt odplynał. Czy oni tego nie rozumieją? Zamiast przyzwoitej odpowiedzi, usłyszeli gniewne słowa:

— To było świństwo.

Na szczycie góry zrobiło się cicho, a w oczach Jacka pojawił się nieokreślony wyraz i zaraz znikł. Ostatnie słowa Ralfa były nieuprzejmym pomrukiem:

— No, dobra. Rozpalcie ogień.

Napięcie zelżało nieco, gdy otrzymali konkretne zadanie. Ralf nic już nie mówił, nic nie robił, stał tylko patrząc na popiół u swych stóp. Jack krzątał się hałaśliwie. Wydawał polecenia, śpiewał, gwizdał, rzucał uwagi do milczącego Ralfa — uwagi, które nie wymagały odpowiedzi, więc nie zagrażały wywołaniem ostrej odprawy; a Ralf mimo to milczał. Nikt, nawet Jack, nie śmiał go poprosić, żeby się odsunął, i w końcu musiano ułożyć drzewo o kilka kroków dalej, w miejscu nie tak dogodnym na ognisko jak poprzednie. Ralf więc umocnił swoje wodzostwo i to w taki sposób, że trudno o lepszy. Wobec tej broni, tak nieokreślonej a tak skutecznej, Jack czuł się bezsilny, toteż był wściekły, sam nie wiedząc czemu. Nim ułożono stos, między chłopcami wyrosła wysoka przegroda.

W związku z ogniskiem powstał jeszcze jeden problem. Jack nie miał go czym rozpalić. Wówczas, ku jego zdziwieniu, Ralf podszedł do Prosiaczka i wziął od niego okulary. Nawet nie wiedział, że zerwanie więzi z Jackiem umocniło ją z Prosiaczkiem.

— Odniosę ci je.

— Pójdę z tobą.

Prosiaczek stał za Ralfem, otoczony morzem rozmazanych barw, kiedy ten klęcząc ześrodkowywał lśniąca plamkę. Ledwie błysnął płomień, Prosiaczek wyciągnął ręce i odebrał okulary.

Na widok fantastycznie powabnych kwiatów fioletu, czerwieni i złota stopniała w nich nieżyczliwość. Stali się kręgiem chłopców u obozowego ogniska i nawet Ralf i Prosiaczek jakby ulegli temu nastrojowi. Wkrótce część chłopców pobiegła na dół po więcej drzewa, a tymczasem Jack ćwiartował świnie. Próbowali upiec ją w całości na drągu nad ogniskiem, ale drąg zajmował się od ognia, zanim świnia zdążyła zaskwierzyć. W końcu więc nadziewali kawałki mięsa na patyki i trzymali je w płomieniach — ale nawet wtedy płomienie zagrażały, że zrobią pieczone i z mięsa, i z kucharza.

Ralfowi ciekła ślinka. Miał zamiar odmówić jedzenia mięsa, jednak dotychczasowa dieta z owoców i orzechów, a rzadziej krabów i ryb, nie zezwoliła na wytrwały opór. Przyjął ofiarowany kawałek na wpół surowego mięsa i zaczął go szarpać zębami jak wilk.

Prosiaczek, któremu także ciekła ślinka, spytał:

— A ja nie dostanę?

Jack początkowo chciał tylko wzbudzić w nim niepewność, dla zaznaczenia swojej władzy, teraz jednakże słowa Prosiaczka, świadczące o pominięciu go w podziale, stworzyły konieczność zastosowania większego okrucieństwa.

— Ty nie polowałeś.

— Ralf też nie polował — rzekł Prosiaczek płaczliwie — ani Simon. — Zaczął wyrzekać — A w krabach tyle mięsa, co kot napłakał.

Ralf poruszył się niespokojnie. Simon, siedzący między bliźniakami a Prosiaczkiem, podsunął mu swój kawałek, który ten schwycił skwapliwie. Bliźniacy zachichotali, a Simon, zawstydzony, schylił głowę.

Wówczas Jack zerwał się, odciął wielki kawał mięsa i cisnął go Simonowi pod stopy.

— Jedz! Niech cię cholera!

Spojrzał z wściekłością na Simona.

— Bierz to!

Okręcił się na pięcie w środku oszołomionego kręgu chłopców.

— Zdobyłem dla was mięso!

Niezliczone i niewysłowione zawody sprawiły, że jego wściekłość miała cechę żywiołu i budziła grozę.

— Wymalowałem sobie twarz... Zakradłem się. I teraz jecie... wszyscy... a ja...

Z wolna na wierzchołku góry zapanowała cisza tak głęboka, że słychać było tylko trzask ognia i łagodny syk pieczonego mięsa. Jack rozglądał się szukając zrozumienia, ale znalazł jedynie szacunek. Ralf stał na popiołach ogniska sygnałnego trzymając pełne ręce mięsa i milczał.

W końcu ciszę przerwał Maurice. Poruszył jedyny temat, który mógł pojednać większość z nich.

— Gdzie znaleźliście tę świnię?

Roger wskazał nieprzyjazne zbocze góry.

— One były tam... nad wodą.

Jack, który powoli przychodził do siebie, nie mógł pozwolić, aby go wyręczono w opowiadaniu. Przerwał mu więc szybko:

— Otoczyliśmy je. Podkradłem się na czworakach. Włócznie wypadały, bo nie mają zadziorów. Świnia uciekła i narobiła straszego wrzasku...

— Zawróciła i wpadła do koła... Krwawiła...

Wszyscy mówili jednocześnie, odprężeni i podnieceni.

— Podeszliśmy bliżej...

Pierwszy cios sparaliżował jej tylne nogi, tak że mogli podejść i tłuc, tłuc...

— Ja przeciąłem jej gardło...

Bliźniacy, wciąż z identycznym uśmiechem na twarzach, wstali i zaczęli biegać w kółko. Po chwili reszta chłopców przyłączyła się do nich pokrzykując i naśladując wrzaski zarzynanej świni.

— Ciach ją po łbie!

— Rym ją w ucho!

Potem Maurice zaczął udawać, że jest świnią, i wbiegł kwicząc w środek koła, a myśliwi, nadal każąc, udawali, że go biją. Tańcząc, tak wyśpiewywali:

— Nożem świnię! Ciach po gardle! Tryska krew!

Ralf patrzył na nich z zazdrością i oburzeniem. Dopiero gdy osłabli i pieśń ucichła, przemówił:

— Zwołuję zebranie.

Jeden po drugim stawali i wlepiali w niego oczy.

— Konchą. Zwołuję zebranie, choćby się nawet miało przeciągnąć do nocy. Na dole, na granitowej płycie. Jak zatrąbię konchą. Zaraz.

Odwrócił się i zaczął schodzić z góry.

Zwierz z morza

Był przypyływ i między wodą a zwałem wyrzuconych z morza odpadków wzdłuż tarasu palmowego leżał tylko wąski pas twardego piasku. Ralf obrał tę drogę, bo musiał pomyśleć; a tylko tędy mógł iść nie patrząc pod nogi. Nagle, kiedy tak szedł nad skrajem wody, ogarnęło go zdziwienie. Poczuł, że rozumie nudę tego życia, gdzie każda dróżka była improwizacją i gdzie znaczną część czasu poświęcało się na pilnowanie własnych kroków. Zatrzymał się i stanął twarzą do przebytej drogi; wspomniał pierwszą entuzjastyczną wyprawę, jakby należała do pogodniejszego dzieciństwa, uśmiechnął się drwiąco. Potem odwrócił się i zaczął znowu iść w stronę granitowej płyty, naprzeciw świejącemu w twarz słońcu. Zbliżał się czas zebrania i wkraczając w przepych oślepiającego blasku słońca Ralf przebiegał w myślach główne punkty swego przemówienia. Nie może być żadnych nieporozumień odnośnie tego zebrania, żadnych pogoni za urojonymi...

Zgubił się w labiryncie myśli, które rysowały się niejasno ze względu na zbyt mały zasób słów, by je wyrazić. Marszcząc brwi spróbował jeszcze raz.

To zebranie nie może być zabawą, musi być poważne.

Przyśpieszył kroku, uświadomiwszy sobie nagle pilność sprawy, położenie chylącego się ku zachodowi słońca i owiewający mu twarz lekki prąd powietrza, wywołany szybkością marszu. Ten prąd powietrza przyciskał mu szarą koszulę do piersi tak, że zauważył — w tym nowym nastroju zrozumienia — iż była sztywna jak tektura i przykra w dotyku; zauważył też, że wystrzępione nogawki szortów robiły mu na udach nieprzyjemne, różowawe plamy. Ze wstrząsem odkrył brud i rozkład; pojął, jak bardzo

mu obrzydło bezustanne odgarnianie zmierzwionych włosów znad oczu, a wreszcie, po zachodzie słońca, układanie się z hałasem na spoczynek pośród kupy zeschniętych liści. Na myśl o tym zaczął biec.

Na plaży przy basenie stały grupki chłopców czekających na zebranie. W milczeniu usuwali mu się z drogi, świadomi jego gniewu i własnego przewinienia.

Miejsce zebrań miało kształt trójkąta; trójkąt był jednak nieregularny i fragmentaryczny, jak wszystko, co robili. Jego podstawę tworzyła palma, na której teraz siedział Ralf, wyjątkowo duża w porównaniu z innymi palmami rosnącymi na tej płycie. Zapewne przyniósł ją tu jeden z owych legendarnych sztormów Pacyfiku. Leżała równoległe do plaży, tak że kiedy Ralf na niej siedział, miał przed sobą wyspę, ale dla chłopców był tylko ciemną sylwetką na tle lśniącej laguny. Dwa pozostałe boki trójkąta były już mniej wyraźnie zaznaczone. Po prawej stronie leżał wypolerowany z wierzchu niespokojnymi siedzeniami pień, ale nie tak duży ani tak wygodny, jak ten, na którym siedział wódz. Z lewej strony były cztery małe, a jeden z nich — najodleglejszy — żałośnie wygięty. Na każdym zebraniu wybuchano śmiechem, kiedy ktoś nierozważnie przechylił się zbyt do tyłu i pień okręcał się zrzucając kilku chłopców plecami na trawę. A jednak żaden z nich nie miał dość oleju w głowie — ani on sam, ani Jack, ani Prosiaczek — żeby przynieść kamień i pień podeprzeć. Będą więc nadal cierpliwie znosić psikusy źle wyważonego pnia, bo... bo... Znowu zagubił się wśród zawilóści problemów.

Przed każdym pniem trawa była wydeptana, ale na środku trójkąta rosła bujna i nie tknięta. U wierzchołka także była gęsta i wysoka, bo nikt tam nie siedział. Dookoła miejsca zgromadzenia stały szare pnie, proste lub pochyle, podtrzymujące niski strop listowia. Po obu stronach była plaża; z tyłu — laguna; z przodu — ciemniejąca wyspa.

Ralf stanął twarzą do miejsca wodza. Nigdy dotąd nie gromadzili się tu o tak późnej porze. Dlatego teraz plac ten wyglądał inaczej. Podczas dotychczasowych zebrań zielony pułap był rozjaśniony od dołu mozaiką złotych odblasków, a twarze oświetlone odwrotnie niż zazwyczaj, jakby — myślał Ralf — jakby się trzymało w dłoniach latarkę elektryczną. Teraz jednak słońce padało z ukosa i cienie leżały tam, gdzie powinny.

Znowu wpadł w ów dziwny nastrój rozmyślań, który był mu tak obcy. Jeżeli twarze robią się inne zależnie od tego, czy są oświetlone z dołu, czy z góry — to czym jest twarz? Czym jest cokolwiek?

Poruszył się niecierpliwie. Cały kłopot w tym, że jeśli się jest wodzem, to trzeba myśleć, trzeba być mądrym. Poza tym zdarzają się takie chwile, że trzeba natychmiast powziąć decyzję. To zmusza do myślenia, bo myśl jest rzeczą cenną, daje wyniki...

Tylko — stwierdził Ralf stojąc przed miejscem wodza — tylko że ja nie potrafię myśleć. Nie tak jak Prosiaczek.

Raz jeszcze tego wieczora musiał Ralf dokonać pewnych przewartościowań. Prosiaczek umie myśleć. Potrafi pracować tą swoją wielką głową, tylko że nie on jest wodzem. Ale Prosiaczek mimo swej śmiesznej figury ma łeb na karku. Ralf stał się teraz specjalistą od myślenia i umiał poznać się na tym, że ktoś inny też myśli.

Świejące w oczy słońce przypomniało mu, że czas ucieka, podniósł więc z kłody konchę i przyjrzał się jej. Wyblakła na powietrzu — to, co było żółte i różowe, stało się teraz niemal białe i przezroczyste. Ralf odnosił się do konchy z pewną tkliwością i czcią, może dlatego, że sam ją wyłowił z laguny. Odwrócił się twarzą do miejsca zebrań i przytknął konchę do ust.

Chłopcy oczekiwali tego wezwania i przyszli natychmiast. Ci, którzy wiedzieli, że okręt minął wyspę, kiedy ognisko się nie paliło, byli przygaszeni myślą o Ralfowym gniewie; inni, włącznie z maluchami, które nie zdawały sobie z tego sprawy, byli pod wrażeniem ogólnej powagi. Miejsce zebrań szybko się zapełniło; Jack, Simon, Maurice, większość myśliwych po prawej stronie Ralfa; pozostali siedli z lewej, w słońcu. Prosiaczek stanął na zewnątrz trójkąta. Oznaczało to, że chciał posłuchać, ale nie myślał zabierać głosu. Prosiaczek pragnął wyrazić tym swą dezaprobatę.

— Pierwsza rzecz: zebranie jest potrzebne.

Nikt nic nie powiedział, ale twarze zwrócone do Ralfa były uważne. Zamachał konchą. Z praktyki wiedział, że podobnie fundamentalne stwierdzenia muszą być przynajmniej dwa razy powtórzone, nim wszyscy je zrozumieją. Trzeba siedzieć, ściągając uwagę wszystkich na konchę i ciskać słowa jak ciężkie głazy między grupki przycupniętych lub siedzących w kucki chłopców. Szukał prostych słów, żeby nawet maluchy zrozumiały, po co jest zebranie. Później zapewne doświadczeni dyskutanci — Jack, Maurice, Prosiaczek — użyją całej sztuki, by wszystko zagmatwać, ale teraz, na początku, przedmiot debaty musi być jasno wyłożony.

— Zebranie jest nam potrzebne. Nie dla zabawy. Nie dla psikusów i spadania z pnia — grupka maluchów na wywrotnym pniu zachichotała i wymieniła spojrzenia — nie

dla dowcipkowania ani... — uniósł konchę, starając się utrafić w odpowiednie słowo — mędrkowania. Nie do tych rzeczy. Ale by ustalić pewne sprawy.

Przerwał na chwilę.

— Poszedłem się przejść. Sam poszedłem. Myślałem o naszym położeniu. Wiem, czego nam potrzeba. Zebrania, aby ustalić pewne sprawy.

Przerwał i automatycznym ruchem odgarnął z oczu włosy. Prosiaczek, którego protestu nawet nie zauważono, wszedł na palcach do środka trójkąta i przyłączył się do reszty chłopców.

Ralf ciągnął dalej:

— Mieliśmy mnóstwo zebrań. Wszyscy lubią mówić i być razem. Postanawiamy różne rzeczy. Ale ich nie robimy. Mieliśmy przynosić wodę ze strumienia i stawiać tam, w skorupach od orzechów kokosowych, pod świeżymi liśćmi. Było tak przez kilka dni. Teraz już nie ma wody. Skorupy są puste. Wszyscy piją prosto z rzeki.

Podniósł się szmer potakiwania.

— Nie mówię, że jest coś złego w picciu wody prosto z rzeki. Sam wolę pić wodę stamtąd... z rozlewiska koło wodospadu... niż ze starej skorupy kokosu. Ale powiedzieliśmy, że będziemy przynosić wodę. A teraz nie przynosimy. Dzisiaj po południu były tylko dwie skorupy.

Zwilżył językiem wargi.

— Teraz sprawa chat. Szałasów.

Szmer podniósł się znowu i z wolna zamarł.

— Śpicie głównie w szałasach. Dzisiaj, oprócz Sama i Eryka, którzy są na górze przy ognisku, wszyscy będziecie tam spali. A kto budował te szałas?

Natychmiast powstała wrzawa. Każdy je budował. Ralf musiał znowu pomachać konchą.

— Chwileczkę! Chodzi mi o to, kto budował wszystkie trzy? Wszyscy budowaliśmy pierwszy, czterech nas budowało drugi, a ja z Simonem tamten ostatni. Dlatego jest taki rozklekotany. Nie śmiecie się. Ten szałas może się zawalić, gdy nadejdą deszcze. A wtedy szałas będą nam naprawdę potrzebne.

Odchrząknął.

— Następna sprawa. Wybraliśmy tamte skały tuż za basenem na latrynę. Mądra rzecz. Przyływ za każdym razem zmywa stamtąd brudy. Wy, maluchy, wiecie o tym.

Tu i ówdzie rozległy się chichoty, dały się zauważyć szybko wymieniane spojrzenia.

— Teraz każdy chodzi tam, gdzie chce. Nawet koło szalasów i koło płyty. Słuchajcie, maluchy, jak idziecie na owoce i przypili was...

Zgromadzenie ryknęło śmiechem.

— Jak was przypili, trzymajcie się z dala od owoców. Bo to świństwo.

Znowu wybuchł śmiech.

— Mówię, że to świństwo!

Szarpnął palcami sztywną, szarą koszulę.

— To prawdziwe świństwo. Jeśli was przypili, macie iść na plażę, między skały. Zrozumiano?

Prosiaczek wyciągnął ręce po konchę, ale Ralf potrząsnął głową przecząco. Miał przemówienie ułożone punkt po punkcie.

— Musimy wszyscy zacząć znowu używać tamtego miejsca. Wszędzie zaczyna być pełno paskudztwa. — Przerwał. Zgromadzenie wyczuwając kryzys czekało w napięciu. — A teraz sprawa ogniska.

Westchnął ciężko i to westchnienie odbiło się echem wśród słuchających. Jack zaczął siekać nożem kawałek drewna i szepnął coś do Roberta, który odwrócił głowę.

— Ognisko jest najważniejszą rzeczą na wyspie. Jakże możemy liczyć na ocalenie, jeśli nie pilnujemy ogniska? Czy to za trudne dla nas?

Wyciągnął rękę przed siebie.

— Spójrzcie, ilu nas jest. A mimo to nie potrafimy podtrzymać ognia, żeby był dym. Czy wy nie rozumiecie? Czy nie możecie zrozumieć, że powinniśmy... powinniśmy prędzej zginąć, niż dopuścić, żeby ogień zgasł?

Wśród myśliwych rozległ się nieśmiały chichot. Ralf zwrócił się do nich porywczo:

— Wy, myśliwi! Możecie się sobie śmiać! Ale ja wam mówię, dym jest ważniejszy od świń, choćbyście ich nie wiadomo ile co dzień przynosili. Czy nie rozumiecie? — Rozpostarł szeroko ramiona i zwrócił się do wszystkich:

— Musimy utrzymać ten ogień... albo zginąć. Urwał przed przejściem do następnego punktu.

— I jeszcze jedna rzecz.

Ktoś krzyknął:

— Za dużo tych rzeczy!

Rozległ się pomruk uznania. Ralf przekrzyczał go.

— I jeszcze jedna rzecz. O mało nie podpaliliśmy całej wyspy. Tracimy czas staczając głązy i rozpalając małe ogniska do gotowania. Teraz ja wam mówię i takie będzie prawo, bo jestem wodzem. Nie wolno palić żadnych ognisk, prócz tego na wierzchołku góry. Pod żadnym pozorem.

Natychmiast wybuchła wrzawa. Chłopcy wstawali i wrzeszczeli, a Ralf im odkrzykiwał.

— Bo jak wam potrzebny ogień, żeby upiec kraba albo rybę, możecie z powodzeniem pójść na górę. W ten sposób będziemy bezpieczni.

W świetle zachodzącego słońca dziesiątki rąk wyciągnęły się po konchę. Nie oddał jej i wskoczył na pień palmy.

— To właśnie chciałem wam powiedzieć. I powiedziałem. Wybraliście mnie na wodza. Teraz musicie robić, co wam mówię.

Uspokoił się powoli i w końcu znowu posiadali. Ralf zeskoczył z pnia i zaczął mówić dalej już spokojnym głosem:

— Pamiętajcie więc. Latryna wśród skał. Podtrzymywanie ognia i dymny sygnał. Nie zabierać ognia z wierzchołka góry. Kto chce coś upiec, ma z tym iść na górę.

Jack wstał krzywiąc twarz w półmroku; wyciągnął rękę.

— Jeszcze nie skończyłem.

— Ale gadasz i gadasz bez przerwy.

— Trzymam konchę.

Jack usiadł mruczając pod nosem.

— I ostatnia rzecz. O tym możemy sobie porozmawiać.

Odczekał, póki zgromadzenie się nie uspokoiło.

— Wszystko zaczyna się psuć. Nie rozumiem czemu. Zaczęło się dobrze, byliśmy szczęśliwi. A potem...

Poruszył lekko konchę patrząc gdzieś poza nich i przypominając sobie zwierza, węża, pożar lasu, rozmowy o strachu.

— Potem zaczął się strach.

Podniósł się pomruk, niemal jęk, i ucichł. Jack przestał strugać drzewo. Ralf mówił szybko dalej:

— Ale to dziecinna paplanina. Zrobimy z nią porządek. Więc ostatnia rzecz, o której wszyscy możemy pomówić, to sprawa tego strachu.

Włosy zaczęły wlażyć mu do oczu.

— Musimy porozmawiać o tym strachu i przekonać się, że nie ma się czego bać! Ja sam czasem się boję, ale to są bzdury! Jak ze straszidłami. A potem, kiedy już to załatwimy, możemy wszystko zacząć od nowa i dbać o takie sprawy jak ognisko. — Na chwilę ujrzał w myślach obraz trzech chłopców idących po plaży. — I żeby znów było nam dobrze.

Położył uroczyście konchę na pniu obok siebie dając tym znak, że skończył mówić. Skąpe promienie słońca, które do nich docierały, padały poziomo. Teraz wstał Jack i wziął konchę.

— Więc mamy się tutaj zastanowić, co się stało. Ja wam powiem, co się stało. Wszystko zaczęliście wy, maluchy, swoim gadaniem o strachach. Zwierzęta! Jakie zwierzęta? Jasne, że czasami mamy stracha, ale to trudno. Ralf mówi, że wrzeszczycie w nocy. To może tylko znaczyć, że macie złe sny. W każdym razie nie polujecie, nie budujecie szałasów, nic nie pomagacie — jesteście kupą beks i maminsynków. I to wszystko. A jeśli chodzi o strach, musicie nauczyć się go znosić jak my wszyscy.

Ralf spojrział na Jacka i otworzył usta, ale Jack nie zwrócił na to uwagi.

— Strach może wam tyle zrobić, co zły sen. Tu nie ma żadnych zwierząt na wyspie, których trzeba się bać. — Przebiegł wzrokiem rząd szepczących maluchów. — Tyle z was pożytku, że nawet dobrze by było, żeby was coś porwało, beksy zatracone! Ale tu nie ma żadnych zwierząt...

Ralf przerwał mu gniewnie:

— Co ty gadasz? Kto mówił o zwierzętach?

— Ty, parę dni temu. Mówiłeś, że im się śni i krzyczą. A teraz plotą — nie tylko maluchy, moi myśliwi też — plotą o czymś czarnym, jakimś potworze, jakimś zwierzu. Sam słyszałem. Myślisz, że nie? Słuchajcie. Na małych wyspach nie ma wielkich zwierząt. Tylko świnie. Lwy i tygrysy mieszkają w wielkich krajach, jak Afryka i India...

— I ZOO...

— Ja trzymam konchę. Nie mówię o strachu. Mówię o zwierzu. Bójcie się, jak chcecie. Ale jeśli chodzi o zwierza...

Przerwał, kołysząc konchę w rękach, następnie zwrócił się do myśliwych, siedzących w brudnych czarnych czapkach.

— Jestem myśliwy czy nie?

Kiwnęli głowami. Jasne, że jest myśliwym. Nikt w to nie wątpi.

— No to słuchajcie. Schodziłem całą wyspę. Sam jeden. Gdyby tu był jakiś zwierz, tobym go zobaczył. Bójcie się sobie, jak chcecie — ale tu, w lesie, nie ma żadnego zwierza.

Położył konchę i usiadł. Całe zgromadzenie z ulgą go oklaskało. Z kolei sięgnął po konchę Prosiaczek.

— Zgadzam się z tym, co powiedział Jack, ale nie we wszystkim. Jasne, że w lesie nie ma żadnego zwierza. No bo skąd? Co by taki zwierz jadł?

— Świnie.

— My jemy świnie.

— Prosiaczka!

— Ja trzymam konchę! — krzyknął Prosiaczek z oburzeniem. — Ralf, niech oni się zamkną. Zamknijcie się, maluchy! Chodzi mi o to, że ja się nie zgadzam z tym całym strachem. Oczywiście, nie ma się czego w lesie bać. Ba, sam tam chodziłem! Niedługo zaczniecie gadać o duchach i różnych takich rzeczach. My wiemy, jak sprawy stoją, i jeśli coś jest nie tak, zawsze się znajdzie jakieś lekarstwo.

Zdjął okulary i patrzył na nie mrugając powiekami. Słońce zgasło, jakby ktoś przekreślił kontakt.

Prosiaczek perorował dalej:

— Jeżeli kogoś boli brzuch, to czy jest mały, czy duży...

— Twój jest duży.

— Jak skończycie się śmiać, może będziemy mogli dalej prowadzić zebranie. A jeżeli te maluchy wleżą z powrotem na kłodę, to zaraz znowu pospadają. Niech więc usiądą na ziemi i słuchają. Nie. Na wszystko są lekarze, nawet na to, co się dzieje w naszej głowie. Nie myślicie chyba, że trzeba się bać czegoś, czego nie ma? Życie — powiedział Prosiaczek wylewnie — trzeba traktować naukowo, ot co. Za rok albo dwa, gdy się skończy wojna, ludzie będą latali na Marsa. Wiem, że tu nie ma żadnego zwierza — znaczy takiego z pazurami i tak dalej — ale wiem również, że nie ma żadnego strachu.

Prosiaczek przerwał.

— Chyba że...

Ralf poruszył się niespokojnie.

— Że co?

— Że byłby to strach przed ludźmi.

Z ust siedzących chłopców wydobył się jakiś dźwięk, ni to śmiech, ni to drwina. Prosiaczek schylił głowę i ciągnął pośpiesznie dalej:

— Więc wysłuchajmy tego malucha, który mówił o zwierzu, i może potrafimy mu udowodnić, jaki z niego głuptas.

Maluchy zaczęły paplać między sobą, a potem jeden z nich wystąpił naprzód.

— Jak się nazywasz?

— Phil.

Jak na malucha, był bardzo pewny siebie, kiedy tak stał kołysząc konchę w wyciągniętych rękach jak Ralf i patrzył po twarzach zebranych, aby przyciągnąć ich uwagę, nim zacznie mówić.

— Wczoraj w nocy miałem sen, straszny sen, że się biję. Stałem sam jeden przed szalasem i biłem się z tymi takimi, co wiszą skręcone na drzewach.

Urwał, a współczujące maluchy pokryły swe przerażenie śmiechem.

— Potem się przestraszyłem i zbudziłem. I byłem przed szalasem sam jeden po ciemku i tych, co wiszą skręcone na drzewach, już nie było.

Przejmująca groza tego, co chłopczyk opowiadał, tak prawdopodobnego i tak jawnie przerażającego, sprawiła, że wszyscy milczeli. Dziecinny głosik zapiszczał znowu zza białej konchy:

— I się przestraszyłem, i zacząłem wołać Ralfa, i wtedy zobaczyłem coś ruszającego się pomiędzy drzewami, coś wielkiego i straszego.

Przerwał, jakby przerażony na samo wspomnienie, a jednocześnie dumny z wrażenia wywołanego wśród zebranych.

— Miał złe sny — rzekł Ralf — i chodził we śnie. Zgromadzenie potwierdziło te słowa pomrukiem. Jednakże malec potrząsnął głową z uporem.

— Spałem, jak się biłem z tymi takimi, co wiszą na drzewach, a jak odeszły, to już nie spałem i widziałem, że coś wielkiego i straszego rusza się między drzewami.

Ralf wyciągnął rękę po konchę i maluch usiadł.

— Śniło ci się. Tam nikogo nie było. Kto by się włóczył nocą po lesie? Czy ktoś wychodził w nocy z szałasu?

W ciszy, która zapadła, sama myśl, że ktoś mógłby wyjść w nocy z szałasu, wywołała wśród zgromadzonych uśmiechy. W końcu wstał Simon i Ralf spojrzął na niego zdumiony.

— Ty? Po coś wałęsał się po nocy?

Simon kurczowym ruchem chwycił konchę.

— Ja... ja chciałem pójść... do jednego miejsca.

— Jakiego miejsca?

— Mam takie. Takie miejsce w dżungli.

Zawahał się.

Sprawę tę rozstrzygnął za nich Jack z właściwą sobie pogardą w głosie, która potrafiła zabrznieć tak śmiesznie, a zarazem tak ostatecznie.

— Przycisnęło go.

Współczując Simonowi z powodu jego upokorzenia Ralf zabrał mu konchę spoglądając przy tym na niego surowo.

— W każdym razie więcej tego nie rób. Rozumiesz? Przynajmniej w nocy. Dość mamy głupiego gadania o zwierzach i bez twojego skradania się jak...

W drwiącym śmiechu, jaki wybuchł, był odcień lęku i potępienia. Simon otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale konchę miał już Ralf, wrócił więc na swoje miejsce.

Gdy zgromadzenie uciszyło się, Ralf odezwał się do Prosiaczka:

— No co, Prosiaczku?

— Jest jeszcze jeden. Ten.

Maluchy wypchnęły Percivala naprzód, po czym zostawiły go samego. Stał po kolana w trawie na środku trójkąta, patrząc na ukryte w niej stopy, i próbował wyobrazić sobie, że jest w szałasie. Ralf przypomniał sobie innego chłopczyka, który stał w podobny sposób. Wzdrygnął się na to wspomnienie. Tłamsił w sobie dotychczas myśl o tym, odpychał od siebie, ale ten widok sprawił, że znowu odżyła. Nie liczono już więcej maluchów, w części dlatego, że nie istniała żadna pewność, że wszyscy zostaną uwzględnieni, a w części dlatego, że Ralf znał odpowiedź na przynajmniej jedno z pytań, które Prosiaczek zadał na wierzchołku góry. Ci wszyscy malcy, jasnowłosi, ciemnowłosi, piegowaci, byli brudni, ale żaden z nich nie miał na twarzy jakiejś widocznej skazy. Już

nigdy więcej nie widziano chłopczyka z myszką na buzi. Ale wtedy Prosiaczek chciał ich tylko przywołać do porządku, zastraszyć. Przyznając w milczeniu, że pamięta to niewypowiedziane, Ralf skinął na Prosiaczka.

— Mów. Pytaj go.

Prosiaczek ukląkł trzymając konchę.

— No dobrze. Jak się nazywasz?

Chłopczyk wcisnął się w kąt swojego wyimaginowanego szałas. Prosiaczek spojrzał bezradnie na Ralfa, który zapytał malca ostro:

— Jak się nazywasz?

Dreńzone tym milczeniem zgromadzenie zaczęło skandować chórem:

— Jak się nazywasz? Jak się nazywasz?

— Cisza!

Ralf przyjrzał się pilnie dziecku w otaczającym ich półmroku.

— No powiedz. Jak się nazywasz?

— Percival Wemys Madison, plebania Harcourt St. Anthony, Hants, telefon, telefon, te...

Jakby ta informacja sięgała korzeniami samych źródeł smutku, maluch rozplakał się. Buzia mu się wykrzywiła, z oczu trysnęły łzy, a usta rozwarły się szeroko, tworząc kwadratowy czarny otwór. Początkowo przedstawiał niemy obraz smutku, ale za chwilę wydobył z siebie lament głośny i przeciągły jak dźwięk konchy.

— Zamknij się! Zamknij się!

Percival Wemys Madison nie chciał się zamknąć. Oto odskoczył jakiś zatrząsk pozostający poza wpływem wszelkich gróźb czy próśb. Płacz nie ustawał i malec jakby przygwożdżony nim do ziemi stał i zanosił się od szlochu.

— Zamknijcie się! Zamknijcie się!

Bo reszta malców też nie siedziała już w milczeniu. Przypomnieli sobie własne smutki albo poczuli się w obowiązku wziąć udział w żałości, którą uznali za powszechną. Dzieci zaczęły płakać ze współczucia, a dwoje prawie tak głośno jak Percival.

Ocalił ich Maurice. Krzyknął:

— Spójrzcie na mnie!

Udał, że się przewraca. Wstał pocierając tyłek, usiadł na wywrotnym pniu i spadł z niego w trawę. Błaznował kiepsko, ale Percival i inni malcy śmiali się pociągając nosami. Wkrótce śmiech stał się tak zaraźliwy, że przyłączyły się do niego nawet starszaki.

Jack zaczął mówić pierwszy. Nie miał w ręku konchy, więc mówił wbrew zasadom, ale nikt na to nie zwracał uwagi.

— A co powiesz o zwierzu?

Coś dziwnego zaczęło się dziać z Percivalem. Ziewnął i zatoczył się, aż Jack musiał go przytrzymać i potrząsnąć.

— Gdzie ten zwierz mieszka?

Percival zwisał bezwładnie w ramionach Jacka.

— To musi być sprytny zwierz — rzekł Prosiaczek drwiąco — jeśli potrafi się ukryć na naszej wyspie.

— Jack wszędzie chodził...

— Gdzie ten zwierz mógłby mieszkać?

— Tralala, taki tam zwierz!

Percival mruknął coś, a zgromadzenie znowu zaczęło się śmiać. Ralf pochylił się w jego stronę.

— Co on mówi?

Jack wysłuchał odpowiedzi Percivala i puścił go. Uwolniony chłopczyk, otoczony kojącą obecnością istot ludzkich, padł w trawę i zasnął.

Jack chrząknął i niedbałym tonem powtórzył, co usłyszał:

— Mówi, że zwierz wychodzi z morza.

Ostatni śmiech zamarł. Ralf mimo woli odwrócił się — czarna, zgarbiona postać na tle laguny. Zgromadzenie też spojrzało w tamtą stronę; patrzyli na ogromną przestrzeń wody, rozhuśtane w dali morze, tajemne indygo nieograniczonych możliwości; nasłuchiwali w ciszy szumu i poszeptywania od strony rafy.

Nagle odezwał się Maurice — tak głośno, że wszyscy aż podskoczyli:

— Tata mi opowiadał, że ludzie jeszcze nie znają wszystkich zwierząt, które żyją w morzu.

Kłótnia rozpoczęła się na nowo. Ralf wyciągnął połyskliwą konchę i Maurice wziął ją posłusznie. Zgromadzenie ucichło.

— Chciałem powiedzieć, że Jack dobrze mówi, że się boimy, bo tacy już jesteśmy i nie ma na to rady. I myślę, że ma rację, jak mówi, że tu na wyspie są tylko świnie, ale naprawdę to skąd on może wiedzieć, to znaczy, nie może wiedzieć na pewno — Maurice nabrał tchu. — Mój tata mówił, że są takie stworzenia... jak one się nazywają... co robią atrament, aha, kałamarnice, które mają kilkaset jardów długości i mogą połknąć całego wieloryba. — Znowu przerwał i zaśmiał się wesoło. — Wcale nie wierzę w żadnego zwierza. Bo jak Prosiaczek mówi, należy życie traktować naukowo, ale skąd my możemy wiedzieć? To znaczy, nie na pewno...

Ktoś krzyknął:

— Kałamarnica nie mogłaby wyjść z wody!

— A mogłaby!

— A właśnie, że nie!

W jednej chwili granitową płytę wypełniły skłócone, rozgestykulowane cienie. Ralf, który pozostał na swoim miejscu, odniósł wrażenie, że wszyscy zwariowali. Lęk, zwierzęta, brak powszechnej zgody co do wagi ognia sygnałowego, a na domiar złego dyskusja schodzi na sprawy uboczne wnosząc nowe nieprzyjemne elementy.

Zobaczył koło siebie konchę bielejącą w mroku, sięgnął więc, wyrwał ją Maurice'owi i zatrąbił, jak tylko umiał najgłośniej. Wszyscy umilkli nagle. Siedzący tuż obok niego Simon dotknął rękami konchy. Simon odczuwał ryzykowną potrzebę powiedzenia czegoś, ale publiczne wystąpienie było dla niego rzeczą straszną.

— Może — rzekł z wahaniem — może zwierz naprawdę jest?

Zgromadzenie wydało dziki okrzyk, a Ralf aż wstał ze zdumienia.

— Ty, Simon? Ty w to wierzysz?

— Ja nie wiem — rzekł Simon. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. — Ale...

Zerwała się burza głosów.

— Siadaj!

— Zamknij się!

— Zabrać mu konchę!

— Stul pysk!

— Zamknij się!

Ralf krzyknął:

— Słuchajcie go! On ma konchę!

— Chciałem powiedzieć... że może to tylko my sami.

— Stuknięty!

Słowo to wypowiedział Prosiaczek, który zapomniał się z oburzenia. Simon ciągnął dalej:

— Może jesteśmy trochę...

Utknął z wysiłku wyrażenia zasadniczej dolegliwości ludzkiej.

Nagle doznał olśnienia.

— Jakie jest największe paskudztwo na świecie?

W odpowiedzi Jack rzucił w ciszę niezrozumienia jedno brutalne, lecz pełne wyrazu słowo. Wywołane nim odprężenie było jak orgazm. Maluchy, które wdrapały się na wywrotną kłodę, znowu pospadały i wcale się tym nie przejęły. Myśliwi wrzeszczeli z zachwyty.

Cały wysiłek Simona poszedł na marne; śmiech chłostał go bezlitośnie, a on skulony i bezbronny wrócił na swoje miejsce.

Wreszcie zgromadzenie znowu się uspokoiło. Jeden z chłopców nie prosząc o głos powiedział:

— Może on ma na myśli coś w rodzaju ducha?

Ralf uniósł konchę i spojrzał bacznie w mrok. Najjaśniejszą rzeczą była blada plama plaży. Ale co to, czy maluchy znalazły się bliżej? Tak, niewątpliwie, zbiły się w ciasną grupkę na trawie pośrodku trójkąta. Palmy rozgadały się w powiewie wiatru i dźwięk ten wydawał się bardzo głośny, teraz, gdy uwydatniła go cisza i ciemność. Pnie dwóch palm ocierały się o siebie wydając złowróżbne skrzypienie, którego nikt za dnia nie zauważył.

Prosiaczek wziął konchę z jego rąk. Zaczął mówić głosem pełnym oburzenia:

— Ja nie wierzę w żadne duchy — wcale, ale to wcale!

Jack wstał również, dziwnie czemuś zły.

— Kogo to obchodzi, w co ty wierzysz, Tłusciochu!

— Ja trzymam konchę!

Dały się słyszeć odgłosy krótkiej szarpaniny i koncha przesuwała się to w jedną, to w drugą stronę.

— Oddaj mi zaraz konchę!

Ralf wcisnął się między nich i dostał w pierś kulakiem. Wyrwał któremuś konchę i usiadł bez tchu.

— Za dużo tego gadania o duchach. Lepiej poczekać z tym do rana.

Przerwał mu jakiś stłumiony głos:

— Może ten zwierz jest właśnie... duchem.

Jakby wiatr zatrzęsł zgromadzeniem.

— Za dużo tego gadania poza kolejnością — rzekł Ralf. — Jakże możemy prowadzić po ludzku zebranie, jeśli się nie trzymamy praw?

Znowu umilkł. Starannie obmyślany plan zebrania poszedł na marne.

— Co jeszcze mam wam powiedzieć? Źle zrobiłem zwołując tak późno zebranie. Przegłosujemy je, to znaczy duchy, i pójdziemy do szałasów, bo wszyscy jesteśmy zmęczeni. Nie — to ty, Jack? — zaczekaj chwilę. Z miejsca oświadczam, że nie wierzę w żadne duchy. Albo może tak mi się wydaje. Ale nie lubię o nich myśleć. A w każdym razie teraz, po ciemku. Mieliśmy zbadać, w czym rzecz.

Uniósł konchę na chwilę.

— A więc świetnie. Mnie się zdaje, że wszystko zależy od tego, czy duchy są, czy ich nie ma... Pomyślał chwilę formułując pytanie.

— Kto uważa, że duchy istnieją?

Długi czas była cisza i nie zauważało się jakiegoś wyraźnego ruchu. Potem Ralf wpatrzył się pilniej w mrok i spostrzegł wzniesione ręce.

— Widzę — rzekł tępo.

Świat, ten zrozumiały, rządzący się prawami świat, zaczął mu się usuwać spod stóp. Niegdyś było to i tamto; a teraz... i okręt odpłynął.

Ktoś wyrwał mu z rąk konchę i rozległ się głos Prosiaczka:

— Ja nie głosowałem na duchy!

Obrócił się na pięcie ku zgromadzeniu.

— Zapamiętajcie to sobie wszyscy!

Usłyszeli tupnięcie o ziemię.

— Kto my jesteśmy? Ludzie? Czy zwierzęta? A może dzikusy? Co sobie o nas pomyślą starsi? Rozłazimy się, polujemy na świnie, zapominamy o ognisku, a teraz jeszcze to!

Nagle wyrósł przed nimi jakiś cień.

— Zamknij się, tłusty próżniaku!

Powstała szarpanina i połyskująca koncha zaczęła podrygiwać w mroku. Ralf zerwał się na nogi.

— Jack! Jack! On trzyma konchę! Daj mu mówić!

W ciemności podpłynęła ku niemu twarz Jacka.

— I ty się zamknij! Za kogo ty się masz? Siedzisz i gadasz, co wszyscy mają robić. A sam nie umiesz ani polować, ani śpiewać...

— Jestem wodzem. Wybraliście mnie.

— No to co, że wybraliśmy? Wydajesz tylko głupie rozkazy...

— Prosiaczek trzyma konchę.

— Dobra, dobra, podlizuj się dalej Prosiaczkowi...

— Jack!

— Jack! Jack! — przedrzeźniał go Jack.

— Prawa! — krzyknął Ralf. — Łamiesz prawa!

— No to co?

Ralf zebrał myśli.

— Prawa to jedyna rzecz, jaką mamy.

Ale Jack wrzeszczał:

— Wypchaj się prawami! Jesteśmy silni, polujemy! Jeżeli tu jest jakiś zwierz, to go zabijemy! Otoczymy i będziemy tłuc, tłuc, tłuc, tłuc...

Wydał dziki okrzyk i skoczył na bielejący piach. W jednej chwili granitową płytę wypełniła wrzawa, podniecenie, ruch, krzyki i śmiechy. Zgromadzenie rozsypało się i ruszyło tyralierą wzdłuż plaży, aż pochłonęła je noc. Ralf poczuł na policzku dotyk konchy i zabrał ją od Prosiaczka.

— Co by powiedzieli starsi? — utyskiwał Prosiaczek. — Spójrz na nich!

Od plaży napływały odgłosy zabawy w polowanie, histeryczny śmiech i okrzyki prawdziwego przerażenia.

— Zatrąb konchą, Ralf.

Prosiaczek był tak blisko, że Ralf widział błysk szkła jego okularów.

— Chodzi o ogień. Czy oni nie rozumieją?

— Musisz być teraz twardy, Ralf. Zmusić ich, żeby robili, co każesz.

Ralf odparł z rozważą jak człowiek, który wygłasza twierdzenie:

— Jeśli zatrąbię, a oni nie wrócą, to koniec. Nie utrzymamy ognia. Upodobnimy się do zwierząt. Zostaniemy tu na zawsze.

— Jeśli nie zatrąbisz, wkrótce i tak staniemy się zwierzętami. Nie widzę, co oni robią, ale dobrze słyszę.

Rozproszone postacie zbiły się na piasku w grupę tworząc obracającą się zwartą czarną masę. Chłopcy śpiewali coś i maluchy, które już miały dość, umykały z wrzaskiem. Ralf uniósł konchę do ust, ale zaraz ją opuścił.

— Rzecz w tym, czy duchy istnieją, Prosiaczku? Albo zwierz?

— Oczywiście, że nie.

— Dlaczego?

— Bo inaczej wszystko nie miałoby sensu. Domy i ulice, i telewizory... nic nie mogłoby istnieć.

Tańczący ze śpiewem chłopcy oddalali się coraz bardziej, aż wreszcie dolatujące stamtąd dźwięki stały się jedynie rytmem pozbawionym słów.

— Ale jeżeli naprawdę nie ma sensu? Przynajmniej tutaj, na tej wyspie? Jeżeli coś nas obserwuje i czeka?

Ralf zadygotał i przysunął się bliżej do Prosiaczka, aż obaj zderzyli się ze sobą wystraszeni.

— Przestań tak gadać, Ralf! Mamy dość kłopotów i bez tego, a ja już więcej nie zniosę.

— Powiniennem przestać być wodzem. Posłuchać ich.

— Nie daj Boże!

Prosiaczek schwycił Ralfa za ramię.

— Gdyby Jack został wodzem, nie byłoby ogniska, tylko same polowania. Zostalibyśmy tu do śmierci.

Głos jego przeszedł nagle w pisk.

— Kto tam?

— To ja. Simon.

— Strasznie nas dużo — rzekł Ralf. — Trzy myszy pod miotłą. Zrezygnuję.

— Jeżeli zrezygnujesz — powiedział Prosiaczek trwożnym szeptem — to co się stanie ze mną?

— Nic.

— On mnie nienawidzi. Nie wiem dlaczego. Gdyby tylko mógł robić, co chce...
tobie nic nie grozi, on ciebie poważa. Poza tym... mógłbyś go sprać.

— A ty to niby nie biłeś się z nim przed chwilą?

— Bo trzymałem konchę — rzekł Prosiaczek po prostu. — Miałem prawo mówić.
Simon poruszył się w ciemnościach.

— Bądź dalej wodzem.

— Ty się zamknij, pęta! Czemu nie powiedziałaś, że zwierza nie ma?

— Boję się go — powiedział Prosiaczek — i dlatego wiem, co w nim siedzi. Jak
człowiek się kogoś boi, to go nienawidzi, ale nie może przestać o nim myśleć. Człowiek
sobie wmawia, że to w gruncie rzeczy dobry chłop, a jak znów go zobaczy... całkiem jak
astma, nie można oddychać. Powiem ci coś. On ciebie też nienawidzi, Ralf...

— Mnie? Za co?

— Nie wiem. Dałeś mu po nosie za ognisko i jesteś wodzem, a on nie.

— Ale on jest wielki Jack Merridew!

— Jak się leży w łóżku tyle, co ja, to się dużo myśli. Znam się na ludziach. Znam
siebie. I znam jego. On ci nie może nic zrobić. Ale jak się usuniesz na bok, zemści się na
kimś innym. A tym kimś będę ja.

— Prosiaczek dobrze mówi, Ralf. Ty albo Jack. Bądź dalej wodzem.

— Staczamy się coraz niżej i wszystko się psuje. W domu zawsze jest ktoś starszy.
Proszę pana to, proszę pani tamto i masz gotową odpowiedź. Och, jakbym chciał!

— Chciałbym, żeby moja ciocia tutaj była.

— A ja, żeby ojciec... Ale po co to mówimy?

— Trzeba pilnować ogniska.

Taniec się skończył i myśliwi wracali do szałasów.

— Starsi są mądrzy — rzekł Prosiaczek. — Nie boją się ciemności. Spotkaliby się,
napili herbaty i porozmawiali. I wszystko byłoby załatwione...

— Nie podpaliliby wyspy...

— Zbudowaliby okręt...

Trzej chłopcy stali w ciemności na próżno usiłując wyrazić majestat dorosłości.

— Nie kłóciliby się...

— Ani rozbijali moich okularów...

— Ani gadali o zwierzu...

— Gdyby tak odezwali się do nas choć słowem! — wykrzyknął Ralf z rozpaczą. — Gdyby tak przysłali nam coś dorosłego... jakiś znak albo coś.

Cieniutkie zawrozczenie gdzieś w mroku zmroziło i przeszło ich dreszczem i pchnęło ku sobie. Potem lament wzrósł, jakiś odległy i nieziemski, i przeszedł w niezrozumiałe bełkotanie. Percival Wemys Madison z plebanii Harcourt St. Anthony, leżąc w wysokiej trawie, znalazł się w okolicznościach, w których magiczne recytowanie adresu nie miało żadnej mocy.

Zwierz z przestworzy

Zapanowała już ciemność, którą rozjaśniała tylko poświata gwiezdna. Kiedy zrozumieli, skąd wypływa ten upiorny hałas, i Percival umilkł, Ralf i Simon dźwignęli go niezręcznie i zanieśli do szałas. Mimo swych odważnych wypowiedzi Prosiaczek wołał nie odstępować chłopców i wszyscy trzej udali się razem do sąsiedniego szałas. Leżeli bezsennie i obracali się z boku na bok szeleszcząc suchymi liśćmi, i patrzyli na skrawek wygwieżdzonego nieba, widoczny w otworze wejściowym skierowanym ku lagunie. Czasem w pozostałych szałasach rozlegał się krzyk jakiegoś malucha, a raz nawet któryś ze starszaków zagadał przez sen. Potem i oni posnęli.

Strzęp księżyca wzniósł się nad horyzont, zbyt mały, aby móc zaznaczyć ścieżkę blasku, nawet kiedy leżał wprost na wodzie; inne jednak światła ukazały się na niebie, światła, które mknęły szybko, mrugały i gasły, chociaż na ziemi nie było słycać nawet najlżejszego odgłosu bitwy toczony na wysokości dziesięciu mil. Przyszedł jednak znak ze świata starszych, choć sen nie pozwolił żadnemu z dzieci go odczytać. Nagle nastąpiła świetlista eksplozja i spiralna smuga przekreśliła niebo. Potem znów była tylko ciemność i gwiazdy. Nad wyspą pojawiła się plamka, postać opadająca szybko na spadochronie, postać ze zwieszonymi bezwładnie kończynami. Zmienne wiatry na różnych wysokościach targały ową postać na wszystkie strony. Trzy mile nad ziemię wiatr ustalił się i poniósł ją opadającym łukiem poprzez niebo, przeciągnął ukosem nad rafą i laguną w stronę góry. Opadła i runęła w błękitne kwiaty na zboczu, ale i na tej wysokości wiał teraz łagodny wietrzyk i spadochron załopotał, wypełnił się z trzaskiem i targnął. I tak postać, włokąc nogami po ziemi, zaczęła pełznąć coraz wyżej. Krok po kroku,

podmuchał za podmuchem, dźwigała się przez błękitne kwiaty, przez głazy i czerwone skały, aż legła skurczona wśród odprysków skalnych na wierzchołku. Tutaj powiew był nierówny i sprawił, że linki spadochronu splątały się i poszczyły; a postać w hełmie siedziała ze zwieszoną na kolana głową, podtrzymywana płataniną linek. Gdy zrywał się powiew, linki napinały się, a głowa i pierś unosiły się tak, jakby postać chciała zajrzeć poza krawędź góry. Potem, gdy powiew zamierał, linki wiotczały, a postać znowu chyliła się ku przodowi opuszczając głowę na kolana. Tak więc, gdy przez niebo wędrowały gwiazdy, postać siedząca na szczycie góry cały czas to chyliła się w ukłonie, to znów prostowała.

W mroku wczesnego poranka przy skale trochę poniżej wierzchołka dały się słyszeć jakieś odgłosy. Ze stosu chrustu i zeschniętych liści wypełzli dwaj chłopcy, dwa mgliste cienie rozmawiające sennie ze sobą. Byli to bliźniacy pełniący dyżur przy ognisku. Teoretycznie jeden z nich powinien spać, a drugi czuwać. Nigdy jednak nie udawało im się działać rozsądnie, jeżeli "rozsądnie" znaczyło "niezależnie", a że nie mogli obaj czuwać całą noc, obaj spali. Teraz ruszyli ku ciemniejszej plamie ogniska sygnałnego, ziewając, trąc oczy, drepcąc znanymi ścieżkami. Doszedłszy na miejsce przestali ziewać i jeden z nich pobiegł szybko z powrotem po chrust i zeschnięte liście.

Drugi ukląkł przy ognisku.

— Na pewno zgasło.

Zaczął grzebać patykami, które mu brat wsunął w dłonie.

— Nie.

Położył się, przysunął usta do ciemniejszej plamy i zaczął dmuchać. Czerwony blask rozświetlił mu twarz. Przestał na chwilę dmuchać.

— Sam... podaj coś... na rozpalkę.

Eryk pochylił się i dmuchnął znów leciutko, aż plama rozjaśniła się. Sam wetknął kawałek suchego jak pieprz drzewa w rozżarzony chrust i nakrył gałęzią. Rozjarzyło się i gałąź zajęła się ogniem. Sam podłożył więcej chrustu.

— Nie spał wszystkiego — rzeki Eryk — za dużo nakładasz.

— Ogrzejemy się.

— Ale będziemy musieli szukać drzewa.

— Zimno mi.

— Mnie też.

— Poza tym, jest...

— ...ciemno. Więc zgoda.

Eryk usiadł w kucki i przyglądał się, jak Sam dokłada do ognia. Ułożył stos z kawałków drzewa, które od razu objął płomień; ognisko było zabezpieczone.

— Mało brakowało.

— Ale by się...

— Złościł.

— No.

Przez kilka chwil bliźniacy patrzyli na ogień w milczeniu. Potem Eryk zachichotał.

— Prawda, jak się złościł?

— O ogień...

— I świnię.

— Szczęście, że się czepił Jacka, a nie nas.

— No. Pamiętasz tego starego Złośnika w szkole?

— Chłop-cze, ty mnie po-wo-li do- pro-wa-dzisz do szaleństwa!

Bliźniacy parsknęli identycznym śmiechem, potem przypomnieli sobie ciemność i inne rzeczy i rozejrzeli się wokół niespokojnie. Uwijające się pilnie u stosu płomienie znów przyciągnęły ich wzrok. Eryk patrzył na rozbiegane stonogi, które szalały nie mogąc ująć płomieniom, i przyszło mu na myśl ich pierwsze ognisko — tuż obok, w dole, przy stromym zboczu, gdzie teraz panowały zupełne ciemności. Nie lubił tego wspominać, toteż zwrócił oczy ku wierzchołkowi góry.

Ciepło zaczęło już promieniować i przygrzewać rozkosznie.

Sam bawił się układaniem ciasno obok siebie patyków na ogniu. Eryk wyciągnął dłonie sprawdzając, z jakiej odległości od ognia żar nie będzie dokuczał. Patrząc leniwie ponad ogniskiem przed siebie rekonstruował z płaskich cieniienne kontury porozrzucanych skał. W tym miejscu jest wielka skała, w tamtym trzy kamienie, tu rozszczepiony głaz, a za nim powinna być wyrwa, ale... zaraz...

— Sam.

— Hę?

— Nic.

Płomienie zawładnęły patykami, kora zwijała się i odskakiwała, drzewo trzaskało. Stos zapadł się do środka i rzucił krąg światła na wierzchołek góry.

— Sam...

— He?

— Sam! Sam!

Sam spojrział na Eryka z rozdrażnieniem. Widząc napięcie we wzroku brata przeraził się. Obiegł ognisko, kucnął przy Eryku i wytrzeszczył oczy. Znieruchomieli, mocno przytuleni — czworo szeroko rozwartych oczu i dwoje rozchylnych ust.

Daleko w dole zaszepotały drzewa lasu, zaszumiały. Rozwiały się włosy na czołach chłopców, płomienie skoczyły w bok od ogniska. O piętnaście jardów od nich załopotala powiewająca na wietrze tkanina.

Żaden z chłopców nie wydał krzyku, tylko mocniej przytulili się do siebie i jeszcze szerzej rozdziawili usta. Chwilę tak siedzieli, skuleni, przy ognisku buchającym iskrami, dymem i falami migotliwego blasku na wierzchołek góry.

Potem, kierowani jedną przerażającą myślą, wygramolili się na skały i uciekli.

Ralf miał sen. Jak mu się zdawało, po godzinach rzucania się i przewracania hałaśliwie z boku na bok pośród suchych liści, zasnął wreszcie. Przestał nawet słyszeć głosy krzyczących przez sen chłopców w innych szalaszach, przeniósł się bowiem we śnie do domu rodzinnego i karmił cukrem kucyki za murem ogrodu. Później ktoś zaczął szarpać go za ramię mówiąc, że czas na herbatę.

— Ralf! Zbudź się!

Liście szumiały jak morze.

— Zbudź się, Ralf!

— Co się stało?

— Widzieliśmy...

— ...zwierza!

— Kto to? Bliźniacy?

— Widzieliśmy zwierza...

— Cicho. Prosiaczku!

Liście wciąż szeleściły. Prosiaczek zderzył się z Ralfem i któryś z bliźniaków chwycił go za rękę, kiedy ruszył w stronę prostokąta blednących już gwiazd.

— Nie możesz wyjść... on jest straszny!

— Prosiaczku... gdzie są włócznie?

— Słyszę, jak...

— To siedź cicho. Nie ruszaj się.

Leżeli nasłuchując, najpierw z powątpiewaniem, ale potem z przerażeniem, w miarę jak bliźniacy ciągnęli szeptem swą opowieść, przerywaną długimi pauzami martwej ciszy. Wkrótce ciemności stały się pełne szponów, pełne straszliwej nieznanej grozy. Nie kończący się brzask zacierał z wolna gwiazdy i wreszcie do szałasów zaczęło się przesączać szare, smutne światło. Dopiero wtedy odważyli się poruszyć, choć świat na zewnątrz wciąż groził niebezpieczeństwem. Labirynt mroku uporządkował się w dal i bliskość, a malutkie chmurki wysoko na niebie nabrały ciepłych barw. Jakiś ptak morski poszybował w górę łopocąc skrzydłami, z chrapliwym okrzykiem, który podjęło echo i coś zaskrzeczało w lesie. Wkrótce smużki chmur nad horyzontem zabarwiły się różowo i pozieleniały pierzaste szczyty palm.

Ralf ukląkł u wejścia do szałasów i ostrożnie rozejrzał się dokoła.

— Sam i Eryk. Zwołajcie wszystkich na zebranie. Cicho. No, idźcie.

Bliźniacy, tuląc się z drżeniem do siebie, odważyli się na pokonanie kilku kroków dzielących ich od następnego szałasów i rozgłosili straszną wieść. Ralf wstał i chociaż ciarki przebiegały mu po plecach, ruszył dla zachowania godności ku granitowej płycie. Simon i Prosiaczek poszli za nim, a z pozostałych szałasów zaczęli przemykać się ukradkiem inni chłopcy.

Ralf wziął konchę z wyslizganego miejsca na pniu i przyłożył do ust, ale zawahał się i nie zatrąbił. Podniósł ją tylko do góry i pokazał im, a oni zrozumieli.

Promienie słońca, rozchodzące się wachlarzowato spod horyzontu, zniżyły się teraz sięgając ich oczu. Ralf patrzył chwilę na rosnący skrawek złota, które oświeciło ich od prawej strony, i jakby mu przywróciło mowę. Krąg chłopców jeżył się włóczniami.

Ralf wręczył konchę bliżej stojącemu bliźniakowi, Erykowi.

— Widzieliśmy go na własne oczy. Nie... nie spaliśmy...

Przyszedł mu z pomocą Sam. Utarło się już teraz, że koncha daje prawo głosu obu bliźniakom naraz, uznawano bowiem ich faktyczną jedność.

— Był włochaty. Coś ruszało się nad jego łbem... jak skrzydła. Zwierz także się ruszał...

— To było straszne. Tak, jakby usiadł...

— Ognisko się jasno paliło...

— Właśnie je rozpaliliśmy...

- ...dolożyliśmy patyków...
- Miał oczy...
- Zęby...
- Pazury...
- Biegliśmy ile sił...
- Wpadaliśmy na różne rzeczy...
- Zwierz pędził za nami...
- Widziałem, jak się skradał...
- Prawie mnie dotknął...

Ralf ze strachem wskazał na twarz Eryka, podrapaną gałęziami raz przy razie.

- Jakżeś to sobie zrobił?

Eryk dotknął ręką twarzy.

- Jestem cały podrapany. Czy mam krew na policzkach?

Krąg chłopców rozstał się z przerażeniem; Johnny, który jeszcze ziewał, rozbeczał się na cały głos i ucichł dopiero, gdy dostał klapsa od Billa. Jasny ranek stał się pełen grozy i w kręgu chłopców nastąpiła pewna zmiana. Byli teraz zwrócenii raczej na zewnątrz niż do środka, a włócznie z zaostzonego drzewa tworzyły wokół rodzaj płotu. Jack nakazał chłopcom odwrócić się twarzami.

- To dopiero będzie polowanie! Kto pójdzie?

Ralf poruszył się niecierpliwie.

- Te włócznie są z drzewa. Nie bądź głupi.

Jack uśmiechnął się do niego drwiąco.

- Boisz się?

- Jasne, że się boję. Kto by się nie bał? Zwrócił się do bliźniaków:

- Chyba nas nie nabieracie?

Odpowiedź była zbyt stanowcza, aby ktokolwiek mógł w nią wątpić. Prosiaczek wziął konchę.

- Czy nie moglibyśmy... zostać tu i koniec? Może ten zwierz nie zbliży się do nas?

Gdyby nie uczucie, że coś ich śledzi, Ralf byłby krzyknął na Prosiaczka.

- Zostać? I tłoczyć się na tym kawałeczku wyspy w wiecznym strachu? A skąd bralibyśmy pożywienie? I co byłoby z ogniskiem?

- Chodźmy — rzekł Jack niecierpliwie — tracimy tylko czas.

- Nie, nie tracimy. A co z maluchami?
- Pies drapał maluchy!
- Ktoś musi ich pilnować.
- Nikt ich dotąd nie pilnował.
- Nie było potrzeby! A teraz jest. Prosiaczek zostanie.
- Słusznie. Oslaniaj Prosiaczka przed niebezpieczeństwem.
- Zastanów się. Co Prosiaczek może zrobić z jednym okiem?

Reszta chłopców patrzyła na nich z zaciekawieniem.

— Jeszcze jedna rzecz. Nie można w zwykły sposób polować, bo ten zwierz nie zostawia śladów. Gdyby zostawił, tobym je zauważył. O ile wiemy, umie pomykać po drzewach jak ten tam, jak on się nazywa...

Pokiwali głowami.

— Musimy więc pomyśleć.

Prosiaczek zdjął stłuczone okulary i przetaił jedyne szkło.

— A co z nami, Ralf?

— Nie masz konchy. Weź.

— Chodzi mi o to... co z nami? Przypuśćmy, że zwierz przyjdzie, gdy was wszystkich nie będzie. Ja źle widzę, a jak się przestraszę...

— Ty się zawsze boisz — wtrącił Jack z pogardą.

— Ja mam konchę...

— Konchę! Konchę! — wrzasnął Jack. — Po co nam koncha? Wiemy i tak, kto powinien zabierać głos. Co dobrego zrobił swoim gadaniem Sirnon albo Bill, albo Walter? Czas, żeby niektórzy wiedzieli, że mają siedzieć cicho, a decyzję zostawić nam...

Ralf nie mógł dłużej ignorować jego słów. Krew napłynęła mu do twarzy.

— Ty nie masz konchy — rzekł. — Siadaj.

Jack zbladł tak, że piegi na jego twarzy utworzyły wyraźne brązowe cętki. Zwilżył wargi językiem i stał dalej.

— To jest zadanie dla myśliwego.

Reszta chłopców patrzyła w napięciu. Prosiaczek, stwierdziwszy, że się wplątał w niewygodną sytuację, położył konchę na kolanach Ralfa i siadł. Cisza stała się przytłaczająca i Prosiaczek wstrzymał oddech.

— To jest coś więcej niż zadanie myśliwego — rzekł na koniec Ralf — bo zwierz nie da się wytopić. Czy nie chcesz być uratowany?

Zwrócił się do zgromadzenia:

— Nie chcecie być uratowani?

Znów spojrzał na Jacka.

— Mówiłem już przedtem, że ognisko jest najważniejsze. Teraz pewnie już zgasło... Wróciło dawne zadrażnienie i dało mu siłę do natarcia.

— Czyście powariowali? Musimy rozpaść je na nowo. Nie pomyślałeś o tym, Jack, prawda? A może nikt z was nie chce się uratować?

Tak, chcieli się uratować, co do tego nie ma wątpliwości; kryzys skończył się druzgocącą przewagą Ralfa. Prosiaczek wypuścił powietrze, otworzył usta, by go na nowo zaczerpnąć, i nie udało mu się. Leżał z rozwartymi ustami oparty o pień, a wokół warg wystąpiła mu siność. Nikt jednak nań nie zważał.

— A teraz pomyśl, Jack. Czy jest na wyspie takie miejsce, gdzie jeszcze nie byłeś?

Jack odpowiedział niechętnie:

— Jest tylko... ależ tak! Pamiętasz? Na samym końcu, tam, gdzie są spiętrzone skały. Byłem tam blisko. Skały tworzą taki most. Jest tylko jedna droga do góry.

— I to coś może tam mieszkać. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

— Cicho! Dobra. Tam będziemy szukać. Jeżeli zwierza tam nie ma, pójdziemy poszukać na szczycie góry i rozpalimy ognisko.

— Chodźmy.

— Najpierw zjedzmy, a potem pójdziemy. — Ralf umilkł na chwilę. — I weźmy włócznie na wszelki wypadek.

Po posiłku Ralf i inne starszaki ruszyli wzdłuż plaży. Zostawili Prosiaczka opartego o granitową płytę. Dzień ten, jak wszystkie inne, zapowiadał kąpiel słoneczną pod błękitną kopułą nieba. Plaża ciągnęła się przed chłopcami łagodnym łukiem i ginęła w dali zlewając się z linią lasu; pora była wczesna i jeszcze nie przesłaniały widoku ruchome welony mirażu. Zdecydowali się na ostrożniejszą drogę palmowym tarasem, a nie po gorącym piachu tuż nad wodą. Ralf pozwolił Jackowi iść przodem; i Jack stąpił z teatralną ostrożnością, choć wróg byłby widoczny z daleka. Ralf szedł na końcu, zadowolony, że przynajmniej teraz jest zwolniony z odpowiedzialności.

Simon, idący przed Ralfem, czuł lekkie niedowierzanie — jakiś zwierz z pazurami, który siedział na wierzchołku góry i nie zostawiał żadnych śladów, a był nie dość szybki, aby doścignąć Samieryka. Jakkolwiek usiłował sobie wyobrazić tego zwierza, zawsze stawał mu przed oczyma obraz człowieka zarazem bohaterskiego i chorego.

Westchnął. Inni mogli wstać i mówić do całego zgromadzenia bez tego straszego uczucia przytłoczenia; mogli mówić, co chcieli, jakby się zwracali do kogoś jednego. Odstąpił na bok i obejrzał się za siebie. Za nim szedł Ralf z włócznią na ramieniu. Simon nieśmiało zwolnił kroku, aż zrównał się z Ralfem i spojrzął na niego przez zasłonę szorstkich czarnych włosów, które opadały mu na oczy. Ralf rzucił mu spojrzenie i uśmiechnął się z przymusem, jakby nie pamiętał już, że Simon zrobił z siebie durnia na zebraniu. Na chwilę Simon poczuł się szczęśliwy, że już nie jest potępiany, i przestał myśleć o sobie. Kiedy wpadł na drzewo, Ralf spojrzął na niego z irytacją, a Robert zachichotał. Simon zatoczył się do tyłu, a biała plamka, która wystąpiła mu na czole, podeszła krwią. Ralf przestał myśleć o Simonie i zajął się własnym strapieniem. Niedługo dojdą do skalnego zamku i wódz będzie musiał wystąpić na czoło.

Od przodu nadbiegł Jack.

— Już go widać.

— Dobra. Podejźmy jak najbliżej.

Poszedł za Jackiem w stronę zamku, gdzie grunt lekko się wznosił. Po lewej ręce mieli niezgłębioną plątaninę drzew i pnączy.

— A czemu tutaj nic nie może być?

— Bo sam widzisz. Nic się przez ten gąszcz nie przedostanie.

— A zamek?

— Spójrz.

Ralf rozsunął zasłonę z trawy i wyjrzał. Przed nim było zaledwie kilka jardów skalistego gruntu i zaraz dalej dwa brzegi wyspy niemal schodziły się ze sobą, tworząc z pozoru ostre zakończenie cypla. Wyspa jednak tu się nie kończyła, bowiem wąski występ skalny, może na piętnaście jardów długi, wiódł ku wysuniętej dalej w morze części cypla. Tworzyła ją owa różowa kanciastość, która stanowiła podłoże całej wyspy. Ta strona skalnego zamczyska, około stu stóp wysokości, była różowym bastionem, który widzieli ze szczytu góry. Ściana skalna była rozszczępiona, a ścięty wierzchołek zarzucony

wielkimi odłamkami, które groziły runięciem. Wysoka trawa za Ralfem wypełniła się myśliwymi. Ralf spojrzął na Jacka.

— Jesteś przywódcą myśliwych.

Jack poczerwieniał.

— Wiem. Zgoda.

Jakiś wewnętrzny przymus kazał Ralfowi powiedzieć:

— Ale ja jestem wodzem. Ja pójdę. Nie sprzeczasz się. Zwrócił się do reszty chłopców:

— Hej, wy! Ukryć się i czekać na mnie.

Stwierdził, że głos albo więźnie mu w gardle, albo brzmi za głośno. Spojrzął na Jacka.

— Sądysz, że...

— Schodziłem całą wyspę — wymamrotał Jack. — To musi być tutaj.

— Rozumiem.

Simon wybełkotał: — Ja tam nie wierzę w zwierza. Ralf odpowiedział mu grzecznie, jakby chodziło o uwagę na temat pogody.

— Nie. Chyba nie.

Usta miał blade, zaciśnięte. Powoluteńku odgarnął włosy z czoła.

— No, dobra. Do zobaczenia.

Zmusił jakby wrosłe w ziemię stopy, aby go poniosły w stronę przewężenia cypla.

Szedł otoczony zewsząd pustą otchłanią powietrza. Nie miałby się gdzie skryć, nawet gdyby nie musiał iść dalej. Zatrzymał się na wąskim przewężeniu i spojrzął w dół. Niedługo morze uczyni z zamczyska wyspę. Po prawej stronie była laguna, do której starało się wdrzeć otwarte morze; a po lewej...

Ralf zadrzał. Laguna chroniła ich od Pacyfiku, a do tej pory tylko Jack dotarł na przeciwległy brzeg wyspy. Teraz Ralf ujrzał rozkołysane wody oczyma szczura lądowego i wydało mu się, że to oddycha jakiś ogromny stwór. Z wolna wody zapadały się pośród skał odsłaniając różowe bloki granitu, dziwne formacje koralu, polipów, wodorostów. Opadały niżej i niżej, szumiąc jak wiatr wśród wierzchołków drzew. W dole leżała płaska skała, prosta jak stół, i opadające wody uczyniły z jej czterech boków poszarpane urwiska. Potem śpiący lewiatan wypuścił oddech — wody wezbrały, uniosły się

wodorosty i wokół płaskiej skały zawrzało. Nie miało się wrażenia przepływania fal, tylko to długie unoszenie się i opadanie.

Ralf odwrócił się i spojrział na czerwoną skałę. Za nim, w wysokiej trawie, leżeli chłopcy czekając, co zrobi. Spostrzegł, że pot na jego dłoniach wysechł, zdał sobie ze zdumieniem sprawę, że wcale nie spodziewa się spotkania z jakimkolwiek zwierzem i nie wie, co by zrobił, gdyby się na niego natknął.

Stwierdził, że może wspiąć się na skałę, chociaż to nie jest potrzebne. Wokół skalnego bloku znajdował się jakby cokół, którym można było przejść ostrożnie w prawo, nad lagunę, i zajrzeć za róg. Łatwo mu to poszło, toteż wkrótce znalazł się za rogiem.

Ujrzał to, czego się spodziewał: różowe spiętrzone głazy, pokryte warstwą guana jak lukrem i strome podejście ku odpryskom skalnym na szczycie bastionu.

Odwrócił się, słysząc jakiś szelest. Za nim skalną półką posuwał się Jack.

— Nie mogłem pozwolić, żebyś szedł sam.

Ralf nie odezwał się, milczał. Poszedł przodem przez skały, zbadał niewielką grootę, w której prócz kupki zgniłych jaj nic nie znalazł, i wreszcie usiadł i zaczął się rozglądać postukując końcem włóczni w skałę.

Jack był podniecony.

— Świetne miejsce na fort!

Trysnął na nich słup pyłu wodnego.

— Nie ma świeżej wody.

— A co to w takim razie?

W połowie wysokości skały była długa zielonkawa smuga. Wdrapali się i posmakowali spływającej cienką strużką wody.

— Można by podstawić skorupę orzecha i zawsze byłaby pełna.

— Dla mnie tu jest do kitu.

Wspięli się, ramię przy ramieniu, na najwyższy poziom, gdzie na granitowym rumowisku leżał ostatni spękany głaz. Jack uderzył pięścią w skalną bryłę obok siebie. Zgrzytnęła lekko.

— Pamiętasz?

Wspomnieli obaj przykre chwile, które ich rozdzieliły. Jack zaczął szybko mówić:

— Wystarczy wsadzić pod nią drąg palmowy, i jak tylko przyjdzie jakiś wróg...

Spójrz na dół!

O sto stóp pod nimi leżała wąska grobla, dalej kamienisty grunt, wysoka trawa, w której widać było głowy chłopców, a jeszcze dalej las.

— Raz pchnąć — wykrzyknął Jack radośnie — i... łubudu!

Zatoczył ręką kolisty ruch. Ralf spojrział na wierzchołek góry.

— Co się stało?

Ralf odwrócił się.

— Czemu?

— Patrzyłeś jakoś... nie wiem jak.

— Nie ma sygnału. Nic nie widać.

— Masz bzika na punkcie sygnału.

Otaczała ich błękitna linia horyzontu, przzerwana tylko wierzchołkiem góry.

— Bo tylko on nam pozostał.

Oparł o chwiejny głaz włócznię i zgarnął do tyłu pełną garścią włosy.

— Musimy wrócić i wspiąć się na górę. Bo właśnie tam widzieli zwierza.

— Ale go tam nie będzie.

— A co innego możemy zrobić?

Chłopcy, ujrawszy Ralfa i Jacka zdrowych i całych, wyszli na słońce. W odkrywym zapale zapomnieli o niebezpieczeństwie. Ruszyli hurmem przez most i wkrótce zaczęli się wspinać po skałach, pokrzykując. Ralf stał oparty ręką o czerwony blok, blok wielki jak koło młyńskie, który się odłupał od calizny i zawisł niepewnie. Stał tak i patrzył w przygnębieniu na wierzchołek góry. Zacisnął pięść i zaczął nią tłuc jak młotem w czerwoną ścianę. Usta miał zacięte, a z oczu pod grzywą włosów patrzyła tęsknota.

— Dym.

Polizał stłuczoną pięść.

— Jack! Chodź!

Ale Jacka nie było. Grupka chłopców, podnoszących coraz to większą wrzawę, której z początku nie zauważył, dźwigała i popychała chwiejający się głaz. W chwili, gdy Ralf się odwracał, głaz runął w morze, wzbijając grzmiące bryzgi wody aż do połowy urwiska.

— Dość! Dość!

Uciszyli się na dźwięk jego głosu.

— Dym.

Z jego głową było coś dziwnego. Coś się w jego mózgu trzepotało, niby skrzydła nietoperza, mącąc myśli.

— Dym.

Powróciła nagle jasność myśli i gniew.

— Potrzebny nam dym. A wy tracicie czas. Staczacie głązy.

— Mamy bardzo dużo czasu! — krzyknął Roger.

Ralf potrząsnął głową.

— Idziemy na górę.

Zerwała się wrzawa. Jedni chcieli wracać na plażę, drudzy staczać więcej skał. Słońce świeciło jasno, a niebezpieczeństwo rozwiało się wraz z ciemnością nocy.

— Jack. Zwierz może być po drugiej stronie. Prowadź. Ty tam byłeś.

— Pójdziemy brzegiem. Tam są owoce.

Bill podszedł do Ralfa.

— Czemu nie możemy zostać tutaj jeszcze trochę?

— Właśnie...

— Zrobimy sobie fort...

— Tu nie ma co jeść — odrzekł Ralf — ani gdzie się schronić. I mało wody do picia.

— Byłby fajowy fort.

— Można zrzucać skały...

— Prosto na most...

— Powiedziałem, że idziemy! — wrzasnął Ralf dziko. — Musimy się upewnić.

Idziemy.

— Zostańmy tu...

— Wracajmy na plażę...

— Ja się zmęczyłem...

— Nie!

Ralf uderzył pięścią w skałę, aż zdarł sobie z knykci skórę. Nie czuł bólu.

— Jestem wodzem. Musimy się upewnić. Widzicie górę? Nie ma sygnału. Każdej chwili może się pokazać jakiś okręt. Czy wyście wszyscy powariowali?

Chłopcy, chociaż z uczuciem buntu, uciszyli się.

Jack poprowadził ich w dół urwiska, a potem przez most.

Cienie i wysokie drzewa

Ścieżka, którą wydeptały świnie, biegła tuż przy rumowisku skał, leżącym nad wodą z drugiej strony góry i Ralf był rad, że Jack tędy ich prowadzi. Gdyby jeszcze można było ogłuchnąć na powolne ssanie wód i bulgot powracającej fali, gdyby dało się zapomnieć, jak mroczne i nieuczęszczane są te gąszcza, wtedy byłaby jakaś szansa, żeby zapomnieć o zwierzu i chwilę pomarzyć. Słońce zaczęło już odchyłać się od pionu i wyspę zalał popołudniowy skwar. Ralf dał znać Jackowi i gdy napotkali owoce, grupa zatrzymała się, aby się posilić.

Siedząc, Ralf po raz pierwszy tego dnia zdał sobie sprawę z upału. Obciągnął z niesmakiem szarą koszulę zastanawiając się, czyby jej nie uprać. W niezwykłym, jak mu się zdawało, nawet na tę wyspę upale obmyślał swoją toaletę. Chciałby mieć nożyczki, żeby sobie obciąć włosy — odgarnął je do tyłu — skrócić te brudne kłaki na odpowiednią długość. Chciałby się wykapać; porządnie wyszorować mydłem. Przesunął językiem po zębach i zdecydował, że szczoteczka też by się przydała. Poza tym paznokcie...

Ralf przyjrzał się paznokciom. Były poogryzane do krwi, choć nie pamiętał, kiedy wrócił do tego nawyku ani też kiedy mu się oddawał.

— Niedługo zacznę ssać palec...

Rozejrzał się trwożliwie. Najwyraźniej jednak nikt go nie usłyszał. Myśliwi siedzieli i opychali się tym łatwo zdobytym pożywieniem, starając się wmówić sobie, że banany i te inne oliwkowo-szare galaretowate owoce zaopatrują ich w dostateczną ilość energii. Przyjmując za wzór swój dawny stan czystości, Ralf zaczął się im przyglądać. Byli brudni, ale ich brud nie rzucał się w oczy, jak u kogoś, kto upadł w błoto lub chodził w słotę po dworze. Żaden wyraźnie nie prosił się o kąpiel, a jednak — włosy o wiele za długie, skudłone, z naczepianymi okruchami liści i patyków; twarze utrzymane we względnej czystości jedynie przez proces pocenia się i pożywiania, ale w mniej dostępnych zakamarkach poznaczone jakby cieniem; odzież podarta, sztywna od potu i noszona nie dla ozdoby lub wygody, lecz z przyzwyczajenia; skóra na ciele szorstka od słonej wody...

Z lekkim przygnębieniem stwierdził, że uważa teraz te warunki za normalne i że nie dba o to. Westchnął i rzucił łodygę, którą już obrał z owoców. Myśliwi zaczęli przekradać się w gęstwinę lub między skały, żeby się załatwić. Ralf odwrócił się i spojrzał na morze.

Tu, po drugiej stronie wyspy, widok był całkiem inny. Przejrzyste uroki mirażu nie znosiły chłodnych wód oceanu i horyzont był twardą kłamrą błękitu. Ralf podszedł do skał. Tutaj na dole, niemal na poziomie morza, można było śledzić nieustanny pochód wzdętych fal. Były na milę szerokie, ale nie grzywiaste ani strome jak na wodach płytkich. Wędrowały wzdłuż wyspy lekceważąc ją, jakby pochłonięte czymś ważniejszym; właściwie nie sprawiały wrażenia pochodzących, a raczej wzdymania się i opadania całego oceanu. Morze kurczyło się tworząc kaskady ustępującej wody, opadało między skały przybliżając wodorosty niby lśniące włosy, potem po krótkiej przerwie wzbierało i podnosiło się z grzmieniem, dźwigając się na cypel i głązy, pnąc się po skale, by wreszcie sięgnąć ramieniem kipieli w głąb niewielkiego żlebu i pstryknąć palcami rozprysku tuż u stóp Ralfa.

Fala za falą Ralf śledził wznoszenie się i opadanie wód, póki ten bezkres nie wprowadził go w odrętwienie. Potem, stopniowo, nieskończony przestwór wód zawładnął jego uwagą. To była owa przestrzeń oddzielająca, zaporą. Po drugiej stronie wyspy, spowity w południe mirażem, chroniony tarczą spokojnej laguny, człowiek mógł jeszcze marzyć o ratunku; ale tu, wobec tej nieczulej brutalności oceanu, tej nieprzebytej bariery, był przykuty do miejsca, był bezradny, potępiony, był...

Usłyszał nagle, że Simon szepce mu coś do ucha. Ralf zorientował się, że stoi pochylony, ściskając kurczowo skałę, mięśnie na karku ma napięte, usta szeroko rozwarte.

— Nie martw się, wrócisz.

Mówiąc to Simon skinął głową. Klęczał na jednym kolanie na wyższej skale, trzymając się jej obiema rękami; drugą, wyciągniętą nogą niemal dotykał ramienia Ralfa.

Ralf, zaintrygowany, spojrzał mu badawczo w twarz.

— On jest taki wielki...

Simon skinął głową.

— To nic. Na pewno wrócisz. Tak w każdym razie uważam.

Napięcie w ciele Ralfa nieco zelżało. Spojrzał na ocean, a potem uśmiechnął się do Simona z goryczą.

— Masz w kieszeni okręt?

Simon zaśmiał się i potrząsnął głową.

— No, to skąd wiesz?

Gdy Simon nadal nie odpowiadał, Ralf rzekł krótko:

— Zbikowałeś.

Simon potrząsnął gwałtownie głową, aż jego szorstkie czarne włosy omiotły mu twarz.

— Nie. Nie zbikowałem. Tylko tak sobie myślę, że na pewno wrócisz.

Przez chwilę nic nie mówili. A potem nagle uśmiechnęli się do siebie.

Z gęstwiny rozległ się głos Rogera:

— Chodźcie tu zobaczyć!

Nie opodal ścieżki ziemia była zryta i leżały parujące lekko odchody. Jack pochylił się nad nimi jakby w zachwyceniu.

— Ralf... choć polujemy na co innego, mięso jest nam potrzebne.

— Jeżeli to po drodze, możemy zapolować.

Ruszyli dalej, ale trzymali się teraz razem, przestraszeni wspomnieniem zwierza, i tylko Jack myszkował na przodzie. Posuwali się wolniej, niż Ralf oczekiwał, był jednak na swój sposób rad z tego marudztwa. Niebawem Jack natrafił na jakąś trudność w tropieniu i cały pochód zatrzymał się. Ralf oparł się o drzewo i zaczął marzyć. Łowy są sprawą Jacka i będzie jeszcze dosyć czasu, żeby wdrapać się na górę...

Kiedyś, gdy ojca przeniesiono z Chatham do Devonport, zamieszkali w domku na skraju wrzosowisk. Ze wszystkich domów, w których Ralf mieszkał, ten rysował się w jego pamięci najwyraźniej, bo z niego wyjechał do szkoły. Mama była z nimi stale, a tatuś przychodził codziennie. Do kamiennego muru na końcu ogrodu przybiegały dzikie kuce. Padał śnieg. Tuż za domem stało coś w rodzaju szopy i można było w niej sobie leżeć i patrzeć na wirujące płatki. Płatki ginęły znacząc ziemię mokrymi plamkami, a potem spostrzegałeś pierwszy płatek, który legł na ziemi i nie stopniał, i przypatrywałeś się, jak wszystko przemienia się w biel. Mogłeś wejść do domu, jeśli zmarzłeś, i patrzeć przez

okno, na którym stał lśniący mosiężny kociołek i taca z niebieskimi ludzikami... Kiedy szedłeś spać, dawano ci talerz płatków kukurydzianych z cukrem i śmietanką. A na półce nad łóżkiem stały książki przechylone w jedną stronę, a parę leżało na płask na wierzchu, boś nigdy nie dbał, by je odstawić na właściwe miejsce. Książki miały ośle uszy i zniszczone okładki. Jedna z nich, czysta i lśniąca, była o Topsy i Mopsy, i Ralf nigdy jej nie czytał, bo Topsy i Mopsy to dziewczynki; inną, o Czarodzieju, czytało się z przykuwającą grozą, opuszczając dwudziestą siódmą stronę z rysunkiem straszego pająka; była też książka o ludziach, którzy wykopali z ziemi różne rzeczy, egipskie rzeczy; i jeszcze książka o pociągach, i książka o okrętach. Stały mu teraz tak żywo przed oczyma, że mógłby niemal sięgnąć po nie ręką, poczuć ciężar i lekki opór, z jakim ta, na którą miałby ochotę, wysunęłaby się spośród innych w jego dłonie... Wszystko takie, jak trzeba, wszystko pogodne i przyjazne.

Gdzieś przed nimi zatrzeszczały krzaki. Chłopcy rzucili się w bok od ścieżki i z wrzaskiem zaczęli przedzierać się przez pnącza. Ralf spostrzegł, jak Jack wywinął włócznią w bok i upadł. Coś biegło ku niemu ścieżką połyskując kłami i chrząc groźnie. Ralf stwierdził, że potrafi z całym spokojem zmierzyć odległość i wycelować. Kiedy odyniec znalazł się kilka kroków przed nim, Ralf cisnął śmieszny patyk, który niósł z sobą, dojrzał, że zaostzony koniec trafił w ogromny ryj i na chwilę w nim uwiązał. Chrząkanie przeszło w kwik i odyniec skręcił gwałtownie w gęstwinę. Ścieżka znów wypełniła się rozwrzeszczanymi chłopcami, od przodu nadbiegł Jack i zaczął grzebać w poszyciu.

— Tędy...

— On nas wykończy!

— Tędy, powiedziałem...

Odyniec tymczasem coraz bardziej się oddalał. Znaleźli inną ścieżkę, równoległą do poprzedniej, i Jack puścił się nią pędem. Ralf był pełen lęku i dumy.

— Ale mu dałem! Wbiłem mu trochę włócznię...

Niespodziewanie wyszli na otwartą przestrzeń nad brzegiem morza, Jack zaczął myszkować niespokojnie wśród nagich skał.

— Uciekł.

— Ale mu dałem! — powtórzył Ralf. — Aż się włócznia wbiła.

Odczuł potrzebę znalezienia świadków.

— Nie widzieliście?

Maurice skinął głową.

— Ja widziałem. Prosto w ryj... bach!

Ralf mówił dalej w podnieceniu:

— Trafiłem. Włócznia się wbiła. Ranilem go!

Zyskawszy u nich to nowe uznanie wygrzewał się w nim jak w słońcu, stwierdzając, że to całkiem niezła rzecz takie polowanie.

— Dobrze mu przygrzałem. Myślę, że to właśnie był zwierz, którego szukamy!

Nadszedł Jack.

— To nie był zwierz. To był odyniec.

— Ale mu dałem!

— Czemuś go nie chwycił? Ja próbowałem...

Głos Ralfa podniósł się o oktawę:

— Odyńca?!

Jack nagle poczerwieniał.

— Mówiłeś, że on nas wykończy. A po co rzucałeś? Czemu nie czekałeś?

Wyciągnął rękę.

— Spójrz.

Podniósł rękę, żeby mogli zobaczyć. Na zewnętrznej stronie przedramienia miał zadraśniętą skórę; leciutko, ale do krwi.

— Patrz, co mi zrobił kłami. Nie zdążyłem uderzyć go włócznią.

Uwaga wszystkich chłopców skupiła się na Jacku.

— To rana — rzekł Simon — powinieneś ją wyssać. Jak Berengaria.

Jack wyssał ranę.

— Ja go dźgnąłem — rzekł Ralf z oburzeniem. — Rąbnąłem włócznią i zraniłem.

Starał się zwrócić na siebie ich uwagę.

— Biegł sobie ścieżką, a ja go... o tak...

Robert warknął na niego. Ralf włączył się do zabawy i wszyscy roześmiali się. Cała gromada zaczęła szturchać włóczniami Roberta, który udawał miotającego się dzika.

Jack krzyknął:

— Otoczyć go!

Krąg zaczął się zacieśniać. Robert kwiczał z udanego przerażenia, potem z prawdziwego bólu.

— Ou! Przestańcie! Boli!

Na plecy ślamazarnie poruszającego się chłopca spadł koniec włóczni.

— Trzymać go!

Chwycili go za ręce i nogi. W nagłym podnieceniu Ralf porwał włócznię Eryka i dźgnął nią Roberta.

— Zabić go! Zabić!

Robert wrzasnął i zaczął się szarpać z siłą szaleńca. Jack trzymał go za włosy i wywijał nożem. Za nim stał Roger i starał się przecisnąć do ofiary. Zabrzmiał rytualny śpiew, jak w ostatnich chwilach tańca albo łowów.

— Nożem świnię! Ciach po gardle! Nożem świnię! Bach ją w łeb!

Ralf też przepychał się bliżej, żeby przynajmniej uszczypnąć to brązowe, wrażliwe ciało. Żądza szarpania i zadawania bólu była nie do przezwyciężenia.

Ramię Jacka opadło; falujący krąg wydał radosny okrzyk i zaczął naśladować kwik zarzynanej świni. Potem uciszyli się i padli na ziemię ciężko dysząc i nasłuchując biadolenia wystraszonego Roberta, który otarł brudną ręką twarz i czynił wysiłki, by powrócić do dawnego stanu.

— Oj, mój tyłek!

Rozcierał sobie siedzenie. Jack obrócił się na plecy.

— Dobra była zabawa.

— Tylko zabawa — rzekł Ralf z zażenowaniem. — Mnie samemu kiedyś się fest dostało przy rugby.

— Powinniśmy mieć bęben — powiedział Maurice — wtedy byłoby, jak trzeba.

Ralf spojrzał na niego.

— To znaczy jak?

— Nie wiem. Myślę, że potrzebne jest ognisko i bęben, żeby to robić w takt bębna.

— Potrzebna jest świnia — wtrącił się Maurice — jak na prawdziwym polowaniu.

— Albo ktoś do udawania — rzekł Jack. — Żeby się przebrał za świnię i grał rolę... no wiecie, udawał, że mnie przewraca i takie różne rzeczy...

— Potrzebna jest prawdziwa świnia — powiedział Robert, wciąż rozcierając pośladek — bo trzeba ją naprawdę zabić.

— Można by wziąć któregoś malucha — rzucił Jack i wszyscy się roześmieli.

Ralf podniósł się.

— Nie znajdziemy, czego szukamy, jak tak dalej pójdzie. Jeden po drugim zaczęli się podnosić porządkując na sobie łachmany.

Ralf spojrział na Jacka.

— Teraz na górę.

— Czy nie lepiej wrócić do Prosiaczka — spytał Maurice — zanim się zrobi ciemno?

Bliźniacy przytaknęli kiwając jak jeden głowami.

— Tak, słusznie. Pójdziemy tam lepiej jutro rano.

Ralf odwrócił głowę i spojrział na morze.

— Musimy rozpalić ognisko.

— Nie masz Prosiaczkowych okularów — rzekł Jack — więc nie możesz.

— No to przekonamy się przynajmniej, co tam jest.

Z wahaniem, nie chcąc uchodzić za tchórza, Maurice spytał:

— A jak tam jest zwierz? Jack machnął włócznią.

— To go zabijemy.

Upał jakby nieco zelżał. Jack machnął włócznią.

— Na co czekamy?

— Myślę — rzekł Ralf — że jeśli dalej pójdziemy wzdłuż brzegu, dojdziemy do wypalonego lasu i stamtąd będziemy mogli wdrapać się na górę.

I znowu Jack poprowadził ich nad krawędzią oślepiających wód, które dźwigały się i opadały.

Znowu Ralf zatopił się w marzeniach, zdając się w trudnościach drogi na swe zwinne stopy. Ale tutaj jego stopy wydawały się mniej sprawne niż poprzednio. Większą część drogi musieli stąpać po nagich skałach nad samą wodą albo prześlizgiwać się między skałą a ciemną gęstwą lasu. Były na tej drodze niewielkie urwiska, kamienne pomosty, długie trawersy, na których trzeba się było posługiwać również rękami. Tu i ówdzie gramolili się przez zmoczone falą głazy, przeskakiwali oka przejrzystej wody, które pozostawił odpływ. Doszli do wąwozu, który rozszczepiał przybrzeże jak fosa.

Wąwóz był jakby bez dna i przejęci grozą patrzyli w tę mroczną szczelinę, w której bulgotała woda. Potem fala powróciła, w wąwozie zawrzało i bryzgi wody strzeliły aż do pnączy i zmoczyły chłopców, którzy odskoczyli z wrzaskiem. Próbowali obejść lasem, ale tam roślinność była zbita i splątana niby ptasie gniazdo. W końcu musieli skakać po kolei wyczekując, jak opadnie woda, a i tak kilku skapało się po raz drugi. Dalej skały były coraz bardziej nieprzebyte, usiedli więc na chwilę, susząc łachy i przyglądając się ostrym zarysom gór wody, które tak powoli przepływały koło wyspy. W miejscu zamieszkałym przez rój kolorowych ptaszeków, które krążyły w powietrzu jak owady, znaleźli owoce. Potem Ralf orzekł, że idą za wolno. Wdrapał się na drzewo, rozgarnął listowie i stwierdził, że kwadratowy wierzchołek góry jest jeszcze daleko. Spróbowali więc iść prędzej i Robert rozciął sobie paskudnie kolano, musieli się więc pogodzić z tym, że taką drogą trzeba podążać powoli, jeżeli się chce dojść bezpiecznie. Szli zatem jakby wspinając się na niebezpieczną górę, póki skały nie zmieniły się w strome urwisko, zwieńczone w górze nawisem nieprzebytej dżungli, a dołem zatopione w morzu. Ralf rzucił krytyczne spojrzenie na słońce.

— Blisko wieczór. W każdym razie już po podwieczorku.

— Nie przypominam sobie tego urwiska — rzekł Jack zbity z tropu — musiałem więc ominąć ten kawałek brzegu.

Ralf skinął głową.

— Dajcie mi pomysłu.

Ralf już się nie wstydził myśleć w ich obecności, podejmował decyzje, jakby rozgrywał partię szachów. Jedyne kłopot, że nie był materiałem na bardzo dobrego szachistę. Pomyślał o maluchach i Prosiaczku. Stał mu żywo przed oczami obraz Prosiaczka, jak siedzi kuląc się w kącie szałas, w którym słychać tylko jęki dręczonych sennym koszmarem dzieci.

— Nie możemy zostawić maluchów z Prosiaczkiem. W każdym razie nie na całą noc.

Chłopcy nie mówili nic, tylko stali nie odrywając od niego oczu.

— Gdybyśmy teraz zawrócili, musielibyśmy iść kilka godzin.

Jack chrząknął i powiedział jakimś dziwnym, stłumionym głosem:

— Nie można pozwolić, żeby Prosiaczkowi coś się stało, prawda?

Ralf postukał brudnym końcem Erykowej włóczni o zęby.

— Jeśli pójdziemy na przełaj... Rozejrzał się dokoła.

— Ktoś musi przejść na drugą stronę wyspy i powiedzieć Prosiaczkowi, że wrócimy, jak już będzie ciemno.

Bill spytał z niedowierzaniem:

— Sam przez las? Teraz?

— Możemy zwolnić tylko jednego.

Simon przepchał się do Ralfa.

— Ja pójdę, jeżeli chcesz. Dla mnie to fraszka.

Nim Ralf zdążył odpowiedzieć, Simon uśmiechnął się, odwrócił i ruszył w las.

Ralf spojrział na Jacka, jakby go dopiero teraz spostrzegł.

— Jack, przeszedłeś wtedy całą wyspę, aż do skalnego zamku?

Jack łypnął groźnie okiem.

— Tak.

— Szedłeś najpierw wzdłuż brzegu... pod górę, tam dalej?

— Tak.

— A potem?

— Znalazłem ścieżkę, którą wydeptały świnie. Ciągnęła się całe mile.

Ralf skinął głową. Wskazał na las.

— Więc ta ścieżka musi być gdzieś tam.

Wszyscy potwierdzili kiwając z powagą głowami.

— No to dobra. Będziemy przebijać się przez las, póki nie znajdziemy ścieżki.

Zrobił krok i zatrzymał się.

— Ale zaraz! Dokąd prowadzi ta ścieżka?

— Na górę. Mówiłem ci. A może nie chcesz iść na górę? —zadrwił Jack.

Ralf westchnął wyczuwając wzrastający antagonizm. Zrozumiał, że spowodowało go odebranie Jackowi przewodnictwa.

— Chodzi mi o światło. Będziemy szli potykając się po ciemku.

— Mieliliśmy szukać zwierza...

— Będzie za ciemno.

— Mnie to nie przeszkadza — rzekł Jack zapalczywie. — Ja pójdę. A ty nie? Wolisz wrócić do szałasów i powiedzieć Prosiaczkowi?

Teraz z kolei Ralf się zaczerwienił, ale zapytał z rozpaczą, która płynęła z olśnienia doznanego dzięki Prosiaczkowi:

— Dlaczego mnie nienawidzisz?

Chłopcy poruszyli się niespokojnie, jakby słysząc coś nieprzyzwoitego. Milczenie przedłużało się.

Ralf, wciąż gniewny i urażony, ruszył pierwszy.

— Idziemy.

Szedł na czele, zaznając przywileju przerąbywania drogi przez gąszcz. Jack, zdegradowany i nasepiony, zamykał pochód.

Ścieżka była jak ciemny tunel, słońce bowiem szybko osuwało się ku krawędzi świata, a w lesie o cień nietrudno. Szlak był szeroki i ubity, posuwali się więc szybkim truchtem. Potem dach liści urwał się i stanęli zadyszani patrząc na nieliczne gwiazdy, które zabłyśły nad wierzchołkiem góry.

— No i proszę.

Chłopcy spojrzeli niepewnie na siebie. Ralf podjął decyzję.

— Pójdziemy prosto do granitowej płyty, a wdrapiemy się na szczyt jutro.

Wyrazili zgodę pomrukiem, ale koło Ralfa stał Jack.

— Oczywiście, jeżeli się boisz...

Ralf natarł na niego.

— Kto wszedł pierwszy na skalny zamek?

— Ja poszedłem za tobą. A poza tym było jasno.

— Dobra. Kto chce się teraz wspinać na górę?

Jedyną odpowiedzią była cisza.

— Samieryk? Co wy na to?

— My musimy iść powiedzieć Prosiaczkowi...

— ...tak, powiedzieć Prosiaczkowi, że...

— Ale Simon już poszedł!

— Musimy powiedzieć Prosiaczkowi... na wypadek...

— Robert? Bill?

Wszyscy chcieli iść prosto do granitowej płyty. Nie, skądże, nie bali się, tylko — byli zmęczeni.

Ralf zwrócił się do Jacka:

— Widzisz?

— Ja idę na szczyt.

Jack wypowiedział te słowa zjadliwie, jak przekleństwo. Patrzył na Ralfa z napięciem i trzymał włócznię tak, jakby chciał mu nią zagrozić.

— Idę na szczyt szukać zwierza — teraz, zaraz.

Potem największa zjadliwość, dwa wypowiedziane od niechcienia słowa:

— A ty?

Na dźwięk tych słów inni chłopcy zapomnieli o nagłej chęci powrotu i stanęli, aby być świadkami tego nowego starcia dwóch duchów w ciemności. Słowa były zbyt celne, zbyt cierpkie, zbyt udanie odstrasające, by je powtarzać. Ugodziły Ralfa w najgorszym momencie, gdy myśl o powrocie do szalasu i cichych, przyjaznych wodach laguny wywołała odprężenie.

— Dlaczego nie.

Ze zdumieniem stwierdził, że głos jego zabrzmiał chłodno i zwyczajnie, niwecząc cierpkość uwag Jacka.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, oczywiście.

— Ależ skąd.

Jack zrobił krok naprzód.

— No, więc...

Ramię przy ramieniu, odprowadzani spojrzeniami milczących chłopców, ruszyli pod górę. Ralf zatrzymał się.

— Jesteśmy głupi. Dlaczego mamy iść tylko we dwóch? Jeżeli coś znajdziemy, dwóch nas nie wystarczy, żeby...

Doszedł ich tupot nóg umykających chłopców. Spostrzegli ze zdumieniem jakąś postać, która posuwała się w przeciwnym kierunku niż inni.

— Roger?

— Tak.

— Więc jest nas trzech.

Zaczęli wspinać się po zboczu. Ogarniały ich ciemności jak fale przypływu. Jack, który nic nie mówił, zaczął się krztusić i kaszleć; powiew wiatru sprawił, że wszyscy trzej zaczęli parskać śliną. Oczy Ralfa zasły łzami.

— Popiół. Jesteśmy na skraju spalonego lasu.

Ich stopy i drobne podmuchy wzbijały chmury pyłu. Kiedy się znów zatrzymali, żeby się wykaszleć, Ralf miał czas się zastanowić, jacy są głupi. Jeżeli zwierza nie ma — to wszystko ładnie pięknie; ale jeżeli coś ich oczekuje na wierzchołku góry — to co za sens, żeby szli we trzech, po ciemku, mając za całą broń te śmieszne kije?

— Jesteśmy głupi.

Z ciemności nadeszła odpowiedź:

— Masz boja?

Ralf zatrzęsł się ze złości. To wina Jacka.

— Pewnie, że mam. Ale tak czy inaczej jesteśmy głupi.

— Jeżeli nie chcesz iść — zabrzmiał uszczypliwie głos — pójde sam.

Ralf posłyszał drwiący ton i poczuł nienawiść do Jacka. Klucie popiołu w oczach, zmęczenie i lęk wprawiły go we wściekłość.

— No to idź! My tu zaczekamy.

Cisza.

— Czemu nie idziesz? Boisz się!

Majająca w ciemnościach plama, plama, która była Jackiem, oderwała się i zaczęła się oddalać.

— Dobra. Czekamy.

Plama znikła. Inna zajęła jej miejsce.

Ralf dotknął kolanem czegoś twardego. Była to osmalona kołysząca się kłoda. Poczuł, jak ostra, zwęglona kora trze go w kolano, i domyślił się, że na kłodzie usiadł Roger. Pomacał dokoła rękami i siadł obok Rogera, a kłoda kołysała się w niewidocznym popiele. Roger, z natury małomówny, nie odzywał się. Nie wypowiadał swego zdania na temat zwierza ani nie tłumaczył się Ralfowi, czemu wziął udział w szaleńczej wyprawie. Po prostu siedział i lekko bujał kłodą. Ralf usłyszał szybki, drażniący stukot i zdał sobie sprawę, że to Roger wali swoim idiotycznym kijem o coś twardego.

Siedzieli więc — nieprzenikniony Roger i zagniewany Ralf; niskie niebo wokół nich ciążyło gwiazdami i tylko góra znaczyła się na nim wyrwą czerni.

Wysoko ponad nimi rozległo się szuranie, ktoś biegł wielkimi, niebezpiecznymi susami po skałach lub popiele. Jack trząsł się, kiedy ich odnalazł, i głos mu tak skrzeczał, że ledwie go poznali.

— Widziałem to na szczycie.

Usłyszeli, że się potknął i kłoda zachwiała się gwałtownie. Przez chwilę leżał cicho, a potem wymamrotał:

— Uważajcie. Może idzie za mną.

Posypał się deszcz popiołu. Jack usiadł.

— Widziałem, jak coś się wzdyma.

— Zdawało ci się tylko — rzekł Ralf drżącym głosem. — Co może się wzdymać?

Nie ma takiego zwierzęcia.

Podskoczyli, kiedy Roger się odezwał, bo zapomnieli o nim.

— Żaba.

Jack zachichotał i wzdrygnął się.

— Ładna mi żaba. I słyhać było jakiś dźwięk. Coś jakby kłapanięcie. A potem to się zaczęło wzdymać.

Ralf poczuł się zaskoczony nie tyle własnym głosem, który brzmiał normalnie, ile kryjącą się w nim buńczucznością.

— Pójdziemy i zobaczymy.

Po raz pierwszy, odkąd znał Jacka, Ralf wyczuł w nim wahanie.

— Teraz?...

Ralf usłyszał własną odpowiedź:

— Oczywiście.

Wstał z pnia i poszedł w ciemność przez trzeszczące pod stopami zwęglone drewno, a dwaj chłopcy za nim.

Teraz, kiedy milczał, słyszał swój wewnętrzny głos rozsądku, a także inne. Prosiaczek wymyślał mu od dzieciaków. Inny głos nawoływał go, by nie był głupcem; a ciemność i to desperackie przedsięwzięcie sprawiały, że noc miała w sobie coś z nierealności fotela u dentysty.

Pokonawszy ostatnie wzniesienie, Jack i Roger przysunęli się bliżej, przemienili z atramentowych plam w dostrzegalne sylwetki. Wszyscy razem zatrzymali się i przycupnęli. Za nimi, na horyzoncie, w miejscu, gdzie za chwilę miał wypłynąć księżyc, niebo lekko zajaśniało. Wiatr zaszumiał w lesie i obcisnął łachmany na ich ciałach.

Ralf poruszył się.

— Idziemy.

Zaczęli się skradać, pozostawiając ociągającego się Rogera nieco w tyle. Jack i Ralf jednocześnie wśliznęli się na grzbiet góry. W dole rozciągała się połyskująca laguna, a za nią długa biała pręga znacząca miejsce rafy. Roger dogonił ich.

Jack szepnął:

— Podpełzniemy na czworakach. Może śpi.

Roger i Ralf podczołgali się do przodu. Tym razem Jack mimo całej swej zuchwałości został w tyle. Wyszli na płaski wierzchołek, gdzie twarda skała uwierała ich w ręce i kolana.

Jakiś stwór, który się wzdyma.

Ralf dotknął dłonią zimnego, miękkiego popiołu ogniska i zdusił w gardle okrzyk. Aż mu zadrgała ręka od tego nieoczekiwanego zetknięcia. W oczach ukazały mu się na chwilę i rozplynęły w ciemnościach zielone błyski obrzydzenia. Roger przywarował z tyłu, a Jack położył się z ustami przy uchu Ralfa.

— O, tam, gdzie zawsze była wyrwa w skale. Coś jak garb... Widzisz?

Popiół z wygasłego ogniska zaproszył Ralfowi twarz. Nie widział ani wyrwy, ani nic, bo w oczach znowu zawirowały mu zielone koła, a wierzchołek góry zaczął usuwać się gdzieś w bok.

Znowu, jakby skądś z daleka, usłyszał szept Jacka:

— Boisz się?

Nie tyle bał się, ile był sparaliżowany; zawieszony bez ruchu na wierzchołku malejącej i obracającej się góry. Jack popęzł dalej, Roger wpadł na Ralfa, wygrzebał się wciągając powietrze z sykiem i minął go. Ralf usłyszał ich szept.

— Widzisz coś?

— Tam...

O parę kroków przed nimi, gdzie nie powinno być skały, widniało coś jak skalny garb. Ralf usłyszał dobiegające skądś cichutkie szczekanie — może to szczękały jego własne zęby. Skupił całą wolę, przetopił lęk i obrzydzenie w nienawiść i wstał. Zrobił dwa ołowiane kroki do przodu.

Za ich plecami oderwał się od horyzontu skrawek księżyca. Przed nimi, z głową spuszczoną pomiędzy kolanami, siedziało coś podobnego do ogromnej, pogrążonej we śnie małpy. Potem wiatr zaszumiał w lesie, w ciemnościach coś zakotłowało i stwór uniósł głowę, ukazując szczątki twarzy.

Ralf sadził wielkimi susami przez popioły, słyszał krzyk i skoki pozostałych nieszczęśników i ważył się na niemożliwe czyny na tym ciemnym zboczu; wkrótce na wierzchołku góry pozostały jedynie trzy ciśnięte kije i to coś, które się kłaniało.

Ciemnościom w darze

Prosiaczek wzniósł nieszczęsny wzrok z blednącej w brzasku plaży ku ciemnej górze.

— Jesteś pewien? Zupełnie pewien?

— Mówiłem ci już ze sto razy — rzekł Ralf — widzieliśmy go.

— Sądzisz, że tu, na dole, jesteśmy bezpieczni?

— Skąd, u licha, ja mam wiedzieć?

Ralf obrócił się na pięcie i zrobił parę kroków po plaży. Jack klęczał i kreślił palcem koliste wzory na piasku. Dobiegł ich stłumiony głos Prosiaczka:

— Jesteś całkiem pewien?

— Pójdź sam i się przekonaj — rzekł Jack pogardliwie — szczęśliwej drogi.

— Nie ma obawy.

— Ten zwierz ma zęby — powiedział Ralf— i wielkie czarne oczy.

Zadrzał gwałtownie. Prosiaczek zdjął okulary z jednym szkłem i zaczął je przecierać.

— Co teraz zrobimy?

Ralf spojrział w stronę granitowej płyty. Wśród drzew jaśniała koncha, biała plamka w miejscu, gdzie miało ukazać się słońce. Odgarnął z czoła strzechę włosów.

— Nie wiem.

Przypomniał sobie paniczną ucieczkę po zboczu góry.

— Szczerze mówiąc myślę, że nie potrafimy pokonać tak wielkiego zwierza. Możemy dużo gadać, ale nie potrafilibyśmy zabić nawet tygrysa. Ucieklibyśmy. Nawet Jack by uciekł.

Jack wciąż patrzył w piasek.

— A moi myśliwi?

Z cienia przy szalaszach wysliznął się Simon. Ralf zignorował pytanie Jacka. Wskazał żółtawy poblask nad wodami.

— Póki jest jasno, jesteśmy odważni. A potem? Teraz to coś siedzi przy ognisku, jakby mu specjalnie zależało, żebyśmy nie mogli dawać znaków...

Bezwiednie załamał ręce. Ciągnął dalej podniesionym głosem:

— Więc nie możemy rozpaść ogniska sygnałnego... Jesteśmy straceni.

Nad wodą pojawił się złoty punkcik i w jednej chwili całe niebo pojaśniało.

— A moi myśliwi?

— Dzieciaki uzbrojone w kije.

Jack zerwał się raptownie. Twarz miał czerwoną, gdy odchodził. Prosiaczek włożył okulary z jednym szkłem i spojrzał na Ralfa.

— Widzisz, co zrobiłeś? Obraziłeś jego myśliwych.

— Och, zamknij się!

Rozmowę przerwały nieudolne dźwięki muszli. Jakby wyśpiewując pieśń pochwalną wschodzącemu słońcu, Jack stał i trąbił, aż w szalaszach powstał ruch i na granitową płytę zaczęli wchodzić myśliwi, a maluchy pobeczały się, co im się ostatnio dość często zdarzało. Ralf i Prosiaczek wstali posłusznie i poszli w stronę granitowej płyty.

— Gadanie — rzekł Ralf gorzko — nic, tylko gadanie i gadanie, i gadanie.

Wziął konchę od Jacka.

— To zebranie...

Jack mu przerwał:

— Ja je zwołałem.

— Gdybyś ty go nie zwołał, sam bym to zrobił. Ty tylko zatrąbiłeś.

— Czy to nie znaczy, że...

— Och, bierz ją sobie! Gadaj!

Ralf wcisnął konchę w rękę Jacka, a sam usiadł na pniu palmy.

— Zwołałem to zebranie — zaczął Jack — z wielu przyczyn. Po pierwsze, wiecie już, że widzieliśmy zwierza. Podczołgaliśmy się. Byliśmy o parę stóp od niego. Podniósł głowę i popatrzył na nas. Nie wiemy, co on robi. Nie wiemy nawet, co to za zwierz...

— On wychodzi z morza...

— Z ciemności...

— Z drzew...

— Cicho! — krzyknął Jack. — Słuchajcie. Ten zwierz siedzi na górze i...

— Może czeka...

— Poluje...

— Tak, poluje.

— Poluje — powiedział Jack. Przypomniawszy sobie swoje dawne lęki w lesie. — Tak. Ten zwierz jest łowcą. Tylko... Zamknąć się! Następną rzeczą to, że nie możemy go zabić. A jeszcze jedno, Ralf powiedział, że moi myśliwi są do niczego.

— Wcale tego nie mówiłem!

— Ja trzymam konchę. Ralf uważa was za tchórze, którzy uciekają przed odyńcem i przed zwierzem. To jeszcze nie wszystko.

Przez granitową płytę przeszło niby westchnienie, jakby każdy przewidywał, co się teraz stanie. Głos Jacka rozległ się znowu, drżący, lecz zdecydowany, wdzierający się w nieprzyjazną ciszę.

— On jest jak Prosiaczek. Mówi zupełnie jak Prosiaczek. Nie jest prawdziwym wodzem.

Przycisnął konchę do piersi.

— On sam jest tchórzem.

Na chwilę urwał i zaraz zaczął mówić dalej:

— Na szczycie góry, jak my z Rogerem poszliśmy naprzód, on został z tyłu.

— Ja też poszedłem!

— Ale później.

Dwaj chłopcy patrzyli na siebie złowrogo spoza firanek włosów.

— Ja też poszedłem — powiedział Ralf — a potem uciekałem. I ty uciekałeś.

— No, to nazwij mnie tchórzem.

Jack zwrócił się do myśliwych:

— On nie jest myśliwym. Nigdy nie zdobył dla nas mięsa. Nie jest wójtem klasowym i nic o nim nie wiemy. Wydaje tylko rozkazy i chce, żebyśmy go tak za nic słuchali. Całe to gadanie...

— Całe to gadanie! — krzyknął Ralf. — Gadanie, gadanie! Kto chciał gadać? Kto zwołał to zebranie?

Jack odwrócił się, twarz miał czerwoną, brodę wysuniętą naprzód. Spojrzał spode łba na Ralfa.

— Więc dobra — rzekł tonem znaczącym, groźnym — dobra.

Jedną ręką przycisnął konchę do piersi, a wskazującym palcem drugiej przeszył powietrze.

— Kto uważa, że Ralf nie powinien być wodzem?

Spojrzał wyczekująco na skupionych wokół chłopców, którzy jakby skamienieli. Pod palmami zapanowała śmiertelna cisza.

— Ręka do góry — krzyknął Jack — kto nie chce, żeby Ralf był wodzem?

Cisza trwała nadal, nie zakłócona, ciężka, pełna wstydu. Powoli czerwień zaczęła odpływać z policzków Jacka i zaraz powróciła z bolesną gwałtownością. Chłopiec zwilżył językiem wargi i odwrócił głowę, aby uniknąć wstydliwego zetknięcia się z ich wzrokiem.

— Ilu uważa, że...

Głos uwiązał mu w krtani. Trzymające konchę dłonie zaczęły drżeć. Odchrząknął i powiedział głośno:

— Więc dobra.

Położył konchę ostrożnie na trawie u swych stóp. Z kącików oczu spływały mu upokarzające łzy.

— Nie bawię się więcej z wami.

Większość chłopców siedziała teraz ze wzrokiem spuszczonego na trawę, pod nogi. Jack chrząknął znowu.

— Nie będę się zadawał z bandą Ralfa...

Przebiegł wzrokiem wzdłuż pni po prawej ręce, gdzie skupili się myśliwi, którzy niegdyś byli chórem.

— Odchodzę. Niech sam sobie łapie świnię. Jeżeli ktoś będzie chciał polować ze mną, może do mnie przyjść.

Wyszedł z trójkąta chwiejnym krokiem i ruszył ku krawędzi granitowej płyty, gdzie się zaczynał biały piach.

— Jack!

Jack odwrócił się i spojrzał na Ralfa. Chwilę się wahał, a potem krzyknął wysokim, rozwścieczonym głosem:

— Nie!

Zeskoczył z płyty i zaczął biec plażą nie zważając na płynące bez ustanku lzy. Ralf stał i patrzył za Jackiem, póki go nie zakrył las.

Prosiaczek płonął z oburzenia.

— Mówię i mówię, Ralf, a ty stoisz, jak...

Patrząc na Prosiaczka niewidzącymi oczyma, Ralf powiedział cicho, jakby do siebie:

— On wróci. Wróci, jak słońce zajdzie. — Spojrzał na konchę w rękach Prosiaczka.
— Co?

— Już nic!

Prosiaczek zrezygnował z próby karcenia Ralfa. Jeszcze raz przetarł szkło okularów i wrócił do przerwane go tematu:

— Damy sobie radę bez Jacka Merridewa. Są jeszcze na tej wyspie inni oprócz niego. Ale teraz, kiedy wiemy, że zwierz naprawdę istnieje, choć trudno mi w to uwierzyć, będziemy musieli trzymać się blisko granitowej płyty i Jack ze swoim polowaniem będzie nam mniej potrzebny. Trzeba się teraz zastanowić nad naszą sytuacją.

— Nie ma rady, Prosiaczku. Nic się nie da zrobić.

Przez chwilę siedzieli wśród przygnębiającego milczenia. Potem wstał Simon i wziął konchę od Prosiaczka, który był tym tak zdumiony, że nawet nie usiadł. Ralf spojrzał na Simona.

— Simon? Co chcesz powiedzieć?

Drwiący szmer obiegł krąg i Simon wzdrygnął się.

— Pomyślałem sobie, że może dałoby się coś zrobić. Coś, czego...

Znowu świadomość, że przemawia przed tak licznym zgromadzeniem, odjęła mu mowę. Poszukał pomocy i współczucia u Prosiaczka. Przyciskając konchę do brązowej piersi zwrócił się do niego:

— Myślę, że powinniśmy wejść na górę.

Krąg zadrżał z przerażenia. Simon umilkł, zwrócony do Prosiaczka, który patrzył na niego z drwiną i niedowierzaniem.

— Po co mamy wspinać się na górę, skoro Ralf i tamci już tam byli i nic nie mogli zrobić?

Simon wyszeptał odpowiedź:

— Bo nic innego nam nie pozostaje.

Powiedziawszy to, pozwolił zabrać sobie konchę. Potem odsunął się od innych jak mógł najdalej i usiadł.

Prosiaczek mówił teraz z większą pewnością siebie i — co zebrani niechybnie by zauważyli, gdyby okoliczności były mniej poważne — z wyraźną przyjemnością.

— Powiedziałem już, że z powodzeniem możemy się obejść bez pewnej osoby. Teraz musimy się zastanowić, co można zrobić. Zdaje się, że mogę wam powiedzieć, co myśli Ralf. Najważniejszą rzeczą na wyspie jest dym, a nie może być dymu bez ognia.

Ralf zrobił niecierpliwy ruch.

— Nie da rady, Prosiaczku. Nie mamy już ogniska. To coś siedzi tam na górze... musimy zostać tutaj.

Prosiaczek wznosił konchę, jakby chcąc dodać mocy swym następnym słowom.

— Nie mamy już ogniska na wierzchołku góry. Ale dlaczego nie moglibyśmy rozpalić go tu na dole? Można zrobić ognisko choćby o tam, na skałach. Nawet na plaży. I będzie dym.

— Racja!

— Dym!

— Koło basenu!

Chłopcy rozglądali się. Tylko Prosiaczka stać było na taką śmiałość, by zaproponować przeniesienie ogniska z wierzchołka góry na dół.

— Więc rozpalimy ognisko tu, na dole — rzekł Ralf. Rozejrzał się. — Zrobimy je tutaj, między płytą a basenem. Oczywiście.

Urwał marszcząc w zamyśleniu brwi i nieświadomie zaczął ogryzać resztki paznokcia.

— Oczywiście dym będzie tu mniej widoczny, to znaczy prawie niewidoczny z bardzo daleka. Ale przynajmniej nie będziemy musieli się zbliżać do... do...

Chłopcy kiwnęli głowami z całkowitym zrozumieniem. Nie trzeba będzie się przynajmniej zbliżać.

— Zrobimy ognisko teraz zaraz.

Największe pomysły cechuje prostota. Mając przed sobą wyraźne zadanie pracowali z zapalem. Prosiaczka tak rozpierała radość i rosnące poczucie wolności, spowodowane odejściem Jacka, oraz duma z przysługi, oddanej społeczności, że nawet

wziął się do noszenia drzewa. Drzewo, które nosił, było tuż pod ręką, nikomu niepotrzebna zwalona palma na granitowej płycie, ale dla innych chłopców wszystko, co na tej płycie leżało, było święte. Potem bliźniacy zdali sobie sprawę, że bliskość ognia może zmniejszyć ich nocne koszmary, co słysząc maluchy zaczęły tańczyć i klaskać w dłonie.

Drzewo nie było tak suche, jak na górze. Przeważnie zgniłe i pełne robactwa, które rozbiegało się na wszystkie strony. Kłody musiano ostrożnie dźwigać z ziemi, bo inaczej rozsypywały się w wilgotny proszek. Co więcej, by nie zapuszczać się głęboko w las, chłopcy chwyтали zwalone pnie w pobliżu, nie bacząc na oplatające je młode pędy. Czuli się zadomowieni tu, na skraju lasu, w pasie strzaskanej roślinności, w pobliżu konchy i szalaszów, zwłaszcza za dnia. Nikt zaś nie zastanawiał się, jak będzie w nocy. Pracowali więc z zapałem i radością, lecz w miarę upływu czasu zapał zaczynał nabierać cech paniki, a wesołość graniczyć z histerią. Wzniesli piramidę liści, gałązek, konarów i pni na gołym piasku obok granitowej płyty. Po raz pierwszy w dziejach ich pobytu na wyspie Prosiaczek sam zdjął okulary, ukląkł i zogniskował promienie słońca na hubce. Wkrótce powstał strop dymu i krzak żółtego ognia.

Maluchy, które od katastrofy pożaru rzadko widywały ogień, wpadły w ogromne podniecenie. Tańczyły i śpiewały i całe wydarzenie nabrało cech pikniku.

W końcu Ralf przerwał pracę i stał ocierając brudnym ramieniem pot z czoła.

— Będziemy musieli zmniejszyć ognisko. To jest za duże. Nie potrafimy utrzymać tak wielkiego ognia.

Prosiaczek usiadł ostrożnie na piasku i zaczął czyścić okulary.

— Można przeprowadzić doświadczenia. Nauczyć się palić małe ognisko i nakładać zielone gałęzie, żeby dymiło. Trzeba dowiedzieć się, jakie liście nadają się najlepiej do robienia dymu.

Kiedy wygasł ogień, wygasło też podniecenie. Maluchy przestały śpiewać i tańczyć i porozłąziły się to nad wodę, to w stronę drzew owocowych, to ku szalaszom.

Ralf upadł na piasek.

— Musimy zrobić nową listę do pilnowania ognia.

— Jak ich znajdziesz.

Rozejrzał się. Po raz pierwszy spostrzegł, jak mało zostało starszaków, i zrozumiał, czemu tak ciężko szła im praca.

— Gdzie Maurice?

Prosiaczek znów przetarł okular.

— Chyba... nie, on by nie poszedł sam do lasu.

Ralf zerwał się, przebiegł szybko na drugą stronę ogniska i stanął koło Prosiaczka odgarniając włosy z czoła.

— Ale musimy zrobić listę. Jestem ja, ty, Samieryk i...

Nie patrząc na Prosiaczka spytał niby obojętnym tonem:

— Gdzie Bill i Roger?

Prosiaczek schylił się i rzucił w ogień patyk.

— Zdaje się, że poszli. Zdaje się, że nie chcą się z nami bawić.

Ralf usiadł i zaczął robić palcem dziurki w piachu. Zdziwił się, ujrawszy obok jednej z nich kropelkę krwi. Przyjrzał się uważnie obgryzionemu paznokciowi i patrzył, jak na skaleczonym miejscu zbiera się kuleczka krwi.

Prosiaczek mówił dalej:

— Widziałem, jak się wykradali, kiedy znosiliśmy drzewo. Poszli w tamtą stronę. W tę samą, co on.

Ralf skończył oględziny palca i spojrzał w górę. Niebo jakby ze współczucia dla wielkich zmian, które wśród nich zaszły, było dziś inne i tak zamglone, że rozgrzane powietrze wydawało się miejscami białe. Dysk słońca stał się matowosrebrny, jakby bliższy i nie tak gorący; ale w powietrzu wisiała duchota.

— Z nimi były zawsze tylko kłopoty. W głosie, który rozległ się tuż koło niego, czuć było niepokój.

— Damy sobie radę bez nich. Będzie nam teraz lepiej.

Ralf usiadł. Nadeszli bliźniacy wlokąc wielką kłodę i uśmiechając się triumfalnie. Cisnęli kłodę w żarzące się węgle wzbijając snop iskier.

— Poradzimy sobie sami.

Kłoda zdążyła wyschnąć, zając się płomieniem, rozżarzyć do czerwoności, a Ralf wciąż siedział na piasku i nic nie mówił. Nie widział, jak Prosiaczek podszedł do bliźniaków i szeptał coś z nimi ani jak wszyscy trzej udali się do lasu.

— Proszę.

Na dźwięk tego słowa drgnął i oprzytomniał. Obok niego stał Prosiaczek i dwaj chłopcy. Byli obładowani owocami.

— Pomyślałem sobie — rzekł Prosiaczek — że warto zrobić ucztę. Trzej chłopcy usiedli. Przynieśli masę owoców, a wszystkie dojrzałe. Uśmiechnęli się do Ralfa, gdy sięgnął i zaczął jeść.

— Dziękuję — powiedział. A potem z wyrazem miłego zaskoczenia jeszcze raz: — Dziękuję!

— Poradzimy sobie doskonale sami — rzekł Prosiaczek. — Oni nie mają oleju w głowie i tylko z nimi kłopot. Zrobimy małe porządne ognisko...

— Gdzie Simon?

— Nie wiem.

— Ale nie poszedł chyba na górę?

Prosiaczek parsknął głośnym śmiechem i wziął garść owoców.

— Może i poszedł. — Przełknął owoce. — On jest stuknięty.

Simon minął teren drzew owocowych, ale maluchy zajęte były dziś ogniskiem na plaży i żaden tu go nie ścigał. Posuwał się dalej wśród pnączy, aż doszedł do wielkiej maty splecionej roślinności koło niewielkiej polanki i wpełzł do środka. Za zasłoną z liści było rażące słońce i motyle igrały w ustawicznym tańcu. Ukląkł i poczuł na sobie słoneczny grot. Poprzednim razem powietrze jakby wibrowało żarem; teraz jednak kryło w sobie groźbę. Wkrótce spod długich, szorstkich włosów chłopca zaczęły wypływać strużki potu. Poruszył się niespokojnie, ale nie było gdzie schronić się przed słońcem. Poczul pragnienie, a potem jeszcze większe pragnienie.

Nie ruszał się z miejsca.

Daleko na plaży przed grupką chłopców stał Jack. Promieniał z radości.

— Polowanie — mówił. Przyglądał się im krytycznie. Wszyscy mieli na sobie szczątki czarnych czapek, a kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, stali skromnie w dwóch szeregach, a dobywające się z ich krtani głosy brzmiały jak anielskie pienia.

— Będziemy polowali. Ja będę wodzem. Skinęli głowami i kryzys minął.

— A teraz w sprawie zwierza.

Poruszyli się, spojrzeli w las.

— Powiem wam. Nie będziemy się nim przejmowali.

Kiwnął głową.

— Zapomnimy o zwierzu.

— Słusznie!

— Tak!

— Zapomnimy o nim!

Jeżeli Jacka zdumiała ta gorliwość, to nie pokazał tego po sobie.

— I jeszcze jedno. Nie będzie nam się tutaj tyle śnić. Jesteśmy prawie na końcu wyspy.

Potwierdzili z zapalem wypływającym z głębi udręczonych dusz.

— Słuchajcie teraz. Później może przeniesiemy się do skalnego zamku. Ale teraz muszę postarać się odciągnąć więcej starszaków od konchy i tego wszystkiego. Zabijemy świnie i zrobimy ucztę. — Urwał i zaczął mówić wolniej: — I jeszcze w sprawie zwierza. Jak upolujemy świnie, zostawimy mu trochę mięsa. Wtedy nie będzie się nas czepiał.

Wstał nagle.

— Pójdziemy teraz do lasu i zapolujemy.

Odwrócił się i pobiegł kłusem, a oni po chwili wahania ruszyli posłusznie za nim.

Rozsypali się z lękiem po lesie. Jack znalazł niemal od razu zrytą ziemię i poszarpane korzenie świadczące o pobycie świni; wkrótce trafili na świeży ślad. Jack dał znak reszcie myśliwych, aby zachowywali się cicho, i poszedł dalej sam. Był szczęśliwy i w okryciu wilgotnego mroku lasu czuł się jak w swoim starym ubraniu. Przeczłogał się w dół ku skałom i rzadko stojącym drzewom wybrzeża.

Świnie, wypchane torby tłuszczu, leżały rozkoszując się w cieniu drzew. Nie było wiatru, więc nie podejrzewały niebezpieczeństwa, a doświadczenie nauczyło Jacka poruszać się bezszelestnie jak zjawą. Wycofał się i wrócił, aby udzielić wskazówek myśliwym. Niebawem wszyscy zaczęli się powolutku skradać, pocąc się w ciszy i upale. Spod drzew doszedł ich odgłos leniwego kłapania uszami. Nieco dalej od reszty, oddając się macierzyńskiemu szczęściu, leżała największa maciora. Była różowa w czarne łaty, a wielką banię jej brzucha otaczał rząd prosiąt, które spały lub szturchały ją ryjkami i pokwikiwały.

Jakieś piętnaście jardów od świń Jack zatrzymał się i jego ramię prostując się wskazało maciorę. Spojrzał na nich pytająco, aby się upewnić, że wszyscy dobrze zrozumieli, a chłopcy kiwnęli głowami. Rząd ramion odchylił się do tyłu.

— Już!

Stado poderwało się. Z odległości ledwie dziesięciu jardów drewniane włócznie o stwardniałych w ogniu ostrzach poszybowały ku upatrzonej świni. Jedno z prosiąt z obłąkanym wrzaskiem pognało w morze wlokąc za sobą włócznię Rogera. Maciora z dychawicznym kwikiem stanęła chwiejnie, z dwoma włóczniami uwięzłymi w tłustym boku. Chłopcy krzyknęli i ruszyli naprzód, prosięta rozproszyły się na wszystkie strony, a maciora przedarła się przez pierścień ataku i pogalopowała w las łamiąc po drodze gałęzie.

— Za nią!

Gnali świńską ścieżką, ale las był zbyt ciemny i gęsty, więc Jack klnąc zatrzymał ich i rzucił się między drzewa. Przez chwilę nie odzywał się, tylko dyszał ciężko, aż poczuli przed nim lęk i wymienili spojrzenia pełne niespokojnego podziwu. Potem wskazał palcem na ziemię.

— Tam...

Zanim inni zdążyli przyjrzeć się kropelce krwi, Jack skręcił w bok kierując się niedostrzegalnym śladem, dotykając tu i ówdzie ustępujących gałązek. Szedł tak z jakąś tajemną pewnością, a myśliwi za nim.

Zatrzymał się przed zwartym gąszczem.

— Tutaj.

Otoczyli gęstwinę, ale maciora znowu umknęła, choć z jeszcze jedną włócznią w boku. Wlokące się za nią włócznie przeszkadzały w biegu, a ich ostre, zastrugane końce sprawiały bezustanny ból. Wpadła na drzewo i wbiła sobie jedną z włóczni jeszcze głębiej; odtąd już każdy myśliwy widział wyraźnie ślad świeżej krwi. Upływało popołudnie, mgliste i straszne od wilgotnego upału; maciora gnała przed siebie krwawiąca i oszalała, a oni podążali za nią zniewoleni chucią, podnieceni tym długotrwałym pościgiem i krwią. Dojrzeli ją teraz, niemal dogonili, ale dobyła resztek sił i znów wyrwała się do przodu. Byli tuż, tuż, gdy wypadła na otwartą przestrzeń, gdzie kwitły różnokolorowe kwiaty, a w nieruchomym, upalnym powietrzu tańczyły motyle.

Tutaj, pod ciosem spekoty, upadła, a myśliwi rzucili się na nią. Ten straszliwy najazd z nieznanego świata przyprawił ją o obłęd; kwiczała i wierzgała, a powietrze pełne było potu i hałasu, i krwi, i przerażenia. Roger biegał wokół kłębowiska i kłuł włócznią, gdzie tylko spostrzegł kawałek świńskiego ciała. Jack leżał na maciorze i dźgał ją nożem. Roger znalazł miejsce dla ostrza swej włóczni i zaczął naciskać całym ciężarem. Włócznia

wsuwała się cal po calu i kwik przeszedł w przeraźliwy wrzask. Wreszcie Jack trafił w gardło i na ręce bluznęła mu krew. Maciora przestała się szarpać, a oni leżeli na niej całym ciężarem, wreszcie zaspokojeni. Motyle wciąż tańczyły na środku polany, zajęte sobą.

W końcu podniecenie dobijaniem zwierzyny opadło. Chłopcy odstąpili i Jack wstał i wyciągnął ręce.

— Patrzcie.

Zachichotał i otrząsnął je, a chłopcy roześmiali się na widok ociekających krwią dłoni. Potem Jack schwycił Maurice'a i umazał mu policzki. Roger zaczął wyciągać włócznię i dopiero wtedy chłopcy zobaczyli, co zrobił. Robert określił to zdaniem, które przyjęto burzliwym śmiechem.

— W sam tyłek!

— Słyszałeś?

— Słyszałeś, co powiedział?

— W sam tyłek!

Tym razem dwie główne role odegrał Robert z Maurice'em; a Maurice tak śmiesznie naśladował ruchy świni, usiłującej umknąć przed ostrzem włóczni, że chłopcy płakali ze śmiechu.

Wreszcie nawet i to przestało ich bawić. Jack wytarł okrwawione ręce o skalę i zabrał się do świni. Zaczął ją patroszyć wydzierając dymiące zwoje kiszek i kładąc je na skale, czemu chłopcy przyglądali się z uwagą. Pracując mówił:

— Zabierzemy mięso na plażę. Pójdę na granitową płytę i zaproszę ich na ucztę. To będzie dobra okazja.

Roger spytał:

— Wodzu...

— Uhu?...

— A jak rozpalimy ogień?

Jack kucnął i marszcząc brwi spojrzał na świnię.

— Zrobimy napad i weźmiemy od nich. Pójdzie czterech: Henry, ty, Bill i Maurice. Pomalujemy twarze i podkradniemy się. Roger porwie gałąź, jak ja będę z nimi rozmawiał. Reszta tymczasem zanieś to tam, gdzie się spotkaliśmy. Tam rozpalimy ognisko. A potem...

Urwał i wstał patrząc na cienie pod drzewami. Głos jego był cichszy, gdy mówił dalej:

— Ale zostawimy trochę mięsa dla...

Ukląkł i zaczął pracować nożem. Chłopcy stłoczyli się wokół niego. Jack wydał przez ramię polecenie Rogerowi:

— Weź patyk i zaostrz oba końce.

Wstał trzymając w obu dłoniach ociekający łeb maciory.

— Gdzie ten patyk?

— Tu.

— Wbij jeden koniec w ziemię. Och... to skała. Wciśnij go w szczelinę. Dobrze.

Jack podniósł świński łeb do góry i nadział z rozmachem na patyk, aż zaostrozony koniec przebiwszy miękką krtań wylazł przez pysk. Odstąpił, a łeb tkwił na patyku, po którym sączyła się strużka krwi.

Chłopcy instynktownie odsunęli się również i w lesie zrobiło się bardzo cicho. Wyteżyli słuch, lecz usłyszeli tylko bzykanie much uwijających się przy wypatroszonych flakach.

Jack powiedział szeptem:

— Bierzcie świnię.

Maurice i Robert nadziali świnię na drag i dźwignęli ciężar na ramiona. Stojąc w milczeniu nad śladami zaschłej krwi, wyglądali nagle na spłoszonych.

Jack powiedział głośno:

— Ten łeb jest dla zwierza. To dar.

Dar ten przyjęła cisza, napełniając ich grozą. Łeb z przymglonymi oczyma i krwią czerniejącą pomiędzy zębami tkwił na kiju. Chłopcy rzucili się nagle do ucieczki pędząc przez las ku otwartej plaży.

Simon pozostał na swoim miejscu, mała brązowa figurka ukryta wśród liści. Nawet gdy zamykał oczy, widział wciąż przed sobą świński łeb na pytyku. Na wpół przymknięte oczy świni przyémiewał bezgraniczny cynizm dorosłości. Oczy te zapewniały Simona, że wszystko jest złe.

— Wiem.

Simon nagle się zorientował, że wypowiedział to głośno. Otworzył szybko oczy. Łeb szczyrzył zęby w rozbawieniu, ignorując muchy, wypatroszone bebechy, a nawet zniewagę nadziania na kij.

Odwrócił głowę i zwilżył zaschnięte wargi.

Dar dla zwierza. Może zwierz po niego przyjdzie? Głowa jak gdyby była tego samego zdania. Uciekaj — mówiła bezgłośnie — wracaj do chłopców. To tylko taki żart, nie ma się czym przejmować. Po prostu byłeś trochę niedysponowany, i to wszystko. Może bolała cię głowa albo zjadłeś coś niedobrego. Wracaj, dziecko — mówiła głowa bezgłośnie.

Simon podniósł wzrok, czując ciężar swoich mokrych włosów, i spojrzał w niebo. Tam, w górze, po raz pierwszy pokazały się chmury, wielkie baniaste wieżyce piętrzące się wysoko, szare, kremowe, miedziane. Zasiadły nad wyspą, dławili ją powodując nieustannie ten duszący, dokuczliwy upał. Już nawet motyle uciekły z polanki, gdzie stało na patyku to szczyzące zęby, okapujące krwią ohydztwo. Simon spuścił głowę zamykając oczy, a potem osłonił je dłonią. Nie było pod drzewami cienia, tylko wszędzie ta perłowa cisza sprawiająca, że nawet realne przedmioty zdawały się złudne i nieokreślone. Stos świńskich bebechów przemienił się w czarną plamę much, które bzycały jak piła. Po chwili muchy znalazły Simona. Nażarte siadały przy strużkach potu i piły. Łaskotały go w nozdrza, wyprawiały harce na udach. Były czarne, zielonkawe i nieprzeliczone; a przed Simonem stał na kiju Władca Much i uśmiechał się. W końcu Simon nie wytrzymał i spojrzał na niego; zobaczył białe zęby, przymglone oczy, krew — i to odwieczne, nieuniknione rozpoznanie przykuło jego wzrok. W prawej skroni Simona załomotał puls.

Ralf i Prosiaczek leżeli w piasku i patrząc w ogień ciskali bezmyślnie kamykami w bezdymne ognisko.

— Ta gałąź już się spaliła.

— Gdzie Samieryk?

— Trzeba pójść po drzewo. Nie mamy zielonych gałęzi.

Ralf westchnął i wstał. Nie było cienia pod palmami na granitowej płycie, tylko to dziwne światło, które jakby świeciło w górze, wśród wzbierających chmur, huknęło jak z armaty.

— Będzie lało jak z cebra.

— A co z ogniskiem?

Ralf pobiegł w las i wrócił z zieloną gałęzią, którą cisnął w ogień. Gałąź zatrzeszczała, liście pozwijały się i w powietrze wzniosł się żółty dym.

Prosiaczek w roztargnieniu kreślił palcami wzorki na piasku.

— Cały kłopot, że mamy za mało ludzi do pilnowania ogniska. Trzeba traktować Samieryka jako jedną zmianę. Oni wszystko robią razem...

— Oczywiście.

— A to niesprawiedliwe. Powinni odpracować dwie zmiany.

Ralf nie od razu to zrozumiał. Stwierdził z rozdrażnieniem, że za mało myśli jak dorosły, i westchnął znowu. Wyspa zdawała się coraz mniej wymarzoną rajem.

Prosiaczek spojrzał na ognisko.

— Zaraz będzie potrzebna nowa gałąź.

Ralf obrócił się na plecy.

— Prosiaczku, co zrobimy?

— Będziemy sobie jakoś radzić bez nich.

— Ale... ognisko.

Patrzył ze zmarszczonymi brwiami w czarno-biały popiół, w którym leżały nie dopalone kawałki patyków. Starał się uporządkować myśli.

— Boję się.

Uchwycił spojrzenie Prosiaczka, więc zaczął brnąć dalej:

— Nie zwierza. To znaczy, zwierza też się boję. Ale że nikt nie rozumie potrzeby ogniska. Że to jakby rzucić tonącemu linę. Albo jakby lekarz powiedział: pij to, bo jak nie będziesz, to umrzesz... i wtedy człowiek pije, no nie?

— Jasne, że tak.

— Czy oni nie rozumieją? Nie mogą tego zrozumieć? Że bez sygnału dymnego umrzemy tutaj? Spójrz na to.

Nad ogniskiem drżał słup rozgrzanego powietrza, ale ani śladu dymu.

— Nie możemy dopilnować jednego ogniska. A oni się nie przejmują. I co więcej...

— Spojrzał uważnie w ociekającą potem twarz Prosiaczka.

— Co więcej, ja też czasem się nie przejmuję. A gdybym tak zrobił się jak inni i przestał się troszczyć. Co by się z nami stało?

Prosiaczek, głęboko zatroskany, zdjął okulary.

— Nie wiem, Ralf. Myślę, że musimy wytrwać. Tak by zrobili dorośli.

Ralf, skoro raz zaczął swoje wynurzenia, ciągnął:

— Prosiaczku, co się stało?

Prosiaczek spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Myślisz o...?

— Nie, nie o tym... tylko... co sprawia, że wszystko się psuje?

Prosiaczek w zamyśleniu wolno przecierał okular. Kiedy zrozumiał, jak dalece Ralf czuł mu się bliski, aż poróżowił z dumy.

— Nie wiem, Ralf. Moim zdaniem, to wina jego.

— Jacka?

— Jacka. — To imię również zaczynało stawać się tabu. Ralf skinął poważnie głową.

— Tak — rzekł — na pewno tak.

W lesie koło nich wybuchła wrzawa. Z gęstwiny wyskoczyły z wyciem piekielne postacie z twarzami w białe, czerwone i zielone plamy. Maluchy z krzykiem rzuciły się do ucieczki. Ralf spostrzegł kątem oka, że Prosiaczek też biegnie. Dwie postacie skoczyły ku ognisku, więc Ralf przygotował się do obrony, ale one tylko chwyciły na wpół spalone gałęzie i pognały wzdłuż plaży. Trzy inne stały nieruchomo patrząc na Ralfa. W najwyższej z nich, której nagość okrywały tylko pas i farba, Ralf rozpoznał Jacka.

Ralf odzyskał oddech.

— No i co?

Jack zignorował go, uniósł włócznię i zaczął krzyczeć:

— Słuchajcie wszyscy. Ja i moi myśliwi mieszkamy na plaży koło płaskiej skały. Polujemy, uczujemy i bawimy się. Jeżeli chcecie przystać do mojego szczepu, przyjdźcie nas odwiedzić. Może wam pozwolę. A może nie.

Urwał i rozejrzał się wokół. Pod osłoną maski nie groził mu wstyd ani zażenowanie, mógł więc patrzeć każdemu z nich w oczy. Ralf klęczał przy szczątkach ogniska jak sprinter na starcie, z twarzą na wpół zakrytą włosami i sadzą. Samieryk wyglądał zza palmy na skraju lasu. Koło basenu beczał jakiś maluch z purpurową wykrzywioną buzią, a Prosiaczek stał na granitowej płycie trzymając oburącz konchę.

— Dzisiaj wieczorem urządzamy ucztę. Zabiliśmy świnie i mamy mięso. Możecie przyjść i jeść z nami, jeżeli chcecie.

Wysoko gdzieś w kanionach chmur znowu zagrzmiało. Jack i dwaj dżicy drgnęli i spojrzeli w górę, ale opanowali się zaraz. Maluch ryczał dalej. Jack czekał na coś. Szepnął nagle do towarzyszy:

— No już, gadajcie!

Dwaj dżicy coś mruknęli. Jack powiedział ostro:

— Gadajcie!

Spojrzeli na siebie, wzniesli włócznie i wyrecytowali jednocześnie:

— Wódz powiedział.

Następnie wszyscy trzej odwrócili się i pobiegli. Ralf podniósł się patrząc za nimi. Zbliżył się Samieryk mówiąc bojaźliwym szeptem:

— Ja myślałem, że to...

— ...a ja miałem...

— ...stracha.

Prosiaczek stał nad nimi na granitowej płycie i wciąż trzymał konchę.

— To był Jack, Maurice i Robert — rzekł Ralf. — Ale się zabawiają!

— O mało co nie dostałem ataku astmy.

— Pies drapał twoją astmę.

— Kiedy zobaczyłem Jacka, pomyślałem sobie, że przyszedł po konchę. Nie wiem czemu.

Grupka chłopców patrzyła na białą muszlę z pełnym oddaniem i szacunkiem. Prosiaczek wręczył ją Ralfowi i maluchy, widząc ten znajomy symbol, zaczęły się zbliżać.

— Nie tutaj.

Ruszył ku granitowej płycie, chcąc nadać wydarzeniu odpowiednią wagę. Przodem szedł Ralf piastujący białą konchę w dłoniach, za nim z ogromną powagą Prosiaczek, dalej bliźniacy, na końcu maluchy.

— Siadajcie wszyscy. Oni napadli na nas, żeby wziąć ogień. Bawią się. Ale...

W umyśle Ralfa zapadła jakaś zastawka. Chciał coś powiedzieć i nagle zastawka przeszkodziła mu.

— Ale...

Patrzyli na niego poważnie, nie podejrzewając jeszcze jego kłopotów. Ralf odgarnął idiotyczne włosy z czoła i spojrzał na Prosiaczka.

— Ale... no... ognisko! Jasna rzecz, ognisko!

Zaczął się śmiać, ale zaraz przestał i dalej mówił już płynnie:

— Ognisko jest najważniejsze. Bez ogniska nie możemy się ocalić. Ja też chciałbym pomalować się barwami wojennymi i bawić w dzikusów. Ale musimy pilnować ogniska. Ognisko to najważniejsza rzecz na wyspie, bo... bo...

Znowu urwał i ciszę wypełniło zdziwienie i niedowierzenie.

Prosiaczek wyszeptał nagłaco:

— Ratunek.

— Tak. Bez ogniska nie możemy się uratować. Musimy więc zostać przy ognisku i dawać sygnały dymne.

Nikt nie zabrał głosu, kiedy skończył. Po wielu błyskotliwych mowach, wygłoszonych z tego właśnie miejsca, uwagi Ralfa brzmiały kulawo nawet dla maluchów.

W końcu po konchę sięgnął Bill.

— Teraz, jak nie możemy palić ogniska na górze — bo nie możemy palić ogniska na górze — trzeba nas więcej, żeby utrzymać ogień. Chodźmy do nich na ucztę i powiedzmy im, że nam samym za ciężko. A to polowanie i wszystko — znaczy ta zabawa w dzikich — musi być bardzo przyjemna.

Konchę przejął Samieryk.

— To jest na pewno przyjemna zabawa... i on nas zaprosił...

— ...na ucztę...

— ...na mięso...

— ...chrupiące...

— ...zjadłoby się kawał mięsa...

Ralf podniósł dłoń.

— A czy sami nie możemy zdobyć mięsa?

Bliźniacy spojrzeli na siebie. Bill odpowiedział:

— My nie chcemy iść do dżungli.

Ralf skrzywił się.

— A on... wiecie kto... chodzi.

— On jest myśliwym. Oni są wszyscy myśliwymi. To co innego.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, potem Prosiaczek wymamrotał w piach:

— Mięso...

Maluchy siedziały z powagą myśląc o mięsie i ślinka im ciekła. Nad nimi znowu huknęło jak z armaty i nagły powiew gorącego wiatru zaszumił w liściach palm.

— Jesteś głupi brzdąc — mówił Władca Much — niemądry, głupi brzdąc.

Simon poruszył obrzmiałym językiem, ale nie odpowiedział.

— Zgodzisz się ze mną? — spytał Władca Much. — Niemądry brzdąc.

Simon odpowiedział mu w ten sam bezgłośny sposób.

— No więc — ciągnął Władca Much — biegnij się bawić z kolegami. Oni uważają, że masz bzika. A chyba nie chcesz, żeby Ralf myślał, że masz bzika, co? Przecież bardzo lubisz Ralfa. I Prosiaczka, i Jacka.

Głowa Simona była z lekka zadarta ku górze. Nie mógł odwrócić wzroku i Władca Much trwał przed nim jakby zawieszony w przestrzeni.

— Co ty tu robisz sam? Nie boisz się mnie?

Simon zadrżał.

— Nikt ci tu nie może pomóc. Tylko ja. A ja jestem Zwierz.

Wargi Simona poruszyły się, wydobył ledwie dosłyszalne słowa:

— Świński łeb na patyku.

— Jakby Zwierz miał być czymś, co można wytropić i zabić! Ładne sobie! — rzekł łeb. W ciągu kilku chwil las i wszystko dookoła brzmiało parodią śmiechu. — A ty wiedziałeś, prawda? Że jestem częścią was? Blisko, bliźiutko, bliźiuteńko! Że to przeze mnie wszystko na nic? Że jest tak, jak jest?

Znów zadrżał śmiech.

— No dosyć — rzekł Władca Much. — Wracaj już do kolegów i zapomnijmy o wszystkim.

Głowa Simona zakołysała się. Oczy miał na wpół przymknięte, jakby naśladował to ohydztwo na patyku. Wiedział, że nadchodzi jedna z jego chwil. Władca Much zaczął rozdymać się jak balon.

— To śmieszne. Wiesz doskonale, że spotkasz mnie tam na dole, więc nie próbuj uciekać!

Kark Simona był wygięty w łuk i naprężony. Władca Much przemówił głosem dyrektora szkoły:

— To już przechodzi wszelkie granice. Biedny, wykolejony chłopcze, myślisz, że jesteś mądrzejszy ode mnie?

Umilkł na chwilę.

— Ostrzegam cię. Bo mogę stracić cierpliwość. Jesteś niepotrzebny. Rozumiesz? Zrobimy sobie zabawę na tej wyspie. Rozumiesz? Zrobimy sobie zabawę! Więc nie próbuj swoich sztuczek, mój biedny, wykolejony chłopcze, bo inaczej...

Simon patrzył w wielką paszczę, która ziała czernią, rozszerzającą się czernią.

— ...Bo inaczej — mówił Władca Much — wykończymy cię. Zrozumiałeś? Jack i Roger, i Maurice, i Robert, i Bill, i Prosiaczek, i Ralf. Wykończymy. Rozumiesz?

Simon znalazł się w paszczy. Upadł i stracił przytomność.

Widok śmierci

Chmury nad wyspą wciąż się gromadziły. Stały prąd rozgrzanego powietrza unosił się przez cały dzień nad górą i wzbijał na dziesięć tysięcy stóp; kłębiące się masy gazu stłoczyły się w jednym miejscu, każdej chwili gotowe wybuchnąć. Pod wieczór słońce znikło i miejsce światła dnia zajął miedziany poblask. Nawet to powietrze, które płynęło znad morza, było gorące i nie przynosiło ochłody. Woda, drzewa i różowe skały utraciły barwy pod nawisem białych i brunatnych chmur. Prosperowały jedynie muchy, czerniące swojego władcę, i wyprute flaki, które wyglądały niby stos połyskliwego węgla. Nawet kiedy Simonowi pękła w nosie żyłka i zaczęła płynąć świeża krew, zostawiły go w spokoju, przekładając nad nią wyborny smak świni.

Wraz z upływem krwi atak Simona przeszedł w odrętwienie. Leżał na macie z pnączy, a tymczasem nadszedł wieczór i w chmurach ciągle przetaczało się dudnienie. Wreszcie chłopiec ocknął się i zobaczył niewyraźnie tuż przy swojej twarzy ciemną ziemię. Leżał dalej nieruchomo z policzkiem przy ziemi, tępo wpatrzony przed siebie. Potem obrócił się, podciągnął stopy i chwycił się pnączy, żeby się podnieść. Gdy targnął pnączami, muchy zerwały się z gniewnym bzyczeniem z flaków i zaraz przylgnęły do nich

znowu. Simon stanął na nogi. Światło było jakieś pozaziemskie. Władca Much wyglądał niby czarna kula na patyku.

Simon powiedział głośno w stronę polanki:

— Co innego można zrobić?

Nie było odpowiedzi. Odwrócił się i wpęłzył przez pnącza w mrok lasu. Szedł między drzewami z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu i krwią zakrzepłą wokół ust. Czasem tylko, gdy rozsuwał pnącza i obierał dalszą drogę według ukształtowania terenu, usta układały mu się w bezgłośne słowa.

Niebawem pnącza przerzedziły się i tu, i ówdzie między drzewa padały z nieba rzadkie plamy perłowego światła. Był to grzbiet wyspy, lekkie wzniesienie u podnóża góry, gdzie kończyła się niezgłębiona dżungla. Otwartą przestrzeń przeplatały krzaki i ogromne drzewa i w miarę jak las stawał się rzadszy, teren wznosił się coraz bardziej stromo. Simon wciąż szedł, chwiejąc się czasem ze zmęczenia, lecz nie ustając. W oczach nie miał zwykłej wesołości i szedł z jakimś ponurym zdecydowaniem, jak starzec.

Zatoczył się pod nagłym uderzeniem wiatru i wówczas spostrzegł, że stoi na nagiej skale pod miedzianym niebem. Stwierdził, że ledwie powłóczy nogami i boli go język. Gdy wiatr dosięgnął wierzchołka góry, Simon zauważył jakiś ruch, trzepotanie czegoś błękitnego na tle burych chmur. Piął się z trudem naprzód, a wiatr znów uderzył, tym razem mocniejszy, i targnął koronami drzew, aż się ugięły i zaszumiały. Jakaś zgięta w pałąk postać na wierzchołku rozprostowała się nagle i spojrzała na Simona z góry. Chłopiec schylił głowę i mozolnie piął się dalej.

Muchy również znalazły ową postać. Spłoszone ruchem zrywały się na krótką chwilę tworząc ciemną chmurę wokół jej głowy. Potem, gdy błękitna czasza spadochronu opadała i tęga postać skłaniała się z westchnieniem ku przodowi, znów ją obsiadały.

Simon poczuł, że uderza kolanami w skałę. Podczołgał się bliżej i wkrótce zrozumiał. Płatanina linek wyjawiała mu mechanikę tej całej parodii; przyjrzał się białym kościom policzkowym, zębom, kolorom rozkładu. Zobaczył, jak guma i płótno niemilosiernie krępują to nieszczęsne ciało, które już powinno ulec rozpadowi. Potem znowu powiał wiatr i postać uniosła się, skłoniła i zionęła na Simona smrodem. Simon stanął na czworakach i zwymiotował wszystko, co miał w żołądku. Następnie zabrał się do linek spadochronu; wyplątał je ze skał i uwolnił postać od zniewagi wiatru.

Wreszcie odwrócił się i spojrzał ku plaży. Ognisko koło granitowej płyty zgasło, a w każdym razie nie dymiło. Nieco dalej, za rzeczką, przy wielkim odłamie skały, unosiła się ku niebu cienka strużka dymu. Lekceważąc muchy zrobił z dłoni daszek nad oczami i wyteżył wzrok. Nawet z tej odległości zdołał stwierdzić, że przy ognisku była większość chłopców, jeżeli nie wszyscy. A więc przenieśli obóz na inne miejsce, dalej od zwierza. Myśląc o tym spojrzał na cuchnące zwłoki obok siebie. Zwierz, choć straszny, jest całkiem nieszkodliwy, i trzeba o tym jak najszybciej wszystkich powiadomić. Ruszył w dół, lecz nogi ugięły się pod nim. Zebrał wszystkie siły i slaniając się zaczął schodzić.

— Popływajmy — rzekł Ralf — to jedno nam zostało.

Prosiaczek badał przez soczewkę groźne niebo.

— Nie podobają mi się te chmury. Pamiętasz, jak lało zaraz po naszym wylądowaniu?

— Znowu będzie lało.

Ralf skoczył do wody. Na skraju basenu bawiło się kilku maluchów, próbując znaleźć ulgę w wodzie, która była gorętsza od krwi. Prosiaczek zdjął okulary, zanurzył się ostrożnie i włożył je z powrotem. Ralf wypłynął na powierzchnię i prysnął na niego wodą.

— Uważaj, moje okulary! — krzyknął Prosiaczek. — Jak mi je oblejesz, będę musiał wyjść i wytrzeć.

Ralf znowu puścił strugę wody na Prosiaczka i nie trafił. Roześmiał się pewien, że Prosiaczek jak zwykle wycofa się potulnie w pełnym bóleści milczeniu. On jednak zaczął tłuc rękami wodę.

— Przestań! — wrzasnął. — Słyszysz?

Z wściekłością bryzgał wodą w twarz Ralfa.

— Dobrze już, dobrze — powiedział Ralf. — Nie wściekaj się.

Prosiaczek przestał tłuc wodę.

— Głowa mnie boli. Chciałbym, żeby się ochłodziło.

— Żeby zaczął padać deszcz.

— Żebyśmy mogli znaleźć się w domu.

Prosiaczek położył się na pochyłym brzegu basenu. Brzuch mu zapadł, a osiadłe na nim kropelki wody zaczęły obsychać. Ralf puścił strugę wody w niebo. Położenie

słońca można było odgadnąć po świetlistej plamce pośród chmur. Ukląkł w wodzie i rozejrzał się.

— Gdzie są wszyscy?

Prosiaczek siadł.

— Pewnie w szałasach.

— Gdzie Samieryk?

— I Bill?

Prosiaczek wskazał na granitową płytę.

— Poszli tam. Do Jacka na ucztę.

— Niech sobie idą — rzekł Ralf z zakłopotaniem. — Co mnie to obchodzi!

— Żeby zjeść kawałek mięsa...

— I polować — powiedział Ralf — i bawić się w szczep dzikich, i pomalować się barwami wojennymi.

Prosiaczek grzebał pod wodą nogą w piasku i nie patrzył na Ralfa.

— Może i my powinniśmy tam pójść...

Ralf spojrział na niego szybko i Prosiaczek zaczerwienił się.

— Żeby... żeby upewnić się, że nic złego się nie stanie.

Ralf wypuścił strugę wody z ust.

Gdy Ralf i Prosiaczek zbliżali się do gromady Jacka, z daleka już słyszeli wrzawę. W miejscu, gdzie palmy zostawiły szeroki pas ziemi pomiędzy brzegiem a lasem, rosła trawa. Nieco niżej leżał biały piach namieciony poza linię przyływu, ciepły, suchy, zdeптany. Za tą połącią piachu była skała opadająca ku lagunie. Za skałą znowu wąska wstęga piachu, a dalej już woda. Na skale płonęło ognisko i tłuszcz z piezonego mięsa skapywał w niewidoczne płomienie. Wszyscy chłopcy z wyspy, oprócz Ralfa, Prosiaczka i Simona oraz dwóch zajmujących się pieczeniem mięsa, byli na murawie. Śmiali się, śpiewali, leżeli lub siedzieli trzymając w rękach mięso. Sądząc jednak po zatłuszczonych twarzach jedzenie mięsa było już na ukończeniu. Niektórzy popijali wodę z łupin kokosowych. Przed rozpoczęciem uczy przywleczono na środek murawy ogromną kłodę i Jack siedział na niej wymalowany i ustrojony niby jakiś bożek. Przy nim, na świeżych liściach, leżał stos mięsa, owoców i łupiny kokosowe napełnione wodą.

Prosiaczek i Ralf doszli do skraju trawiastej przestrzeni i chłopcy zauważywszy ich zaczęli po kolei milknąć. Tylko jeden stojący koło Jacka coś mówił. Potem umilkł nawet on i Jack odwrócił się. Przez chwilę patrzył na Ralfa i Prosiaczka, a trzask palącego się drzewa był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki słychać było ponad rafą. Ralf odwrócił wzrok, a Sam, sądząc, że Ralf patrzy na niego oskarżająco, opuścił ogryzioną kość z nerwowym chichotem. Ralf zrobił krok naprzód, szepnął coś cicho do Prosiaczka i obaj zachichotali jak Sam. Podnosząc wysoko nogi na piasku Ralf szedł dalej. Prosiaczek usiłował gwizdać.

W tej samej chwili chłopcy, którzy kucharzyli przy ognisku, chwycili nagle wielki kawał pieczonego mięsa i puścili się z nim biegiem w stronę trawy. Zderzyli się z Prosiaczkiem, który się sparzył i zaczął wrzeszczeć i podskakiwać. Burza śmiechu rozładowała atmosferę i pojednała Ralfa z gromadą. Prosiaczek raz jeszcze stał się powszechnym pośmiewiskiem i wszyscy zrobili się weseli i normalni.

Jack wstał i zamachał włócznią.

— Dajcie im mięsa.

Chłopcy niosący szpikulec dali Ralfowi i Prosiaczkowi po kawale soczystego mięsa. Przyjęli dar przełykając ślinę i stali jedząc pod niebem z grzmiącej miedzi, które huczało nadciągającą burzą. Jack znów zamachał włócznią.

— Czy wszyscy zjedli, ile chcieli?

Mięso jeszcze było; skwierczało na szpikulcach z drewna, leżało na półmiskach z liści. Nie nasyciwszy się jeszcze Prosiaczek cisnął ogryzioną kość na piach i schylił się po drugą.

Jack powtórzył, zniecierpliwiony:

— Czy wszyscy zjedli, ile chcieli?

W tonie jego głosu brzmiało ostrzeżenie, wynikłe z dumy posiadania, i chłopcy zaczęli jeść szybciej, póki czas. Widząc, że nie zapowiada się, by prędko skończyli, Jack powstał z pnia, który służył mu za tron, i przeszedł na skraj murawy. Spojrzał na Ralfa i Prosiaczka wyniośle spoza maski z farby. Stali teraz trochę dalej od trawiastego gruntu i jedząc Ralf wpatrywał się w ognisko. Spostrzegł, że płomienie stały się widoczne na tle przyćmionego światła. Nadszedł wieczór, ale nie niósł z sobą spokojnego piękna, tylko groźbę niepohamowanych mocy.

— Dajcie mi pić! — rozkazał Jack.

Henry przyniósł łupinę kokosa, a on zaczął pić patrząc na Ralfa i Prosiaczka sponad nierównej skorupy. W brązowych wypukłościach jego ramion drzemała siła, a na ramieniu stroszyło się poczucie władzy skrzecząc do ucha jak małpa.

— Siadać wszyscy.

Chłopcy usiedli przed nim w rzędach, ale Ralf i Prosiaczek pozostali nieco dalej, stojąc na piasku. Jack zignorował ich na razie, skierował maskę ku siedzącym chłopcom i uniósł włócznię.

— Kto przyłącza się do mego szczepu?

Ralf zrobił nagły ruch i potknął się. Część chłopców zwróciła ku niemu głowy.

— Dałem wam jedzenie — rzekł Jack — a moi myśliwi będą was strzegli przed zwierzem. Kto przyłącza się do mego szczepu?

— Ja jestem wodzem — powiedział Ralf — boście mnie wybrali. Musimy pilnować ognia. A wy uganiacie się za jedzeniem...

— Sam się uganiasz! — krzyknął Jack. — Spójrz na kość, którą trzymasz w ręku!

Ralf poczerwieniał.

— Są między nami myśliwi. Zdobywanie pożywienia to ich obowiązek.

Jack znowu go zignorował.

— Kto przyłącza się do mego szczepu i bawi się z nami?

— Ja tu jestem wodzem — powtórzył Ralf z drzeniem w głosie. — Co będzie z ogniskiem? Poza tym ja mam konchę...

— Ale jej nie trzymasz w ręku — powiedział Jack drwiąco. — Zostawiłeś. Widzisz, mądralo? A poza tym koncha jest nieważna na tym końcu wyspy.

Nagle strzelił piorun. Tym razem był w nim wyraźny łoskot uderzenia, a nie tylko przetaczające się dudnienie.

— Koncha tutaj też jest ważna — rzekł Ralf — i na całej wyspie.

— Tere-fere.

Ralf przebiegł wzrokiem twarze chłopców. Nie znalazł w nich poparcia i odwrócił oczy, zmieszany i spocony. Prosiaczek szepnął:

— Ognisko, ocalenie.

— Kto się przyłącza do mojego szczepu?

— Ja.

— I ja.

— I ja.

— Wezmę konchę i zatrąbię — powiedział Ralf słabo — zwołam zebranie.

— Nie usłyszymy.

Prosiaczek trącił Ralfa w rękę.

— Chodź. Pachnie awanturą. Już się najedliśmy.

Za lasem błysnęło oślepiająco i znów huknął piorun, a jeden z malców zaczął pochlipywać. Spadły pierwsze wielkie krople, głośno uderzając w piach.

— Idzie burza — rzekł Ralf — będzie lało jak wtedy, kiedyśmy wylądowali. Kto teraz mądrzejszy? Gdzie wasze szałaszy? Gdzie się schronicie?

Myśliwi z niepokojem patrzyli na niebo, kuląc się pod uderzeniami deszczu. Fala niepokoju rozchwiała szeregi. Migotliwe błyski stały się jaśniejsze, a huk piorunów nie do zniesienia. Maluchy zaczęły wrzeszczeć i biegać w kółko.

Jack zeskoczył na piach.

— Tańczymy nasz taniec! Dalej! Tańczyć!

Przebiegł, potykając się w głębokim piasku, na niewielką skalną półkę za ogniskiem. Ciemność i grozę wiszącą w powietrzu rozjaśniały tylko błyskawice; za Jackiem podążali z krzykiem chłopcy. Roger udawał dzika, chrząkał i zaszarżował na Jacka, który uskoczył w bok. Myśliwi wzięli włócznie, kucharze rożny, a reszta chłopców niedopalone polana. Krąg zaczął się obracać, rozległ się przyśpiew. Roger naśladował przerażoną świnię, maluchy biegały i podskakiwały na zewnątrz kręgu. Prosiaczek i Ralf zapragnęli schronić się przed groźbą niebios w tej szalonej, ale dającej złudzenie bezpieczeństwa społeczności. Cieszyli się, że mogli dotykać brązowych pleców zapory, która osaczyła strach i pozwoliła go opanować.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Tryska krew!

Ruchy stały się regularne, a śpiew zatracił nerwowość i zatętnił równym rytmem, jak krew w żyłach. Roger przestał udawać dzika i wrócił do roli myśliwego, tak że środek kręgu ział teraz pustką. Kilku maluchów utworzyło własny krąg, potem drugi, i te uzupełniające kręgi obracały się i obracały, jakby samo powtarzanie tego ruchu mogło przynieść bezpieczeństwo. Wszystko drgało i pulsowało jak jeden organizm.

Ciemne niebo rozerwała bladolina szrama. Chwilę później spadł na nich huk, niby trzask gigantycznego bata. Śpiew wzniósł się o ton w udreće.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Tryska krew!

Paniczny strach zrodził nowe pragnienie, pragnienie dojmujące, palące, ślepe.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Tryska krew!

Znowu sinoblada szrama postrzępiła niebo i rozległ się gwałtowny wybuch. Maluchy krzyczały i rozproszyły się w ucieczce znad skraju lasu, a jeden z nich z przerażenia wdarł się w krąg starszaków.

— To on! On!

Krąg zmienił się w podkowę. Z lasu coś pełzło ku nim. Zbliżało się niepewnie, ukradkiem. Dziki wrzask, który się podniósł na widok zwierza, był jak ból. Zwierz wtoczył się w środek podkowy.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Tryska krew!

Bładosina szrama nie schodziła teraz z nieba, huk był nie do zniesienia. Simon krzyczał coś o nieżywym człowieku na szczycie góry.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Tryska krew! Ukatrupić!

Opadły kije i w paszczęce kręgu rozległ się chrzęst i ryk. Zwierz padł na kolana w samym środku, osłaniając twarz ramionami. Krzyczał coś w piekielnej wrzawie o trupie na wierzchołku góry. Skoczył naprzód, przedarł się przez pierścień i spadł ze stromej skały na piasek nad wodą. Tłum ruszył za nim ławą, ześliznęła się na dół, skoczył na zwierza, wrzeszczał, bił, szarpał, gryzł. Nie było żadnych słów, żadnych innych ruchów, tylko to szarpanie kłów i pazurów.

Potem niebo otworzyło się i lunęły wodospady deszczu. Woda odbijała się od szczytu góry, rwała liście i gałęzie z drzew, zimnym prysznicem oblała stos drgających ciał na plaży. Stos rozsypał się i pojedyncze postacie zaczęły się oddalać chwiejnym krokiem. Tylko zwierz leżał nieruchomo o parę kroków od krawędzi morza. Nawet w tym deszczu widzieli, jaki to był mały zwierz; krew jego już barwiła piach.

Gwałtowny podmuch rzucił strugi deszczu w bok zmiatając z drzew kaskady wody. Na wierzchołku góry spadochron wydał się i targnął; siedząca postać osunęła się, dźwignęła na nogi, okręciła wokół własnej osi i poszybowała w dół, poprzez bezmiar przesyconego wilgocią powietrza, drepcąc niezdarnie nogami po wierzchołkach drzew; zniżala się i zniżala, aż spadła na plażę, a chłopcy z krzykiem rzucili się do ucieczki. Potem spadochron poniósł postać dalej orząc nią wody laguny, wreszcie grzmotnął nią o rafę i cisnął w otwarte morze.

Koło północy deszcz ustał i chmury odpłynęły, a niebo znów się rozjątrzyło niewiarygodnymi kagankami gwiazd. Potem wiatr zamarł i słychać było tylko szmer wody, która wydobywała się ze szczelin w skałach i ściekała z liści na brunatną glebę wyspy. Powietrze było chłodne, wilgotne i przejrzyste i wkrótce nawet szmer wody ustał. Zwierz leżał nieruchomo na bielejącej plaży, a plamy wokół niego wciąż się powiększały.

Krawędź laguny zabłysła smugą fosforescencji, która postępowała ledwie dostrzegalnie, w miarę jak nadciągała fala przyływu. Czysta woda odzwierciedlała czyste niebo i kanciaste konstelacje gwiazd. Linia fosforescencji wzdymała się wokół ziarenek piasku i drobnych kamyczków, chwilę trzymała je w dołkach, a potem nagle z niedosłyszalnym westchnieniem przyjmowała do swojego wnętrza i sunęła dalej.

W przybrzeżnej płyciźnie postępująca jasność pełna była dziwnych księżycowojasnnych istot o ognistych oczach. Większe kamienie okryły się pęcherzykami, niby warstwą pereł. Wody przyływu sięgały pożłobionego deszczem piasku i wygładziły wszystkie nierówności powłoczką srebra. Liznęły pierwszą z plam, które wyciekły ze zmaltretowanego ciała, i lśniące stworzonka utworzyły przy niej świetliste pasemko. Woda uniosła się wyżej i ozdobiła blaskiem szorstkie włosy chłopca. Kontur policzka zaznaczył się linią srebra, a przegięcie barku stało się marmurową rzeźbą. Dziwne stworzonka o ognistych oczach i ciałach z księżycowej mgiełki zaczęły się krzątać wokół głowy. Ciało dźwignęło się o ułamek cala i z ust wydobyła się z chlupotem banieczka powietrza. Obróciło się łagodnie na bok.

Za pociemniałym załomem światła trwała nieustanna praca słońca i księżycy; i warstewka wody na planecie Ziemi wydeła się lekko w jednym miejscu, wstrzymana w obrocie, któremu podlegała okryta nią bryła. Oblamowane lśniącą obwódką wścibskich stworzonek, srebrzyste, jak niezachwiane konstelacje ponad nim, ciało Simona spłynęło ku otwartemu morzu.

Muszla i okulary

Prosiaczek pilnie śledził nadchodzącą postać. Stwierdził ostatnio, że wyraźniej widzi, jeśli zdejmie okulary i przyłoży soczewkę do drugiego oka; ale nawet kiedy patrzył lepszym okiem, Ralf pozostał Ralfem. Wyszedł pomiędzy palm kokosowych, kulejący,

brudny, z zeschniętymi liśćmi uczepionymi płowej czupryny. Jedno oko wyglądało jak szpareczka w olbrzymim policzku, na prawym kolanie widniał wielki strup. Zatrzymał się na chwilę i przyjrzał sylwetce na granitowej płycie.

— Prosiaczek? Tylko ty zostałeś?

— Nie. Jest kilku maluchów.

— Ci się nie liczą. Żadnych starszaków?

— Och... Samieryk. Poszli po drzewo.

— Nikt więcej?

— Nikt.

Ralf wspiął się ostrożnie na granitową płytę. Szorstka trawa jeszcze była wydeptana w miejscu, gdzie chłopcy się gromadzili; biała delikatna koncha wciąż połyskiwała koło wyslizganego pnia. Ralf usiadł w trawie naprzeciw konchy i miejsca wodza. Prosiaczek ukląkł z lewej strony Ralfa i długą chwilę milczeli.

W końcu Ralf chrząknął i coś wyszeptał.

Prosiaczek spytał równie cicho:

— Co mówisz?

Ralf zdołał wykrztusić:

— Simon.

Prosiaczek nic nie odrzekł, tylko pokiwał poważnie głową. Siedzieli tak patrząc zamglonym wzrokiem na miejsce wodza i migocącą lagunę. Zielone blaski i plamki słońca tańczyły na ich brudnych ciałach.

Wreszcie Ralf wstał i podszedł do konchy. Wziął muszlę pieczołowicie w obie dłonie i ukląkł oparty o pień.

— Prosiaczku.

— Co?

— Co robić?

Prosiaczek wskazał ruchem głowy konchę.

— Mógłbyś...

— Zwołać zebranie?

Wypowiadając te słowa Ralf roześmiał się nagle, a Prosiaczek zmarszczył brwi.

— Wciąż jesteś wodzem.

Ralf znowu się zaśmiał.

— Jesteś. Przewodzisz nam.

— Mam konchę.

— Ralf! Przestań się tak śmiać. Zupełnie nie ma czego, Ralf. Co sobie inni pomyślą?

Ralf przestał. Trząśł się cały.

— Prosiaczku.

— Co?

— To był Simon.

— Mówiłeś już.

— Prosiaczku.

— No?

— To było morderstwo.

— Przestań! — krzyknął Prosiaczek ostro. — Co dobrego przyjdzie z takiego gadania?

Poderwał się i stanął nad Ralfem.

— Było ciemno. Był ten... ten cholerny taniec. Były błyskawice, pioruny, deszcz. Baliśmy się!

— Ja się nie bałem — powiedział Ralf wolno — ja... nie wiem, co się ze mną działo.

— Baliśmy się! — krzyknął Prosiaczek zapalczywie. — Wszystko się mogło stać. To nie było... to, co mówisz...

Gestykulował szukając odpowiedniego słowa.

— Och, Prosiaczku!

Głos Ralfa, cichy i zdławiony, przerwał gestykulację Prosiaczka. Prosiaczek schylił się i nastawił ucha. Ralf, trzymając w dłoniach konchę, kiwał się w tył i w przód.

— Nie rozumiesz, Prosiaczku? To, co zrobiliśmy...

— Może on jeszcze...

— Nie.

— Może tylko udawał?

Głos uwiązał Prosiaczkowi w krtani, gdy ujrzał twarz Ralfa.

— Ty byłeś na zewnątrz. Na zewnątrz kręgu. Właściwie stałeś z boku. Nie widziałeś, co my... co oni zrobili?

W jego głosie brzmiał wstręt, a zarazem jakby gorączkowe podniecenie.

— Nie widziałeś, Prosiaczku?

— Niezupełnie. Mam teraz tylko jedno oko. Chyba wiesz o tym.

Ralf nie przestawał się kiwać.

— To był wypadek — powiedział nagle Prosiaczek — nic innego. Wypadek. — Głos jego znów nabral ostrości. — Przyłazł po ciemku... wcale nie musiał zakradać się po nocy. Miał bzika. Sam sobie winien. — Znów strzepnął gwałtownie rękami. — To był wypadek.

— Ty nie widziałeś, co oni...

— Słuchaj, Ralf. Musimy o tym zapomnieć. Rozpamiętywanie nic nam nie da, rozumiesz mnie?

— Boję się. Chcę do domu. Boże, jak ja chcę do domu.

— To był wypadek — powtórzył Prosiaczek z uporem — i nic więcej.

Dotknął nagiego ramienia Ralfa, a Ralf zadrżał od tego dotknięcia.

— Słuchaj, Ralf — Prosiaczek szybko rozejrzał się wokół, a potem nachylił się do jego ucha — nie mów, że braliśmy udział w tańcu. Przynajmniej Samierykowi.

— Ale przecież braliśmy! Wszyscy, jak jesteśmy!

Prosiaczek potrząsnął głową.

— Ale dopiero na końcu. Po ciemku nikt tego nie zauważył. Przecież sam mówiłeś, że ja byłem na zewnątrz...

— Ja też — bąknął Ralf. — Ja też byłem na zewnątrz.

Prosiaczek skwapliwie przytaknął.

— To prawda. Byliśmy na zewnątrz. Nic żeśmy nie robili i nic nie widzieli. Prosiaczek umilkł, a potem ciągnął dalej:

— Będziemy sobie żyli sami, nasza czwórka...

— Czwórka. To za mało, żeby utrzymać ogień,

— Spróbujemy. Widzisz? Już rozpalilem.

Z lasu wyszedł Samieryk wlokąc wielką kłodę. Cisnął ją koło ogniska i skierował się w stronę basenu. Ralf zerwał się na nogi.

— Hej, wy!

Bliźniacy zatrzymali się, ale zaraz ruszyli dalej.

— Oni idą się kąpać, Ralf.

Bliźniacy byli bardzo zaskoczeni widokiem Ralfa. Zaczerwienili się i unikali jego wzroku.

— Och! Co za spotkanie, Ralf.

— Właśnie byliśmy w lesie...

— ...żeby znaleźć drzewo na ognisko...

— ...zblądziliśmy wczoraj w nocy.

Ralf patrzył na swoje palce u nóg.

— Zblądziście po...

Prosiaczek przecierał soczewkę.

— Po uczcie — rzekł Sam zduszonym głosem. Eryk przytaknął skinieniem głowy.

— Zaraz po uczcie.

— My poszliśmy wcześniej — powiedział szybko Prosiaczek — bo byliśmy zmęczeni.

— My tak samo...

— ...bardzo wcześnie...

— ...byliśmy bardzo zmęczeni...

Sam dotknął zadraśniętego czoła i szybko cofnął rękę. Eryk trzymał palec przy rozciętej wardze.

— Tak. Byliśmy bardzo zmęczeni — powtórzył Sam — więc poszliśmy sobie. Czy udało się ten... no...

Powietrze stężało od nie wypowiedanej prawdy. Sam aż się skręcał wyrzucając z ust to ohydne słowo: — ... taniec?

Wspomnienie tańca, w którym żaden z nich nie brał udziału, sprawiło, że całą czwórka wstrząsnął spazmatyczny dreszcz.

— Nie wiemy, poszliśmy wcześniej.

Doszedłszy do przewężenia, które łączyło Skalny Zamek z wyspą, Roger nie zdziwił się, gdy zapytano, kto idzie. Liczył na to podczas tej okropnej nocy, że chociaż część chłopców schroni się przed okropnościami wyspy w tym najbezpieczniejszym miejscu.

Głos zabrzmiał ostro gdzieś z wysoka, gdzie spoczywały jeden na drugim coraz to mniejsze skalne bloki.

— Stój! Kto idzie?

— Roger.

— Wchodź, przyjacielu.

Roger wszedł.

— Widziałeś mnie przecież.

— Wódz kazał każdego zatrzymywać i pytać, kto idzie.

Roger spojrzał w górę.

— Nie mógłbyś mnie zatrzymać, gdybym chciał wejść bez pozwolenia.

— Nie mógłbym? Wejdź tu i zobacz.

Roger wdrapał się po schodkowatej skale.

— Spójrz tu.

Pod leżący na samej górze głaz wbito poziomo pal, a pod nim podłożono w poprzek drugi, tworząc w ten sposób dźwignię. Robert oparł się lekko o dźwignię i głaz przechylił się. Silniejsze naciśnięcie dźwigni zwałiłoby głaz z łoskotem na skalny pomost. Roger był zachwycony.

— Prawdziwy z niego wódz, no nie?

Robert przytaknął.

— Będzie zabierał nas na polowania.

Kiwnął głową w stronę odległych szaleńców, skąd wznosił się ku niebu pasek białego dymu. Siedząc na samym brzeżku skały, Roger patrzył posepnie na wyspę i dłubał palcami przy chwiejącym się zębie. Zatopił wzrok w odległym wierzchołku góry i Robert spiesznie zmienił niemiły temat.

— Ma zbić Wilfreda.

— Za co?

Robert potrząsnął głową.

— Nie wiem. Nie mówił. Zezłościł się i kazał go związać. Wilfred siedzi... — zaśmiał się nerwowo — siedzi tak związany już od nie wiem kiedy i czeka...

— Ale czy wódz nie mówił za co?

— Ja nie słyszałem.

Siedząc na tych potężnych skałach w upalnym słońcu, Roger przyjął tę wieść jak olśnienie. Przestał dłubać w zębie i znieruchomiał zgłębiając możliwości nieodpowiedzialnej władzy. Potem, bez słowa, zsunął się po drugiej stronie skały i ruszył ku jaskini i reszcie dzikusów.

Przed jaskinią siedział wódz, nagi do pasa, z twarzą pomalowaną na biało i czerwono, przed nim zaś, półkolem, szczep. Dopiero co zbity i uwolniony z więzów Wilfred pociągał hałaśliwie nosem gdzieś za nimi. Roger przykucnął obok innych chłopców.

— Jutro — ciągnął wódz — będzie znowu polowanie.

Wskazał myśliwych końcem włóczni.

— Kilku z was zostanie, żeby ulepszyć jaskinię i strzec bramy. Paru pójdzie ze mną i przyniesiemy mięso. Strażnicy bramy będą pilnowali, żeby się nikt nie zakradł.

Jakiś dzikus podniósł rękę i wódz zwrócił w jego stronę zimną, wymalowaną twarz.

— A czemu miałby się zakradać, wodzu?

Wódz wyrażał się niejasno, ale z przekonaniem.

— Bo będzie. Spróbuje zepsuć to, co tu robimy. Więc strażnicy bramy muszą uważać. Poza tym...

Wódz urwał. Z jego ust wysunął się zaskakujący różowy trójkącik, prześliznął się po wargach i znikł.

— ...poza tym może chce przyjść zwierz. Pamiętacie, jak się czołgał...

Siedzący w półkolu zadrżeli i mruknęli potakująco.

— Przyszedł... w przebraniu. Może jeszcze zechce przyjść, choć daliśmy mu świński łeb, żeby się nażarł. Więc pilnujcie dobrze.

Stanley oparł łokieć o skałę i pytająco podniósł w górę palec.

— Czego?

— Ale czyśmy go... czyśmy go nie...

Zaczerwienił się i spuścił oczy.

— Nie!

W milczeniu, które zapadło, każdy z dzikich starał się uwolnić od natrętnych wspomnień.

— Nie! Jak mogliśmy go... zabić?

Na wpół uspokojeni, na wpół wystraszeni możliwością dalszych okropności, dzicy znów zaszemrali.

— Więc omijajcie górę — rzekł wódz poważnie — i zostawiajcie mu łeb, jeśli co upolujecie.

Stanley znów uniósł palec.

— Ja myślę, że zwierz zmienił postać.

— Może — rzekł wódz. — W każdym razie lepiej mieć się na baczności. Nie wiadomo, co może zrobić.

Szczep rozważył te słowa, a potem zadrżał, jakby wstrząśnięty powiewem wiatru. Dostrzegłszy efekt swoich słów wódz nagle powstał.

— Ale jutro urządzimy polowanie, a jak zdobędziemy mięso, zrobimy sobie ucztę...

Bill podniósł rękę.

— Wodzu.

— Co?

— A czym rozpalimy ognisko?

Rumieniec wodza skryta biała i czerwona glinka. Jego milczenie pełne niepewności zakłócił znów szmer szczepu. Wódz uniósł dłoń.

— Weźmiemy ogień od tamtych. Słuchajcie. Jutro pójdziemy na polowanie i zdobędziemy mięso. Dzisiaj wieczorem idę na wyprawę z dwoma myśliwymi... Kto chce iść?

Maurice i Roger podnieśli ręce.

— Słucham cię, wodzu.

— Gdzie jest ich ognisko?

— Na dawnym miejscu, przy skale.

Wódz skinął głową.

— Reszta może iść spać, jak tylko słońce zajdzie. A my trzej, Maurice, Roger i ja, mamy coś do roboty. Wyjdziemy tuż przed zachodem...

Maurice podniósł dłoń.

— A co się stanie, jak spotkamy...

Wódz zbył tę obawę machnięciem ręki.

— Pójdziemy wzdłuż plaży. A jeśli go spotkamy, to... to jeszcze raz zatańczymy nasz taniec.

— We trzech?

Znów podniósł się szmer i zaraz ucichł.

Prosiaczek podał Ralfowi okulary i stał czekając, aż mu zostanie przywrócony wzrok. Drzewo było wilgotne, już trzeci raz je rozpalali. Ralf odstąpił od ogniska mówiąc do siebie:

— Dość już tych nocy bez ogniska.

Spojrzał w poczuciu winy na trzech chłopców stojących obok. Pierwszy raz otwarcie przyznał, że ognisko ma podwójną funkcję. Na pewno pierwszą z nich był sygnał dymny, ale druga polegała teraz na stworzeniu ciepła domowego i pokrzepieniu ich na duchu przed zaśnięciem. Eryk dmuchał w drzewo, póki się nie rozżarzyło. Błysnął wąty płomyk. Podniósł się kłęb żółtobiałego dymu. Prosiaczek zabrał swoje okulary i z zadowoleniem przyglądał się dymowi.

— Żeby tak móc zrobić radio!

— Albo samolot...

— ...albo okręt.

Ralf przywołał całą swą zanikającą wiedzę o otaczającym świecie.

— Moglibyśmy trafić do niewoli do czerwonych.

Eryk odgarnął włosy.

— Czerwoni byliby lepsi od...

Nie chciał powiedzieć kogo i Sam dokończył zdanie za niego, wskazując głową w głąb plaży.

Ralf przypomniał sobie nieruchomą postać wleczoną na spadochronie.

— On mówił coś o nieżywym człowieku... — Zaczerwienił się, zdradziwszy, że był obecny przy tańcu. Zaczął robić ponagląjące gesty w stronę dymu. — Nie ustawaj, unos się!

— Jest coraz mniejszy.

— Drzewo już się spaliło, chociaż wilgotne.

— Moja astma...

Odpowiedź była mechaniczna.

— Pies drapał twoją astmę.

— Jak dźwigam kłody, to mi się pogarsza. Nie chciałbym, żeby tak było, Ralf, ale nic nie poradzę.

Trzej chłopcy weszli w las i powrócili z naręczami spróchniałego drzewa. Znów podniósł się dym, żółty i gęsty.

— Poszukajmy czegoś do jedzenia.

Wzięli włócznie i poszli pod drzewa owocowe. Mówili mało i opychali się owocami w pośpiechu. Kiedy znów wyszli z lasu, słońce już zachodziło, a na ognisku żarzyły się tylko węgle. Dymu nie było.

— Ja już nie mogę nosić drzewa — rzekł Eryk. — Jestem zmęczony.

Ralf chrząknął.

— Na górze potrafiliśmy utrzymać ogień.

— Bo tam ognisko było małe. A to musi być duże.

Ralf cisnął kawał drzewa na ognisko i stał patrząc, jak dym rozplywa się w zmięzchu.

— Musimy je podtrzymać.

Eryk rzucił się na ziemię.

— Jestem za bardzo zmęczony. I co nam z tego przyjdzie?

— Eryk! — krzyknął Ralf zgorszony. — Nie wolno tak mówić!

Sam ukląkł przy Eryku.

— No, a jaka z tego korzyść?

Ralf, oburzony, wyteżał pamięć. Ognisko miało przynieść coś dobrego. Coś strasznie dobrego.

— Ralf mówił ci już nieraz — rzekł Prosiaczek markotnie. — Jak możemy się inaczej uratować?

— Właśnie! Jeżeli nie będziemy dawali sygnałów dymnych...

Kucnął przed nim w narastającym mroku.

— Nie rozumiecie? Co nam przyjdzie z marzeń o radiach i statkach?

Wyciągnął rękę przed siebie i zacisnął pięści.

— Jedno tylko możemy zrobić, żeby się stąd wydostać. Każdy może się bawić w polowanie, zdobywać mięso...

Patrzył od twarzy do twarzy. Nagle, w momencie największego przekonania, w jego głowie zapadła znów tamta zastawka i zapomniał, o czym mówił. Klęczał przed nimi z zaciśniętą pięścią, patrząc z powagą od jednego do drugiego. Potem zastawka odskoczyła.

— No tak. Więc musimy robić dym, więcej dymu...

— Ale nie dajemy rady! Spójrz!

Ognisko gasło na ich oczach.

— Dwóch do pilnowania ognia — rzekł Ralf na wpół do siebie — to dwanaście godzin dziennie.

— Nie możemy iść po drzewo, Ralf...

— ...po ciemku...

— ...w nocy...

— Możemy co ranka rozpalać ognisko na nowo — powiedział Prosiaczek. — Nikt i tak po ciemku nie zobaczy dymu.

Sam przytaknął gorliwie.

— Co innego, kiedy ognisko było...

— ...na górze.

Ralf wstał czując się dziwnie bezbronny wobec przytłaczającej ciemności.

— No, to niech sobie zgaśnie na dzisiejszą noc.

Ruszył pierwszy do szałas, który stał nadal, choć pochylony. Wewnątrz leżały liście służące za posłanie, suche i szeleszczące przy dotknięciu. W sąsiednim szałasie jakiś maluch gadał przez sen. Czterej starszacy wśliznęli się do swojego i zagrzebali w liściach. Bliźniacy leżeli razem w jednym końcu, Ralf i Prosiaczek w drugim. Przez chwilę słychać było nieustanny szelest i trzask, gdy się układali szukając najwygodniejszej pozycji do snu.

— Prosiaczek.

— Co?

— Wygodnie ci?

— Ujdzie.

Wkrótce w szałasie zapanowała cisza. Przed nimi wisiał prostokąt czerni oznaczony świetlistymi punkcikami, a do ich uszu dochodził głuchy odgłos fal rozbijających się o rafę. Ralf zajął się swoją conocną zabawą w "co by było, gdyby"...

Gdyby lecieli stąd do domu odrzutowcem, mogliby być na tym wielkim lotnisku w Wiltshire już rano. Stamtąd pojechaliby samochodem — nie, najlepiej pociągiem — aż do Devon i zamieszkali znów w tym domku. Wtedy na końcu ogrodu przychodziłyby pod mur dzikie kuce...

Ralf obrócił się na liściach niespokojnie. Ale dzikość przestała być atrakcyjna.

Przeskoczył myślą do rozważań nad swojskością miasta, gdzie dzicz nie ma wstępu. Cóż może być bezpieczniejszego od stacji autobusów wśród tyłu lamp i kół?

Ralf zaczął tańczyć wokół latarni. Ze stacji wypelzał autobus, jakiś dziwny autobus...

— Ralf! Ralf!

— Co?

— Nie krzycz tak...

— Przepraszam.

W drugim końcu szalasu zaczęły się dobywać z ciemności straszne jęki i obaj chłopcy zadygotali ze strachu, aż zaszeleściły liście. Sam i Eryk leżąc w objęciach bili się przez sen.

— Sam! Sam!

— Hej! Eryk!

Niebawem znów się wszystko uciszyło.

Prosiaczek szepnął do Ralfa:

— Musimy raz z tym skończyć.

— Co masz na myśli?

— Żeby już nareszcie nas uratowali.

Po raz pierwszy tego dnia, pomimo przytłaczających ciemności, Ralf zachichotał.

— Poważnie — szepnął Prosiaczek. — Jeżeli wkrótce nie znajdziemy się w domu, dostaniemy fioła.

— Hysia.

— Kota.

— Bzika.

Ralf odsunął wilgotne kosmyki z oczu.

— Napisz list do swojej cioci.

Prosiaczek rozważył tę propozycję z powagą.

— Nie wiem, gdzie ona teraz jest. I nie mam koperty ani znaczka. A poza tym nie ma tu skrzynki na listy. Ani listonosza.

Ralf był zachwycony, że mu się udał żart. Nie mógł opanować chichotu i aż trząsał się i podrygiwał ze śmiechu.

Prosiaczek strofował go z godnością.

— Nie powiedziałem nic śmiesznego...

Ralf chichotał dalej, choć go od tego aż bolało w piersi. Konwulsje śmiechu wyczerpały go i leżał zbolący, bez tchu, czekając na następny spazm. W czasie jednej z takich przerw zapadł w sen.

— ...Ralf! Znowu krzyczysz. Uspokój się, Ralf, bo...

Ralf podniósł się na liściach. Miał powody, aby być wdzięcznym za to obudzenie, bo tym razem autobus był bliższy i wyraźniejszy.

— Bo co?

— Cicho bądź i słuchaj.

Ruchowi Ralfa towarzyszyło głębokie westchnienie liści, kiedy się kładł ostrożnie. Eryk wyjęczał coś i umilkł. Prócz bezużytecznego prostokąta gwiazd, ciemności były nieprzeniknione.

— Nic nie słyszę.

— Za ścianą coś się rusza.

Ralfowi mrówki przeszły po ciele. Łomot krwi w skroniach zagłuszył wszystko inne, potem ustąpił.

— Ciągle nic nie słyszę.

— Słuchaj! Słuchaj uważnie!

Całkiem wyraźnie koło tylnej ściany szalasu trzasnął patyk. Krew znowu zahuczała w uszach Ralfa, przez głowę zaczęły przemykać niejasne obrazy. Teraz wszystkie razem stłoczyły się grasując wokół szalasów. Czuł na ramieniu głowę Prosiaczka i konwulsyjny uchwyt dłoni.

— Ralf! Ralf!

— Zamknij się i słuchaj.

Ralf modlił się z rozpaczą, żeby zwierz wybrał maluchów. Na zewnątrz jakiś głos zaszepotał straszliwie:

— Prosiaczku!... Prosiaczku!...

— Przyszedł! — wyzipał Prosiaczek. — Jest naprawdę! Przycisnął się do Ralfa i z trudem łapał oddech.

— Wyjdź, Prosiaczku. Przyszedłem po ciebie.

Ralf przysunął usta do ucha Prosiaczka.

— Nie odzywaj się.

— Prosiaczku... gdzie jesteś, Prosiaczku?

Coś otarło się o ścianę szałas. Prosiaczek siedział chwilę cicho, a potem dostał ataku. Wygiął się w kabłąk i tłukł nogami w liście. Ralf odsunął się od niego.

W wejściu zabrzmiało zjadliwe warczenie i do szałas wtargnęły z łoskotem jakieś istoty. Ktoś potknął się o Ralfa, z kąta Prosiaczka rozległy się ryki, trzaski i łomoty. Ralf palnął pięścią na oślep, a potem on i chyba z kilkunastu innych tarzało się po ziemi tłukąc, gryząc, drapiąc. Ktoś go szarpnął, ktoś ciągnął, wreszcie Ralf poczuł w ustach czyjeś palce i ugryźł. Ręka cofnęła się i zaraz wróciła jak taran, aż mu w oczach zaświeciły wszystkie gwiazdy. Ralf przekręcił się na bok, poczuł pod sobą jakieś wijące się ciało i oddech na policzku. Zaczął młócić pięścią w te usta pod sobą jak młotem. Tłukł z coraz większą histeryczną pasją, aż twarz zrobiła się śliska. Dostał kolanem między nogi i stoczył się na bok zajęty własnym bólem, a na nim kotłowali się inni walczący. Potem szałas zawalił się ostatecznie. Z rumowiska wygrzebały się ciemne postacie i rozplynęły w mroku. Dopiero wtedy dało się znów słyszeć sapanie Prosiaczka i wrzaski maluchów.

Ralf krzyknął drżącym głosem:— Maluchy, spać! Biliśmy się z tamtymi chłopakami. Teraz idźcie spać.

Podszedł Samieryk i przyjrzał mu się badawczo.

— Nic wam się nie stało?

— Chyba nie...

— ...ja dostałem w kość.

— Ja też. A jak Prosiaczek?

Wyciągnęli go z rumowiska i posadzili pod drzewem. Noc była chłodna i nie kryła w sobie żadnej grozy. Oddech chłopca stał się troszkę swobodniejszy.

— Dostało ci się, Prosiaczku?

— Nie bardzo.

— To był Jack i jego myśliwi — powiedział Ralf z goryczą. — Czemu nie mogą zostawić nas w spokoju?

— Daliśmy im nauczkę — chwalił się Sam.

Uczciwość kazała mu dodać: — Przynajmniej wy. Ja się zaszyłem w kąt.

— Ja jak jednemu przygrzałem, to mnie popamięta — rzekł Ralf — sprąłem go na kwaśne jabłko. Nieprędko przyjdzie drugi raz się bić.

— Ja też — powiedział Eryk. — Jak się zbudziłem, ktoś mnie zaczął grzmocić w twarz. Mam zdaje się całą pokrwawioną. Ale go w końcu wykończyłem.

— Coś mu zrobił?

— Podniosłem nogę — rzekł Eryk z dumą — i wyrznąłem kolanem w piguły. Szkoda, że nie słyszeliście, jak wrzeszczał. Ten też nieprędko tu wróci. Daliśmy im dobry wycisk.

Ralf poruszył się nagle, ale usłyszał, że Eryk coś manipuluje w ustach.

— Co ci się stało?

— Nic, tylko ząb mi się rusza.

Prosiaczek podciągnął kolana pod brodę.

— Jak się czujesz, Prosiaczku?

— Myślałem, że przyszli po konchę.

Ralf przebiegł przez bielejącą w mroku plażę i wskoczył na granitową płytę. Koncha nadal połyskiwała koło miejsca wodza. Popatrzył na nią chwilę i wrócił do Prosiaczka.

— Nie wzięli konchy.

— Wiem. Wcale nie przyszli po nią. Przyszli po coś innego. Ralf... co ja teraz zrobię?

Tymczasem trzy postacie podążały łukiem plaży do Skalnego Zamku. Trzymały się z dala od lasu biegnąc nad samą wodą. Chwilami podśpiewywały cicho; czasem wywijają młynka nad postępującą smugą fosforescencji. Prowadził je wódz, biegnący równym krokiem, upojony swym zwycięstwem. Był teraz prawdziwym wodzem. Zrobił włócznią parę pchnięć w powietrzu. W lewej dłoni huśtały się Prosiaczkowe okulary z rozbitym jednym szkłem.

Skalny Zamek

W krótkim chłodzie zarania przy czarnej plamie znaczącej miejsce ogniska zebrało się czterech chłopców. Ralf klęczał i dmuchał w węgle. Szare kłapcie fruwały na wszystkie strony pod jego tchnieniem, ale nie zabłysła pośród nich nawet najmniejsza iskierka. Bliźniacy przypatrywali się temu z niepokojem, a Prosiaczek siedział z twarzą

bez wyrazu, odgradzony świetlnym murem swej krótkowzroczności. Ralf dmuchał, aż mu z wysiłku dzwoniło w uszach, ale niebawem zastąpił go pierwszy ranny powiew i sypnął mu w oczy popiołem. Ralf kucnął, zaklął i zaczął trzeć załzawione oczy.

— Na nic.

Eryk spoglądał na niego spoza maski skrzepłej krwi. Prosiaczek wytrzeszczał oczy w stronę, skąd dobiegł go głos Ralfa.

— Jasne, że na nic, Ralf. Nie mamy już ogniska.

Ralf przysunął do Prosiaczka twarz.

— Widzisz mnie?

— Troszeczkę.

Ralf zamknął podpuchłe oko.

— Zabrali nam ogień.

W głosie jego zabrzmiała wściekłość.

— Ukradli!

— To oni — rzekł Prosiaczek. — Oślepiłi mnie. To Jack Merridew. Zwołaj zebranie, Ralf, musimy postanowić, co robić.

— Zebranie dla nas samych?

— Nic nam nie pozostało innego. Sam, chodź, będę się ciebie trzymał.

Poszli ku granitowej płycie.

— Zatrąb, Ralf — rzekł Prosiaczek. — Zatrąb, jak najgłośniej potrafisz.

Las zawtórował echem, ptactwo wzbiło się z krzykiem w powietrze, tak jak owego pierwszego poranka przed wiekami. Po obu stronach płyty plaża była puściuteńka. Z szalasów wyszło kilku maluchów. Ralf usiadł na wypolerowanym pniu. Trzej chłopcy stali przed nim. Skinął głową i Samieryk usiadł obok niego. Ralf wsunął konchę w Prosiaczkowe ręce. Ten wziął ostrożnie połyskliwy przedmiot i patrzył na Ralfa.

— No gadaj!

— Wziąłem tę konchę, żeby to powiedzieć. Jestem teraz ślepy i muszę odzyskać swoje okulary. Stały się okropne rzeczy na tej wyspie. Głosowałem na ciebie na wodza. Jesteś jedyny, który tu cokolwiek zrobił. Więc teraz zabierz głos, Ralf, i powiedz nam, co... Bo inaczej...

Urwał pociągając nosem. Ralf zabrał mu konchę.

— Trzeba nam tylko ogniska. Prawda, jakie to proste? Zwykłego dymu, żeby móc ocaleć. Nie jesteśmy przecież dzikusami. A tego dymu nie ma. Każdej chwili może przepływać okręt. Pamiętacie, jak on poszedł sobie polować i ognisko zgasło, i właśnie przepływał okręt? A oni wszyscy myślą, że on najbardziej nadaje się na wodza. Potem stało się to... to... i to także jego wina. Gdyby nie on, nigdy by nie miało miejsca. Teraz Prosiaczek nic nie widzi. Przyszli, zakradli się... — głos Ralfa stał się piskliwy — zakradli się po nocy i zabrali nam ogień. Ukradli. Gdyby poprosili, dalibyśmy im sami. Ale ukradli i teraz nasze ognisko się nie pali, i już nigdy się nie uratujemy. Rozumiecie? Dalibyśmy im ogień sami, ale oni woleli ukraść i...

Urwał, bo ta zastawka w mózgu znowu zaskoczyła. Prosiaczek wyciągnął ręce po konchę.

— Co zamierzasz zrobić, Ralf? Bo to, co mówisz, to tylko gadanie, a nie postanowienie. Chcę odzyskać swoje okulary.

— Właśnie myślę. Gdyby tak pójść do nich, ale przyzwoicie, najpierw się umyć i uczesać... ostatecznie nie jesteśmy dzikusami, a sprawa ocalenia to wcale nie zabawa.

Otworzył zapuchłe oko i spojrzał na bliźniaków.

— Doprowadzimy się do porządku i pójdziemy...

— Powinniśmy wziąć włócznie — rzekł Sam. — Prosiaczek też.

— ... bo mogą nam się przydać.

— Ja trzymam konchę!

Prosiaczek podniósł w górę muszlę.

— Możecie sobie wziąć włócznie, jeżeli chcecie, ale ja nie wezmę. Bo i po co? I tak będziecie musieli mnie prowadzić jak psa. Tak, śmiejecie się. Śmiejecie się dalej. Są tu tacy na tej wyspie, co się śmieją ze wszystkiego. I co z tego wyszło? Co sobie o tym pomyślą starsi? Simon zamordowany. A gdzie ten maluch z myszką na twarzy? Kto go później widział?

— Prosiaczku! Zaczekaj!

— Trzymam konchę. Pójdę do tego Jacka Merridewa i powiem, co o nim myślę.

— Lepiej uważaj.

— A co gorszego może mi zrobić po tym, co dotychczas zrobił? Już ja mu nagadam. Pozwól mi, Ralf, zabrać konchę. Pokażę mu, że nie wszystko ma.

Przerwał na chwilę i spojrzął na mgliste postacie przed sobą. Słuchał go wydeptany w trawie kształt dawnego zgromadzenia.

— Pójdę do niego z konchą w rękach. Wyciągnę ją przed siebie. Spójrz, powiem, jesteś silniejszy ode mnie i nie masz astmy. Masz, powiem, dwoje zdrowych oczu. Ale nie proszę cię, żebyś mi oddał okulary, nie proszę o żadną łaskę. Nie proszę cię, żebyś się zlitował, bo jesteś silniejszy, ale bo tak należy. Powiem, musisz mi oddać moje okulary.

Prosiaczek umilkł, zaczerwieniony i drżący. Szybko oddał Ralfowi konchę, jakby chcąc jej się najspieszniej pozbyć, i otarł z oczu łzy. Otaczały ich zielone blaski, a koncha leżała u stóp Ralfa, biała i delikatna. Na jej łagodnej krzywiznie błyszczała niby gwiazda łąza, której Prosiaczek nie zdołał powstrzymać.

W końcu Ralf wyprostował się i odgarnął włosy.

— Dobra. To znaczy... możesz spróbować, jeśli chcesz. Pójdziemy z tobą.

— Będzie wymalowany — rzekł Sam bojaźliwie. — Wiecie, jaki jest, gdy się...

— ... nie będzie się nami przejmował...

— ...a jak się wścieknie, to po nas...

Ralf spojrzął spode łba na Sama. Przypomniał sobie mgliście, co mu powiedział kiedyś Simon.

— Nie bądź głupi — rzekł. I zaraz dodał szybko: — Idziemy.

Wyciągnął konchę do Prosiaczka, który poczerwieniał, tym razem z dumy.

— Musisz ją nieść.

— Wezmę ją, jak już będziemy gotowi...

Prosiaczek szukał słów, które by wyraziły jego gorącą chęć niesienia konchy na przekór wszystkiemu.

— Z przyjemnością ją poniosę, Ralf, tylko musicie mnie prowadzić.

Ralf położył konchę na wyslizganym pniu.

— Zjedzmy coś i szykujmy się do drogi.

Poszli ku spustoszonej drzewom owocowym. Prosiaczkowi trzeba było podawać owoce, bo inaczej musiał ich szukać po omacku. W czasie jedzenia Ralf myślał o popołudniu.

— Będziemy tacy, jak kiedyś. Umyjemy się...

Sam przełknął owoce i zaprotestował.

— Przecież co dzień się kąpiemy!

Ralf spojrział na stojących przed nim brudasów i westchnął.

— Powinniśmy się uczesać. Tylko że mamy za długie włosy.

— Ja mam w szalasię obie skarpetki — powiedział Eryk — możemy wciągnąć je na głowy jak czapeczki.

— Możemy poszukać czegoś — rzekł Prosiaczek — żeby związać włosy z tyłu głowy.

— Jak dziewczyny!

— Nie. Co to, to nie.

— No, to musimy iść tak, jak jesteśmy — powiedział Ralf — oni nie będą od nas lepsi.

Eryk wykonał gest, jakby chciał ich powstrzymać.

— Ale będą wymalowani! Wiedzą, jak to jest...

Kiwnęli głowami. Rozumieli aż za dobrze, jak te maskujące barwy wyzwalały dzikość.

— My się nie wymalujemy — powiedział Ralf — bo nie jesteśmy dzicy.

Bliźniacy spojrzeli na siebie.

— Ale może...

Ralf krzyknął:

— Żadnego malowania!

Wyteżył pamięć.

— Dym — powiedział — potrzebny nam dym.

Natarł gwałtownie na bliźniaków.

— Mówię: "dym"! Musimy mieć dym.

Zrobiło się cicho i słychać było tylko brzęczenie pszczół. Potem Prosiaczek powiedział uprzejmym tonem:

— Jasne, że musimy. Bo dym to sygnał i nie możemy się uratować, jeśli nie ma dymu.

— Wiem o tym! — krzyknął Ralf. Odskoczył od Prosiaczka. — Czy chcesz powiedzieć, że...

— Ja tylko powtarzam, co nam zawsze mówisz — powiedział szybko Prosiaczek. — Zdawało mi się przez chwilę, że ty...

— Wcale nie — rzekł głośno Ralf. — Pamiętam cały czas. Wcale nie zapomniałem.

Prosiaczek skinął głową pojednawczo.

— Jesteś wodzem, Ralf. Pamiętaj o wszystkim.

— Wcale nie zapomniałem.

— Jasne, że nie.

Bliźniacy przyglądali się Ralfowi z ciekawością, jakby go pierwszy raz ujrzeli.

Ruszyli plażą w szyku. Ralf szedł przodem, kulejąc lekko, z włócznią na ramieniu. Widoczność utrudniała mu drgająca mgiełka skwaru nad oślepiającym piachem oraz własne długie włosy i okaleczenia. Za nim szli bliźniacy, nieco zatroskani, lecz pełni niespożytej żywotności. Mówili mało, tylko wlekli za sobą drewniane włócznie, bo Prosiaczek stwierdził, że osłaniając swój zmęczony wzrok przed słońcem, widzi wlokące się po piachu włócznie. Szedł więc między ich końcami, niosąc ostrożnie oburącz konchę. Chłopcy tworzyli zwartą grupkę posuwającą się plażą z czterema talerzowatymi cieniami, które podrygiwały i plątały się u ich stóp. Po burzy nie zostało ani śladu i plaża była czysta niby brzytwa oplukana pod strumieniem wody. Niebo i góra wydawały się jakieś ogromnie dalekie, iskrząc się w skwarze, a rafa, dźwignięta mirażem w górę, unosiła się jakby na powierzchni srebrnych wód w połowie nieba.

Minęli miejsce pamiętnego tańca. Zwęglone patyki wciąż leżały na kamieniach, gdzie zgasił je deszcz, ale piach nad wodą był znów gładki. Minęli to miejsce w milczeniu. Żaden z nich nie wątpił, że znajdą szczep w Skalnym Zamku, toteż kiedy Zamek pojawił się w polu ich widzenia, zatrzymali się równocześnie. Po lewej ręce mieli najgęstsze na wyspie zarośla, zwały splecionej roślinności, czarne, zielone, nieprzeniknione, przed nimi kołysała się wysoka trawa. Ralf poszedł naprzód.

Tu jest ta wygnieciona trawa, gdzie wszyscy się ukryli, kiedy on sam poszedł na zwiad. Tam przewężenie łądu, skalna półka obrzeżająca urwisko, wyżej różowe wieżyce.

Sam trącił go w ramię.

— Dym.

Po drugiej stronie skały malutka smużka dymu wznosiła się chwiejnie w powietrze.

— Też mi dym!

Ralf odwrócił się.

— Po co my się kryjemy?

Wyszedł przez zasłonę traw na otwartą przestrzeń wiodącą do przewężenia.

— Wy dwaj pójdziecie z tyłu. Ja pójdę pierwszy. Prosiaczek krok za mną. Trzymajcie włócznie w pogotowiu.

Prosiaczek niespokojnie wpatrywał się w świetlistą mgłę, która odgradzała go od świata.

— Czy tu bezpiecznie? Nie ma urwiska? Słyszę szum morza.

— Trzymaj się blisko mnie.

Ralf ruszył w stronę przewężenia. Idąc kopnął nogą kamień, strącając go w wodę. Fala opadła z sykiem odsłaniając o czterdzieści stóp poniżej czerwoną kwadratową skałę pokrytą wodorostami.

— Czy tu jest bezpiecznie? — dopytywał się Prosiaczek drżącym głosem. — Czuję się paskudnie...

Wysoko ponad nimi zabrzmiał głos naśladujący okrzyk wojenny, któremu odpowiedziało kilkanaście innych spoza skały.

— Daj mi konchę i nie ruszaj się.

— Stój! Kto idzie?

Ralf zadarł głowę i spostrzegł ciemną twarz Rogera na szczycie skały.

— Przecież widzisz! — krzyknął. — Nie wygłupiaj się!

Przyłożył konchę do ust i zadał. Na skalną półkę wyszli dzicy wymalowani nie do poznania i zmierzający w stronę przewężenia. Mieli włócznie i przygotowywali się do obrony wejścia. Ralf zignorował lęk Prosiaczka i trąbił dalej.

Roger krzyknął:

— Radzę wam lepiej uważać!

W końcu Ralf odjął konchę od ust dla nabrania tchu.

— ... zwołuję zebranie — wyzipał z trudem pierwsze słowa.

Dzicy strzegący przewężenia pomruczeli między sobą, ale nie ruszyli się; Ralf zrobił parę kroków do przodu. Usłyszał za plecami błagalny szept:

— Nie odchodź, Ralf.

— Uklęknij — rzucił Ralf przez ramię — i czekaj na mnie.

Stanął w połowie przewężenia i przyjrzał się uważnie dzikim. Wymalowani, nie wstydzili się związać sobie włosów z tyłu głowy i było im tak wygodniej niż jemu. Ralf postanowił też związać sobie później włosy. Mało brakowało, a kazałby im poczekać i zrobiłby to zaraz, ale to było niemożliwe. Dzicy zachichotali, a jeden z nich zamierzył się

włóczyli na Ralfa. Wysoko w górze Roger puścił lewar i spojrzał w dół, żeby zobaczyć, co się dzieje. Chłopcy na przewężeniu stali w plamie własnego cienia, zmniejszeni do wymiarów kudłatych głów. Prosiaczek siedział w kucki z plecami bezkształtnymi jak wór.

— Zwołuję zebranie.

Cisza.

Roger wziął kamyk i cisnął go między bliźniaków, celując tak, żeby nie trafić. Drgnęli, a Sam o mało nie upadł. W Rogerze rozbudziło się poczucie siły.

Ralf powtórzył głośno jeszcze raz:

— Zwołuję zebranie.

Przebiegł wzrokiem po ich twarzach.

— Gdzie jest Jack?

Grupka chłopców poruszyła się, zaczęła się naradzać. Jedna z pomalowanych postaci odpowiedziała głosem Roberta:

— Poluje. I powiedział, że mamy cię nie wpuszczać.

— Przyszedłem do was w sprawie ogniska — rzekł Ralf — i Prosiaczkowych okularów.

Stojąca przed nim grupa poruszyła się i wybuchnęła śmiechem, beztroskim, nerwowym śmiechem, który odbił się echem wśród spiętrzonych skał.

Za plecami Ralfa zabrzmiał jakiś głos:

— Czego tu chcesz?

Bliźniacy dali susa w stronę Ralfa i stanęli między nim a wejściem. Ralf odwrócił się szybko. Od strony lasu zbliżał się Jack, którego poznali po wzroście i rudej czuprynie. Po jego bokach przeżyli się dwaj myśliwi. Wszyscy trzej byli wymalowani na czarno i zielono. Za nimi w trawie leżała wypatroszona świnia z odciętym łbem.

Prosiaczek jęknął:

— Ralf! Nie zostawiaj mnie!

Z przesadną ostrożnością przycisnął się do skały obejmując ją rękami. Chichot dzikich przeszedł w głośny, pogardliwy śmiech.

Jack przekrzyczał tę wrzawę:

— Wynoś się stąd, Ralf! Idź na swoją stronę wyspy. To jest moja strona i mój szczep. Zostaw mnie w spokoju.

Drwiny ustały.

— Zwędziłeś Prosiaczkowi okulary — wypowiedział Ralf bez tchu. — Musisz je oddać.

— Muszę? Kto mi każe?

Ralf wybuchnął gniewem.

— Ja! Wybraliście mnie na wodza. Nie słyszałeś konchy? Zrobiłeś nam świństwo... gdybyś nas poprosił, sami dalibyśmy wam ogień...

Krew napłynęła mu do twarzy i pulsowała w napuchniętym oku.

— Mogłeś dostać ogień, kiedy tylko chciałeś. Ale ty podkradłeś się jak złodziej i ukradłeś Prosiaczkowi okulary.

— Powtórz to, co powiedziałeś!

— Złodziej! Złodziej!

Prosiaczek wrzasnął:

— Ralf! Uważaj na mnie!

Jack skoczył i dźgnął Ralfa włócznią w pierś. Ralf jednak przewidział ten cios i sparował go. Potem odwinął się i wyrznął Jacka końcem włóczni w ucho. Zwarli się, ciężko dysząc, napierając na siebie i rzucając złowrogie spojrzenia.

— Kto jest złodziej?

— Ty!

Jack odskoczył i zamachnął się na Ralfa włócznią. Rąbali teraz włóczniami jak szablami, nie śmiejąc użyć śmiertelnych ostrzy. Cios trafił na włócznię Ralfa i ześliznął się po niej zadając mu w palce paralizujący ból. Potem znów się rozdzielili stając w zmienionej pozycji, Jack po stronie Skalnego Zamku, Ralf na zewnętrznej, od wyspy.

Obaj dyszeli ciężko.

— No to chodź...

— To chodź...

Srożyli się wojowniczo naprzeciwko siebie, ale na odległość uniemożliwiającą walkę.

— Chodź, to zobaczysz, jak dostaniesz!

— Ty chodź...

Tymczasem Prosiaczek, trzymając się kurczowo skały, starał się zwrócić na siebie uwagę Ralfa. Ralf przysunął się do niego i pochylił, ale nie spuszczał czujnego oka z Jacka.

— Ralf... nie zapominaj, po cośmy tu przyszli. Ognisko. Moje okulary.

Ralf skinął głową. Mięśnie mu się rozluźniły i stanął swobodnie, wbijając koniec włóczni w ziemię. Jack przypatrywał mu się niezgłębiony pod maską farby. Ralf rzucił okiem ku skalnym wieżom, potem na grupę dzikich.

— Słuchajcie. Przyszliśmy, żeby wam coś powiedzieć. Po pierwsze, musicie oddać Prosiaczkowi okulary. On bez nich nic nie widzi. To nie zabawa...

Szczep dzikich zachichotał i Ralf zapomniał, o czym chciał mówić. Odsunął włosy z oczu i patrzył na zielono-czarną maskę, starając się sobie przypomnieć, jak Jack naprawdę wygląda.

Prosiaczek szepnął:

— Ognisko.

— No tak. A druga sprawa to ognisko. Muszę to powtórzyć jeszcze raz. Powtarzam wam to raz po raz, odkąd spadliśmy na tę wyspę.

Podniósł włócznię i wskazał nią dzikich.

— Nasza jedyna szansa ocalenia to cały dzień podtrzymywać ogień. Może jakiś okręt spostrzeże dym, podpłynie i zabierze nas do domu. A bez tego dymu musimy czekać, aż okręt przyplynie przez przypadek. Możemy tak czekać całe lata, aż zrobimy się starzy...

Wśród dzikich trysnął śmiech — drżący, srebrzysty, nierzeczywisty śmiech, i odbił się w skałach echem. Gniew wstrząsnął Ralfem. Głos mu się załamał.

— Czy nie rozumiecie, malowane błazny? Sam, Eryk, Prosiaczek i ja to za mało. Próbowaliśmy utrzymać ogień, ale nie potrafiliśmy. A wy tylko bawicie się i polujecie...

Wskazał włócznią nad ich głowy, gdzie w perłowym powietrzu rozpląwała się smużka dymu.

— Spójrzcie na to! To ma być ognisko sygnałne? To jest ognisko do gotowania jedzenia. Zaraz napchacie sobie brzuchy i skończy się dym. Czy wy nie rozumiecie? Tam każdej chwili może pokazać się okręt...

Urwał, pokonany milczeniem i ufarbowaną anonimowością grupy strzegącej wejścia.

Wódz otworzył różowe usta i odezwał się do Samieryka, który stał pomiędzy nim a jego szczepem:

— Hej, wy! Cofnijcie się.

Nikt mu nie odpowiedział. Bliźniacy, zaskoczeni, patrzyli na siebie, a uspokoiony zaprzestaniem bójki Prosiaczek ostrożnie wstał. Jack spojrział na Ralfa, a potem znów na bliźniaków.

— Chwytać ich!

Nikt się nie poruszył. Jack krzyknął gniewnie:

— Powiedziałem: chwytać ich!

Nerwowo i niezręcznie dzicy otoczyli Samieryka. Znów rozległ się srebrzysty śmiech. Samieryk zdobył się na protest cywilizowanych ludzi.

— No co!

— ... słowo daję!

Zabrano im włócznie.

— Związać ich!

Ralf krzyknął rozpaczliwie do zielono-czarnej maski:

— Jack!

— Dalej! Związać ich!

Wyczuwszy odrębność Samieryka, grupa dzikich zdała sobie sprawę z własnej mocy. Podnieceni, niezgrabnie powalili bliźniaków na ziemię. Jack działał jak natchniony. Wiedział, że Ralf spróbuje odsieczy. Zatoczył włócznią młynka poza siebie, aż zafurczała w powietrzu, i Ralf ledwie zdołał odparować cios. Za nimi szczep i bliźniacy utworzyli rozwrzeszczaną, podrygującą kupę. Prosiaczek znów się skulił. Potem dzicy odstąpili odsłaniając leżących na ziemi bliźniaków. Jack zwrócił się do Ralfa mówiąc przez zaciśnięte zęby:

— Widzisz? Robią, co im każe.

Znowu zrobiło się cicho. Bliźniacy leżeli skrępowani, a szczep patrzył na Ralfa ciekawy, co teraz robi. Ralf przebiegł po nich wzrokiem spoza grzywy włosów, potem spojrział na mizerny dym.

Porwał go gniew. Wrzasnął do Jacka:

— Jesteś bydlę, świnia i złodziej!

Natarł na niego.

Jack, wiedząc, że to kryzys, natarł również. Zderzyli się ze sobą i odskoczyli. Jack wyrzwał Ralfa pięścią w ucho, ale aż jęknął, gdy dostał cios w brzuch. Potem stali naprzeciwko siebie zdyszani i wściekli, lecz onieśmieleni wzajemną zajadłością. Zdali sobie nagle sprawę z towarzyszącej ich walce wrzawy — zagrzewających przenikliwych krzyków dzikich.

Do Ralfa dotarł głos Prosiaczka:

— Dajcie mi coś powiedzieć!

Stał w pyłe walki, a kiedy szczep zorientował się w jego zamiarze, przenikliwe wrzaski zmieniły się w nieustający gwizd.

Prosiaczek uniósł konchę i gwizd nieco ustał, ale za chwilę zabrzmiał z jeszcze większą siłą.

— Trzymam konchę!

Zaczął krzyczeć:

— Mówię wam, że trzymam konchę!

Nieoczekiwanie zrobiła się cisza; szczep chciał się dowiedzieć, co zabawnego ma do powiedzenia Prosiaczek.

Cisza i milczenie; ale w tym milczeniu Ralf usłyszał dziwny dźwięk przy swojej głowie. Nastawił ucha i znów go usłyszał; słabutki świst w powietrzu. Ktoś rzucał kamieniami. To Roger. Jedną ręką rzucał, a drugiej nie spuszczał z lewara. Pod nim, w dole, Ralf wyglądał jak zmierzwiona strzecha włosów, a Prosiaczek jak wór tłuszczu.

— Muszę wam to powiedzieć. Postępujecie jak dzieciaki.

Gwizd podniósł się na nowo i zaraz ucichł, gdy Prosiaczek uniósł białą, czarodziejską muszlę.

— Co lepsze, czy być bandą wymalowanych dzikusów, jak wy, czy rozsądnymi ludźmi, jak Ralf?

Dzicy podnieśli wrzask. Prosiaczek znowu zaczął krzyczeć.

— Co lepsze, prawo i zgoda, czy polowanie i zabijanie?

Znowu wrzawa i znowu świst w powietrzu. Ralf przekrzyczał hałas:

— Co lepsze, prawo i ocalenie, czy polowanie i niszczenie?

Teraz i Jack wrzeszczał i Ralf już nie mógł ich przekrzyczyć. Jack wycofał się ku dzikim i tworzyli teraz zwarty mur jeżący się włóczniami. Zaczęli myśleć o ataku; gotowali się, by zmieść wroga z przejścia. Ralf stał zwrócony do nich trochę bokiem, z

włócznią w pogotowiu. Przy nim Prosiaczek trzymał talizman, kruche, lśniące piękno, muszlę. Biła w nich burza wrzasków, śpiew nienawiści. Wysoko nad nimi Roger w delirycznym niepoohamowaniu nacisnął całym ciężarem na lewar.

Ralf usłyszał spadającą skałę dużo wcześniej, niż ją spostrzegł. Poczł pod stopami drgnienie i usłyszał gruchot kamieni na szczycie. Potem olbrzymi odłam grzmotnął w skalny pomost i Ralf rzucił się na płask na ziemię, a dzicy wrzasnęli.

Blok zawadził w locie Prosiaczka ocierając się o jego bok —koncha rozprysła się na drobne kawałeczki i przestała istnieć. Prosiaczek, bez słowa, nie zdążywszy nawet jęknąć, poleciał łukiem obracając się w powietrzu. Blok odbił się jeszcze dwa razy i znikł w gąszczu lasu. Chłopiec spadł plecami na czerwoną, kwadratową skałę czterdzieści stóp niżej w morzu. Z pękniętej czaszki coś wypłynęło i zabarwiło się na czerwono. Ręce i nogi Prosiaczka drgnęły parę razy jak u zarzynanej świni. Potem morze wydało długie powolne westchnienie, na skale zakipiała biało-różowa woda, a gdy opadła z sykiem, ciała Prosiaczka już nie było.

Zapanowała absolutna cisza. Ralf ułożył usta w jakieś słowo, ale nie wydobył z nich żadnego dźwięku.

Nagle Jack skoczył naprzód i zaciął dziko wrzeszczeć:

— Widzisz? Widzisz? Tak samo będzie z tobą! Ja nie żartuję! Już nie masz szczepu! Nie ma konchy... Zaczął biec ku niemu, pochylony.

— Jestem wodzem!

Ze złością cisnął włócznią w Ralfa. Ostrze rozdarło Ralfowi skórę na żebrach, włócznia skręciła i wpadła do wody. Ralf potknął się nie czując bólu, tylko paniczny strach, a dzicy, wrzeszcząc jak ich wódz, zaczęli nacierać. Druga włócznia, skrzywiona, która nie mogła uderzyć celnie, śmignęła mu koło twarzy. Jeszcze jedna spadła z góry, gdzie był Roger. Bliźniacy leżeli za tłumem dzikich. Na przewężeniu zaroilo się od anonimowych diabelskich twarzy. Ralf zaczął uciekać. Za nim podniosła się głońska wrzawa, niczym krzyk mew. Instynkt podszeptał mu, żeby nie biec prostą linią przez otwartą przestrzeń — instynkt, którego istnienia u siebie nie podejrzewał — i włócznie padały obok. Spostrzegł bezgłowy tułów świni i w samą porę skoczył. Potem przedarł się przez liście i gałęzie i ukrył w lesie.

Wódz zatrzymał się przy świni, odwrócił się i podniósł ręce w górę.

— Wracać! Wracać do fortu!

Wkrótce wszyscy dzicy wrócili z hałasem na skalny pomost, gdzie na ich spotkanie wyszedł Roger. Wódz spytał go z gniewem:

— Dlaczego nie jesteś na straży?

Roger spojrział na niego ponuro.

— Ja tylko zszedłem...

Wzbudzał odrazę, jak kat. Wódz nic mu więcej nie powiedział, tylko zwrócił wzrok na Samieryka.

— Musicie przystać do mojego szczepu.

— Puszczaj mnie...

— ... i mnie.

Wódz chwycił jedną z włóczni, które pozostały, i szturchnął nią Sama w zębra.

— Co to ma znaczyć? — spytał groźnie. — Co to ma znaczyć, że przyszliście tu z włóczniami? Co to ma znaczyć, że nie chcecie przystać do mojego szczepu?

Dźganie włóczni stało się rytmiczne. Sam zawył.

— Nie tak.

Roger wysunął się przed wodza, niemal odtrącając go ramieniem. Wycie ustało i Samieryk leżał wytrzeszczając oczy w niemej trwodze. Roger zbliżał się ku nim niby ktoś sprawujący jakąś nienazwaną władzę.

Krzyki myśliwych

Ralf leżał w ukryciu oglądając swoje rany. Na żebrach z prawej strony miał wielki siniec o średnicy paru cali i krwawą ranę od uderzenia włóczni. Brudne włosy sterczały jak wąsy pnączy. Całe ciało było podrapane i posiniaczone od przedzierania się przez las w ucieczce. Oddychał już teraz spokojnie i doszedł do wniosku, że będzie musiał poczekać z przemyciem ran. Bo czyż można nasłuchiwać odgłosu bosych stóp pluszcząc się jednocześnie w wodzie? Czy można się czuć bezpiecznym przy strumyku albo na odkrytej plaży?

Nasłuchiwał. Skalny Zamek był niedaleko i w nagłym popłochu zdawało mu się, że słyszy odgłosy pogoni. Myśliwi jednak wśliznęli się za nim tylko w okalające las zarośla, aby odzyskać swoje włócznie, a potem pognali pośpiesznie z powrotem na

słoneczne skały, jakby przerażeni ciemnością zalegającą wśród liści. Ralf dostrzegł nawet jednego z nich, pomalowanego w brązowe, czarne i czerwone pasy, i stwierdził, że to Bill. Ale to naprawdę nie był Bill, myślał Ralf. To był dziki, którego widok nie dopuszczał skojarzenia z jakimś już dawnym obrazem chłopca w koszulce i krótkich spodenkach.

Mijało popołudnie. Krągłe plamki słońca wędrowały nieustannie przez zieloną paproć i brązową korę, a od strony Zamku nie dochodził żaden dźwięk. W końcu Ralf wysliznął się z paproci i przekradł na skraj nieprzeniknionej gęstwiny, która sięgała przewężenia wyspy. Wyjrzał ostrożnie spomiędzy gałęzi i spostrzegł Roberta siedzącego na szczycie skały.

Robert trzymał w lewej ręce włócznię, a prawą podrzucał i łapał kamyk. Za nim unosił się gęsty słup dymu. Ralfowi zadrżały nozdrza, a z ust pociekła ślina. Otarł nos i usta wierzchem dłoni i po raz pierwszy tego dnia poczuł głód. Cały szczep siedzi pewno teraz wokół wypatroszonej świni, patrząc na skapujący i skwierczący w ogniu tłuszcz.

Koło Roberta ukazała się jakaś inna, nie rozpoznana postać, wręczyła mu coś i znikła za skałą. Robert oparł włócznię o leżący obok głaz, chwycił to coś w obie ręce i zaczął gryźć. A więc zaczęła się uczta i strażnik otrzymał swoją porcję.

Ralf zrozumiał, że przynajmniej na razie jest bezpieczny. Poszedł kulejąc między drzewa owocowe, żeby zaspokoić głód, jednakże na wspomnienie uczty zrobiło mu się przykro. Dziś uczta, a jutro...

Starał się bezskutecznie wmówić sobie, że go zostawią w spokoju, że może nawet zrobią go wygnańcem. Ale zaraz powróciła owa nieuchronna, niedorzeczna pewność. Rozbicie konchy i śmierć Prosiaczka i Simona zawisły nad wyspą jak opar. Ci malowani dzicy będą się posuwać coraz dalej. Poza tym istnieje ta niesprecyzowana więź pomiędzy nim i Jackiem, który nigdy, przenigdy nie zostawi go przez to w spokoju.

Znieruchomiał nagle, cały w cętkach słońca, unosząc w górę gałąź, by każdej chwili móc dać pod nią nura. Zatrząśł się rażony spazmem strachu i krzyknął głośno:

— Nie! Oni nie są tacy źli. To był wypadek.

Dał nurka pod gałąź, pobiegł niezgrabnie, potem zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

Doszedł do terenu strzaskanych drzew owocowych i zaczął jeść łapczywie. Zobaczył dwóch maluchów i nie zdając sobie sprawy ze swego wyglądu, zdziwił się, że wrzasnęli i uciekli.

Najadłszy się poszedł na plażę. Słońce padało teraz ukosem pomiędzy palmy przy rozwalonym szałasie. Nie opodał była granitowa płyta i basen. Najlepiej byłoby nie zważać na ciężące na sercu uczucie i zdać się na ich zdrowy rozsądek, ich dzienny rozsądek. Teraz, jak dzicy się najedli, najlepiej jeszcze raz spróbować. I tak nie mógłby zostać na noc sam w szałasie przy opustoszałej płycie. Ciarki przeszły mu po grzbiecie i owiał chłód w popołudniowym słońcu. Nie ma ogniska, nie ma dymu, nie ma ocalenia. Odwrócił się i pokuśtykał w stronę Jackowego krańca wyspy.

Ukośne pręty światła słonecznego gubiły się wśród gałęzi. Doszedł wreszcie do polanki w lesie, gdzie na skalistym gruncie nie rosła żadna roślinność. Polanka była teraz rozlewiskiem cienia i Ralf o mało nie rzucił się do ucieczki ujrawszy coś sterczącego na środku; stwierdził jednak po chwili, że biała twarz, którą zobaczył, to tylko kość i że to świńska czaszka na kiju szczyrzy do niego zęby. Wszedł powoli na środek polanki nie odrywając oczu od czaszki, która połyskiwała bielą jak koncha i jakby drwiła z niego cynicznie. W jednym z oczodołów uwijała się wścibska mrówka, poza tym z czaszki ziało jedynie martwość.

Ale czy tylko martwość?

Mrowie przeszło mu po plecach. Stał przed zawieszoną na poziomie swojej twarzy czaszką i przytrzymał włosy obiema rękami. Zęby szczyrzyły się, puste oczodoły władczo przykuwały jego wzrok.

Co to?

Czaszka patrzyła na Ralfa jak ktoś, kto wie wszystko, ale nie chce powiedzieć. Ralf opanował nagle strach i wściekłość. Palnął gwałtownie pięścią w stojące przed nim plugastwo, aż odskoczyło jak na sprężynie i powróciło do dawnej pozycji, wciąż szczyrząc zęby, więc zaczął tłuc zapamiętałe i krzyżeć z odrazy. Potem stał liżąc rozbite knykie i patrzył na pusty kij, a czaszka leżała w dwóch kawałkach, jak rozdziawione w śmiechu usta. Wyrwał drgający kij ze szczeliny w skale i wymierzył go jak włócznię w stronę bielejących kości. Potem zaczął się cofać, zwrócony twarzą do czaszki, która szczyrzyła zęby w niebo.

Kiedy zielony poblask znikł z horyzontu i zapanowała noc, Ralf przyszedł znów w gęstwinę przed Skalnym Zamkiem.

Wyteżając wzrok spostrzegł, że na szczycie skały wciąż ktoś jest i trzyma włócznię w pogotowiu.

Kłęcząc w ciemności dotkliwie odczuwał swoje odosobnienie. Prawda, że to dzikusy, ale przecież ludzie, a strachy nocy nadciągają.

Ralf jęknął cichutko. Mimo że był zmęczony, nie mógł położyć się i zapaść w sen, z obawy przed szczepem. Może dałoby się wejść odważnie na Zamek, powiedzieć: — Zamawiam — roześmiać się beztrzesko i zasnąć wśród innych? Udać, że wciąż są małymi chłopcami, uczniakami, którzy mówili kiedyś: — Tak, psze pana — i nosili szkolne czapki? Światło dnia może odparłoby, że tak, ale ciemności i groza śmierci odpowiadały: nie. Leżąc po ciemku w gęstwinie wiedział, że jest wygnańcem.

— Bo nie zatraciłem rozsądku.

Otarł twarz ramieniem czując drażniący zapach soli i potu, i zatechłego brudu. Gdzieś z lewej strony rozlegało się sapanie, ssanie i wrzenie fal oceanu na skałach.

Zza Skalnego Zamku dolatywały jakieś głosy. Odwracając uwagę od rozhuśtanego morza Ralf wyteżył słuch i usłyszał dobrze znany refren.

— Nożem zwierza! Ciach po gardle! Tryska krew!

Dzicy tańczyli. Gdzieś po drugiej stronie tego skalnego muru jest ciemny krąg, płonące ognisko i mięso. Dzicy delektują się jadem, spokojem i bezpieczeństwem.

Wzdrygnął się na jakiś bliższy odgłos. Dzicy wspinali się na Skalny Zamek, na sam szczyt skały. Słyszał ich głosy. Przekradł się parę kroków bliżej i ujrzał, jak kształt na szczycie skały zmienia się i powiększa. Na całej wyspie było tylko dwóch chłopców, którzy poruszali się i rozmawiali w taki sposób.

Ralf opuścił głowę na ramiona, przyjmując ten nowy fakt jak cios. Samieryk stał się członkiem szczepu. Strzeże Skalnego Zamku przeciw niemu. Nie ma już żadnych szans na wyswobodzenie ich i utworzenie własnego szczepu, szczepu wygnańców na drugim końcu wyspy. Samieryk stał się dziki tak samo jak inni; Prosiaczek nieżywy, a koncha roztarta na proch.

W końcu zmieniony strażnik zszedł na dół. Dwaj pozostali wyglądali niby ciemne przedłużenie skały. Pomiedzy nimi zabłysła nagle gwiazda i na chwilę znikła przyćmiona jakimś ruchem.

Ralf posuwał się ostrożnie naprzód jak ślepiec, wyczuwając dotykiem nierówności gruntu. Po prawej stronie miał niewyraźne wody laguny, po lewej niespokojny ocean, straszny jak szyb kopalni. Co minutę koło skały śmierci rozlegało się sapanie i woda

zakwitała pieniając się bielą. Ralf czołgał się, póki nie dotknął ręką skalnej półki wejścia. Strażnicy znajdowali się wprost nad nim i widział koniec włóczni sterzący sponad skały.

Zawołał cichutko:

— Samieryk...

Żadnej odpowiedzi. Żeby usłyszeli, musiałby mówić głośniejszym głosem, a to ściągnęłoby te pasiaste, wrogie stwory uczujące przy ognisku. Zacisnął zęby i zaczął się wspinać szukając po omacku załamania w skalnej ścianie. Kij, na który była wbita czaszka, krępował mu ruchy, ale za żadną cenę nie chciał rozstać się z jedyną bronią, jaka mu została. Był niemal na jednym poziomie z bliźniakami, kiedy znów zawołał:

— Samieryk...

Usłyszał okrzyk i poruszenie na skale. Bliźniacy przycisnęli się do siebie i zaczęli coś mamrotać.

— To ja. Ralf.

Przerażony, że uciekną i narobią wrzasku, dźwignął się w górę unosząc głowę i barki ponad krawędź. Daleko w dole spostrzegł rozkwitającą biel wokół skały.

— To tylko ja. Ralf.

Wreszcie pochylili się ku niemu i zajrzeli mu w twarz.

— Myśleliśmy, że to...

— ... nie wiedzieliśmy, co...

— ... myśleliśmy...

Przypomnieli sobie obowiązującą ich teraz haniebną lojalność. Eryk milczał, lecz Sam próbował spełnić obowiązek.

— Musisz stąd iść, Ralf. Idź sobie zaraz...

Potrząsnął włócznią i udał srogość.

— Zjeżdżaj.

Eryk kiwnął solidarnie głową i dźgnął włócznią powietrze. Ralf oparł się na rękach i nie odchodził.

— Przyszedłem was zobaczyć.

Głos jego brzmiał głucho. Bolało go gardło.

— Przyszedłem, żeby zobaczyć was dwóch...

Słowa nie były w stanie wyrazić tępego bólu, który go nękał. Umilkł, a po niebie rozsypały się jasne gwiazdy, rozpoczynając taneczny korowód.

Sam poruszył się niespokojnie.

— Słowo daję, Ralf, idź już sobie.

Ralf spojrział na nich.

— Wy nie jesteście pomalowani. Jak możecie... gdyby było jasno...

Gdyby było jasno, spaliliby się ze wstydu. Ale była ciemna noc. Włączył się Eryk i bliźniacy zaczęli swą antyfonalną mowę.

— Musisz iść, bo tu niebezpiecznie...

— ... kazali nam. Sprali nas...

— Kto? Jack?

— Och, nie...

Schylili się nad nim i ściszyli głosy.

— Więcej, Ralf...

— ... to dzicy...

— ... zmusili nas...

— ... nie mogliśmy na to poradzić...

Gdy Ralf znów się odezwał, głos jego brzmiał cicho, jakby bez tchu.

— Co ja takiego zrobiłem? Lubilem go... i chciałem, żebyśmy ocaleli.

Eryk potrząsnął z zapalem głową.

— Słuchaj, Ralf. Nie zastanawiaj się, co jaki ma sens. Teraz już jest inaczej...

— Nie zwracaj sobie głowy, czemu wódz...

— ... musisz stąd iść dla własnego dobra.

— Wódz i Roger...

— ...tak, Roger...

— Oni cię nienawidzą, Ralf. Oni cię wykończą.

— Jutro na ciebie zapolują.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. I wódz, Jack, mówi, że to będzie niebezpieczne...

— ... i że musimy uważać i rzucać włócznie jak w świnie.

— Ustawimy się w linię w poprzek wyspy...

— ... i ruszymy naprzód od tego końca aż...

— ... póki cię nie znajdziemy.

— Mamy dawać sygnały.

Eryk uniósł głowę i wydał cichy dźwięk przerywany uderzeniami dłoni w rozwarte usta. Potem nerwowo obejrzał się za siebie.

— O tak...

— ... tylko, oczywiście, głośniej.

— Ale ja przecież niczego nie zrobiłem — szepnął Ralf gwałtownie. — Chciałem tylko, żebyśmy podtrzymywali ogień!

Urwał na chwilę myśląc z rozpaczą o ranku. Przyszła mu na myśl sprawa niezwyklej wagi.

— A co wy...

Nie mógł się początkowo zdobyć na zapytanie wprost, ale zmusił go lęk i osamotnienie.

— A co zrobią, jak mnie znajdą?

Bliźniacy milczeli. Daleko w dole skała śmierci znów zakwitła bielą piany.

— Co oni... Boże! Jaki ja jestem głodny...

Skalna wieża jakby zachwiała się pod nim.

— No, co?

Bliźniacy nie chcieli odpowiedzieć wprost.

— Musisz już iść, Ralf.

— Dla własnego dobra.

— Trzymaj się z dala. Jak najdalej.

— Nie pójdziecie ze mną? We trzech mamy jakieś szanse.

Po chwili milczenia Sam rzeki zduszonym głosem:

— Nie znasz Rogera. On jest straszny.

— ... Wódz też... obaj są...

— ... straszni...

— ... tylko Roger...

Obaj chłopcy zamarli. Ktoś zbliżał się ku nim od strony dzikich.

— Idzie zobaczyć, czy dobrze pilnujemy. Szybko, Ralf!

Przygotowując się do zejścia z urwiska Ralf postarał się wyciągnąć jakąś korzyść z tego spotkania.

— Schowam się niedaleko, w tamtych gąszczach w dole — szepnęła — więc starajcie się ich stamtąd odciągnąć. Nie przyjdzie im na myśl, żeby mnie szukać tak blisko...

Kroki były wciąż jeszcze w pewnej odległości.

— Sam, czy tak będzie dobrze?

Bliźniacy milczeli.

— Masz! — rzekł nagle Sam. — Trzymaj...

Ralf schwycił kawał mięsa, który mu podsunięto.

— Ale co zamierzacie zrobić, jak mnie złapiecie?

Od góry doszła go jedynie cisza. Zrobiło mu się głupio. Opuścił się niżej.

— Co zrobicie?

Z wierzchołka piętrzącej się skały usłyszał niezrozumiałą odpowiedź.

— Roger zaostrzył kij na obu końcach.

Roger zaostrzył kij na obu końcach. Ralf usiłował dopatrzeć się w tym jakiegoś sensu, ale nie potrafił. Ze złości zaczął szeptać wszystkie brzydkie słowa, jakie znał, i skończył ziewnięciem. Jak długo człowiek może wytrzymać bez snu? Zateśknął za łóżkiem i pościelą — ale jedyną tutaj bielą była mleczna plama lśniąca wokół skały o czterdzieści stóp poniżej, gdzie spadł Prosiaczek. Prosiaczek był wszędzie, był na tym przewężeniu, stał się straszny w ciemności i śmierci. Gdyby wyszedł teraz z wody, z tą rozłupaną głową — Ralf zaskomlał i ziewnął jak maluch. Zatoczył się i wsparł na kiju, który niósł z sobą, jak na kuli.

Potem znów zamarł w bezruchu. Ze Skalnego Zamku doszły go podniesione głosy. Samieryk klócił się z kimś. Ale trawa i paprocie były blisko. Tam należy się schronić, tuż obok gąszczy, które posłużą jutro za kryjówkę. Tutaj — ręce dotknęły trawy — tutaj jest miejsce na przetrwanie nocy, blisko szczepu, aby w razie zaistnienia jakichś nadprzyrodzonych strachów można się było na jakiś czas schronić między ludzi, choćby to miało nawet oznaczać...

A cóż miało to oznaczać? Kij zaostrzony z obu końców. Cóż to takiego? Wszyscy rzucali za nim włóczniami, ale nie trafili; z wyjątkiem jednego. Może nie trafią również i później.

Kucnął w wysokiej trawie, przypomniał sobie o mięsie, które mu dał Sam, i wbił w nie żarłocznie zęby. Jedząc, usłyszał inne głosy — krzyki bólu Samieryka, wrzaski przerażenia, gniewne słowa. Co to oznacza? Ktoś jeszcze prócz niego znalazł się w

kłopotcie i prawdopodobnie jeden z bliźniaków zbiera cięgi. Potem głosy odplynęły poza skałę i Ralf przestał o nich myśleć. Wymacał rękami chłodne, delikatne liście paproci, rosnące przy samej gęstwinie. Tutaj więc będzie jego nocne legowisko. O pierwszym brzasku wczółga się w gąszcza, wciśnie pomiędzy splątane łodygi, skryje się tak głęboko, że tylko podobnie jak on pełzający dziki zdoła przedostać się do niego; a ten dostanie cios zaostrozonym kijem. Będzie tam siedział, a ścigający miną go, pogoń przesunie się dalej i on, Ralf, będzie wolny.

Wśliznął się między paprocie drażąc w nich tunel. Rzucił kij koło siebie i ułożył się do snu. Musi pamiętać, żeby się zbudzić o pierwszym brzasku, żeby wykiwać dzikich — nawet się nie spostrzegł, jak przyszedł sen i pociągnął go w mroczną przepaść.

Ocknął się, zanim zdążył otworzyć oczy, nasłuchując pobliskich odgłosów. Otworzył jedno oko, spostrzegł tuż przy policzku czarną ziemię i wpił się w nią palcami. Pomiedzy liście paproci sączyło się światło. Ledwie zdał sobie sprawę, że nieskończona zmora upadku i śmierci przeminęła, kiedy znowu usłyszał głosy. Był to dochodzący znad brzegu morza dziwny okrzyk, który po chwili podjął inny dziki, a potem znów inny. Krzyk ten niósł się w poprzek wąskiego krańca wyspy od morza do laguny niby wrzask ptaka w locie. Ralf nie zastanawiał się wiele, tylko chwycił zaostrozony kij i wsunął się głębiej w paprocie. Za chwilę już czołgał się w gąszcza, zdążył jednak jeszcze dostrzec nogi któregoś dzikusa, zmierzającego w jego stronę. Tratowano i tłuczono kijami paprocie i słyszał kroki w wysokiej trawie. Dzik wydał dwukrotny okrzyk, który został powtórzony przez innych w dwóch kierunkach, i ucichł. Ralf siedział nieruchomo w kucki, zaplątany w gąszczu, i przez jakiś czas nic nie słyszał.

Wkrótce zaczął przyglądać się otaczającym go zaroślom. Tutaj na pewno nikt go nie zaatakuje — co więcej, poszczęściło mu się. Ogromna skała, która zabiła Prosiaczka, wpadła właśnie w ten gąszcz i druzgocąc roślinność utworzyła w samym środku jakby kotlinkę o średnicy paru stóp. Kiedy Ralf przedarł się do tej kotlinki, poczuł się bezpieczny i pewien siebie. Usiadł ostrożnie wśród zmiądzonych gałęzi i czekał, aż obława pójdzie dalej. Spojrzawszy w górę spostrzegł coś czerwieniącego wśród liści. To zapewne szczyt Skalnego Zamku, odległy i niegroźny. Triumfując zaczął wyczekiwać odgłosów oddalającej się obławy.

Nie słyszał jednakże nic i w miarę upływających minut jego uczucie triumfu zaczynało słabnąć.

Wreszcie usłyszał głos — głos Jacka, ale ściszony.

— Jesteś pewien?

Dziki, do którego się zwrócono, milczał. Pewnie odpowiedział gestem. Teraz odezwał się Roger:

— Jeżeli nas oszukujesz...

Natychmiast po tych słowach rozległo się syknięcie i okrzyk bólu. Ralf skulił się instynktownie. To jeden z bliźniaków z Jackiem i Rogerem.

— Jesteś pewien, że to tu?

Chłopiec jęknął cichutko i zaraz znów wrzasnął z bólu.

— Mówił, że skryje się tutaj?

— Tak... tak... och!...

Wśród drzew zabrzmiał srebrzysty śmiech.

Więc wiedzą.

Ralf chwycił kij i przygotował się do ataku. Ale co mu tutaj mogą zrobić? Musieliby stracić tydzień, żeby wyciąć w tym gąszczu przejście; a każdy, kto spróbuje się tu wśliznąć, będzie stracony. Dotknął kciukiem ostrza swojej włóczni i uśmiechnął się ponuro. Każdy, kto spróbuje, nadzieje się na nią kwicząc jak świnia.

Wycofywali się na skalną wieżę. Słyszał oddalające się kroki i czyjś chichot. Rozległ się znów wysoki ptasi krzyk i przebiegł przez całą linię. Więc jedni go jeszcze szukają; a drudzy?...

Nastąpiła długa, niezmacona cisza. Ralf stwierdził, że ma w ustach korę z włóczni, którą machinalnie gryzł. Wstał i popatrzył w górę na Skalny Zamek.

Kiedy to robił, usłyszał głos Jacka ze szczytu skalnej wieży.

— Heeej, raz! Heeej, raz! Heeej, raz!

Czerwona skała znikła nagle jak kurtyna i na tle błękitnego nieba ujrzal stojące sylwetki. W chwilę później ziemia drgnęła, w powietrzu rozległ się świst i jakby gigantyczna dłoń wyrznęła w wierzchołek gęstwiny. Skała potoczyła się z łoskotem ku plaży, druzgocąc po drodze drzewa, a na Ralfa spadł deszcz połamanych gałęzi i liści. Nie opodal gęstwiny rozbrzmiewały radosne okrzyki.

Znów cisza.

Ralf gryzł palce.

Na szczycie pozostała tylko jedna skała, którą mogliby poruszyć. Była jednak wielka jak pół domu, wielka jak samochód, jak czołg. Wyobraził sobie jej upadek z bolesną wyrazistością — zacznie spadać powoli, odbijając się od występów skalnych, gruchnie w pomost i potoczy się jak walec parowy.

— Heeej, raz! Heeej, raz! Heeej, raz!

Ralf położył włócznię, a potem znowu podniósł. Odgarnął nerwowo włosy, zrobił dwa spieszne kroki przez strzaskaną roślinność i wrócił na miejsce. Stał, patrząc na połamane gałęzie.

Ciągle cisza.

Spostrzegł wznoszenie się i opadanie własnej przepony i zdziwił się, że ma tak przyśpieszony oddech. Z lewej strony wyraźnie łomotało serce. Znowu położył włócznię na ziemi.

— Heeej, raz! Heeej, raz! Heeej, raz!

Długi, przenikliwy krzyk.

Coś łupnęło na czerwonych skałach, potem targnęło ziemią i trzęsło nią przy wtórze wciąż wzmagającego się łoskotu. Ralf wyleciał w powietrze i spadł ciśnięty o gałęzie. Po prawej stronie, zaledwie parę stóp od niego, całe zarośla spłaszczyły się wydzierane z ziemi z korzeniami. Ujrzał, jak coś czerwonego obraca się wolno niby koło młyńskie, potem mija go i toczy się ciężko ku morzu.

Kłęczał na zorany pasie i czekał, aż ziemia przestanie mu się kręcić pod nogami. Wkrótce zobaczył znów białe potrzaskane pnie, pogruchotane gałęzie i gąszcza. Czuł jakiś ucisk w miejscu, gdzie widział bicie własnego serca.

Znowu cisza.

Tym razem niezupełna. Dzicy szeptali z sobą i nagle gałęzie zatrzęsły się gwałtownie z prawej strony Ralfa. Ukazał się ostry koniec kija. W przerażeniu Ralf uniósł swoją włócznię i pchnął z całej siły.

— Aaaaaaa!

Włócznia okręciła mu się nieco w dłoniach. Wyszarpnął ją.

— Oooch...

Ktoś jęczał w zaroślach i podniósł się bełkot głosów. Toczono jakąś zażartą kłótnię, a ranny dzikus wciąż jęczał. Potem, gdy się uciszyło, przemówił jakiś głos, ale to nie był głos Jacka.

— Widzisz? Mówiłem ci... on jest niebezpieczny.

Ranny dzikus znów jęknął.

Co jeszcze? Co teraz?

Ralf zacisnął dłonie na obgryzionej włóczni i włosy opadły mu na oczy. Ktoś coś mamrotał niezrozumiale niedaleko Skalnego Zamku. Ralf słyszał, jak jakiś dziki wykrzyknął: — Nie! — tonem zgorzienia, a potem rozległ się stłumiony śmiech. Przysiadł na piętach i wyszczerzył zaciśnięte zęby w stronę ściany splątanych gałęzi. Uniósł włócznię, warknął cicho i czekał.

Znowu niewidoczni dzicy zachichotali. Usłyszał jakieś kapanie, a potem suchy szelest, jakby ktoś rozwijał wielkie arkusze celofanu. Trzasnęła gałązka i Ralf zdusił w gardle kaszel. Przez gałęzie sączyły się białe i żółte pasemka dymu. Plama błękitnego nieba w górze przybrała barwę chmury deszczowej. Dym zaczął zewsząd walić kłębami.

Ktoś roześmiał się nerwowo, ktoś inny krzyknął:

— Dym!

Ralf przedarł się przez gąszcza w stronę lasu, cały czas starając się kryć w dymie. Niebawem dojrzał otwartą przestrzeń i zielone liście drzew. Drogi do lasu strzegł jeden z mniejszych dzikich, pomalowany w białe i czerwone pasy i dzierzący włócznię w rękę. Dzik kaszłał i usiłując przebić wzrokiem gęstniejący dym, rozcierał wierzchem dłoni farbę pod oczami. Ralf rzucił się w skoku jak kot, warknął i dźgnął włócznią, a dziki zgiął się we dwoje. Wśród gąszczy rozległ się okrzyk i Ralf pomknął na skrzydłach strachu przez poszycie. Trafił na świńską ścieżkę i gnał nią ze sto jardów, po czym skręcił w bok. Za jego plecami krzyk jeszcze raz przebiegł w poprzek wyspy, a potem rozległ się trzykrotnie pojedynczy głos. Ralf domyślił się, że to znak natarcia, i przyśpieszył kroku, aż w końcu poczuł w płucach jakby ogień. Wówczas rzucił się pod krzak, żeby odpocząć chwilę i nabrać sił. Zwilżył językiem zęby i wargi i nasłuchiwał odległych krzyków ścigających.

Mógłby zrobić wiele rzeczy. Mógłby się wdrapać na drzewo — ale to byłoby postawieniem wszystkiego na jedną kartę. Gdyby go wysłedzono, starczyłoby tylko, żeby usiedli pod drzewem i trochę poczekali.

Żeby mieć czas na zastanowienie!

Drugi podwójny okrzyk w tej samej odległości dał mu klucz do zagadki. Każdy dziki, który natrafia na jakąś przeszkodę w lesie, wydaje podwójny okrzyk i póki jej nie

pokona, powstrzymuje całą linię. W ten sposób mogą być pewni, że zachowają nierozzerwany kordon w poprzek wyspy. Ralf pomyślał o odyńcu, który się przebił przez nich z taką łatwością. W razie potrzeby, gdy pościg znajdzie się zbyt blisko, natrze na nich, póki jeszcze będą rozproszeni, przebije się i pobiegnie w przeciwnym kierunku. Ale dokąd? Kordon zawróci i znów ruszy w pościg. Wcześniej czy później będzie musiał zasnąć — a wtedy zbudzą go szarpiące dłonie i polowanie zamieni się w katownię.

Co wobec tego ma wybrać? Drzewo? Czy przebicie się przez kordon, jak odynec? I jedno, i drugie było straszne.

Serce skoczyło w nim, gdy usłyszał pojedynczy okrzyk. Zerwał się i pognał w stronę oceanu, gdzie rosła gęsta dżungla, i biegł, póki nie utknął wśród pnączy. Stał tak przez chwilę zaplątany, z trzęsącymi się udami. Gdyby tak móc powiedzieć: — Zamawiam — i odpocząć, pomyśleć!

Znowu w poprzek wyspy przebiegł krzyk, przenikliwy i nieunikniony. Na ten dźwięk Ralf targnął się w pnączach jak koń i zaczął biec dalej, póki nie zabrakło mu tchu. Padł wśród paproci. Drzewo czy natarcie? Opanował oddech, wytarł usta i nakazał sobie spokój. Gdzieś w tym kordonie jest przychylny mu Samieryk. Ale czy naprawdę? A jeśli zamiast Samieryka napotka wodza albo Rogera niosącego w rękach śmierć?

Ralf odgarnął skudloną czuprynę i otarł pot ze zdrowego oka. Powiedział głośno:
— Myśl.

Co będzie najrozsądniejsze?

Nie ma rozsądnych rad Prosiaczka. Nie ma debat uroczystego zgromadzenia ani dostojeństwa konchy.

— Myśl.

Najbardziej się obawiał owej zastawki w mózgu, która mogła opaść zacierając w nim poczucie niebezpieczeństwa, robiąc z niego bałwana.

Trzecia myśl, to skryć się tak dobrze, by postępujący kordon go minął.

Oderwał głowę od ziemi i wyteżył słuch. Teraz do dotychczasowych głosów dołączył się inny — głęboki pomruk, jakby sam los wyrażał w ten sposób swój gniew na niego, ponury odgłos, na tle którego jednak krzyki myśliwych rozbrzmiewały wyraźnie. Wiedział, że już gdzieś słyszał ten odgłos, tylko nie miał teraz czasu, żeby sobie przypomnieć gdzie.

Przebić się przez kordon.

Wleźć na drzewo.

Ukryć się i dać im przejść.

Niedaleki okrzyk poderwał go na nogi i zmusił do biegu przez ciernie i jeżyny. Nagle wypadł na otwartą przestrzeń i stwierdził, że jest znowu na polance — spostrzegł ten sam szeroki uśmiech czaszki, która jednak już nie wyśmiewała błękitnego skrawka nieba, a szydziła z chmury dymu. Ralf biegł pod drzewami zrozumiałwszy wreszcie, co oznacza pomruk lasu. Wykurzyli go, ale podpalili wyspę.

Ukrycie się na ziemi uznał za lepsze niż wdrapanie się na drzewo, bo nawet gdyby go spostrzegli, mógłby jeszcze próbować się przez nich przebić.

Ukryje się więc.

Znajdzie największą głąsę, najciemniejszą na wyspie dziurę i ukryje się. Teraz rozglądał się pilnie na boki. Przemykały po nim w biegu plamy słońca i pot spływał połyskliwymi strużkami po jego brudnym ciele. Krzyki stały się dalekie, słabe.

W końcu znalazł coś odpowiedniego, choć decyzja była rozpaczliwa. Tutaj krzaki i dzika płatanina pnączy utworzyły matę nie przepuszczającą słońca. Pod matą była przestrzeń może na stopę wysoka, choć poprzerastana wszędzie wznoszącymi się pionowo łodygami. Jeżeli wpełźnie w środek maty, będzie o pięć jardów od jej brzegu, zupełnie niewidoczny, chyba że dziki położy się na brzuchu i zacznie go szukać, lecz nawet wtedy nie dojrzy nic w ciemności. W najgorszym razie, gdyby go dziki zobaczył, Ralf będzie miał szansę skoczyć na niego, rozerwać kordon i umknąć w przeciwnym kierunku.

Ostrożnie, wlokąc kij za sobą, wsunął się między łodygi. Gdy doczołgał się na środek maty, położył się i zaczął nasłuchiwać.

Pożar rozprzestrzenił się szybko i dudnienie, które zostawił daleko za sobą, przybliżyło się. Czyż ogień nie może prześcignąć pędzącego cwałem konia? Z miejsca, gdzie leżał, widział spryskaną słońcem otwartą przestrzeń — plamy słońca migotały mu przed oczami, gdy na nie patrzył. Było to tak podobne do owych momentów zaciemnień, które go nawiedzały, że przez chwilę sądził, że właśnie nadszedł jeden z nich. Ale nagle plamy zamigotały gwałtowniej, zamgliły się nieco i znikły. Spostrzegł, jak olbrzymie kłęby dymu odgrodziły wyspę od słońca.

Gdyby Samieryk zajrzał tu pod krzaki i zauważył zarys ludzkiego ciała, pewnie by udał, że nic nie widzi, i nie powiedziałby nikomu. Ralf przytknął policzek do brunatnej

ziemi, oblizła spieczoną wargę i zamknęła oczy. Ziemia leciutko wibrowała; a może to był tylko jakiś dźwięk, ale zbyt cichy, by móc go odróżnić wśród huku ognia i wrzasków dzikich.

Ktoś krzyknął. Ralf oderwał policzek od ziemi i wpatrzył się w przyćmione światło. Na pewno są już blisko, pomyślał i serce mu załomotało. Ukryć się, przebić przez kordon, wspiąć na drzewo — co ostatecznie będzie najlepsze? Cały kłopot w tym, że ma tylko jedno wyjście.

Ogień wciąż się przybliżał. Te salwy wystrzałów to pękające konary a nawet pnie. Głupcy! Głupcy! Pożar już pewnie sięga drzew owocowych... Co będą jutro jedli?

Ralf poruszył się niespokojnie na swym legowisku. Niczego nie ryzykuje! Co mogą mu zrobić? Zbić go? Więc co? Zabić? Kij zaostrzony na obu końcach.

Niespodziewanie bliskie krzyki poderwały go. Z zielonej gęstwiny wypadł spieszenie wymalowany w pasy dzikus i ruszył w stronę jego kryjówki — dzikus z włócznią. Ralf wbił palce w ziemię. Musi się przygotować.

Zaczął manipulować włócznią, żeby skierować ją ostrzem w przód, i dopiero teraz spostrzegł, że jest zaostrzona z obu końców.

Dzikus zatrzymał się o kilkanaście kroków i wydał swój okrzyk.

Może w huku ognia słyszy bicie mego serca? Tylko nie krzycz! Przygotuj się!

Dzikus podszedł bliżej i dlatego widać go już było tylko od pasa w dół. Tamten kij to koniec jego włóczni. Teraz już go widać od kolan. Tylko nie krzyknij!

Z zarośli za dzikusem wypadło z kwikiem stado świń i pomknęło w las. Ptaki wrzeszczały, myszy piszczały i coś kicającego wpadło pod matę i znikło.

Dzikus zatrzymał się na skraju gęstwiny, niedaleko Ralfa, i wydał okrzyk. Ralf podciągnął kolana pod siebie i kucnął. Trzymał w dłoniach kij, kij zaostrzony na obu końcach, kij tak wibrujący w jego rękach, że raz robił się długi, raz krótki, raz lekki, raz ciężki, i znów lekki.

Okrzyk przeleciał od brzegu do brzegu. Dzikus ukląkł na skraju gęstwiny — w lesie poza nim zamigotały światełka. Widać kolano opierające się o ziemię. Teraz drugie. Dwie dłonie. Włócznię.

Twarz.

Dziki wpatruje się w ciemność pod matą. Widzi światło z jednej i drugiej strony, ale nie w środku. W środku jest mrok i dziki aż wykrzywia twarz, żeby przeniknąć ten mrok.

Sekundy wydłużają się. Ralf patrzy dzikusowi prosto w oczy.

Tylko nie krzyknij.

Wróćisz.

Teraz cię widzi. Upewnia się. Kij zaostrzony...

Z ust Ralfa wydobył się krzyk strachu, wściekłości i rozpacz. Zerwał się z przeciągłym piniącym się wrzaskiem.

Skoczył, przebił się przez zarośla, wypadł na otwartą przestrzeń wrzeszczący, okrwawiony, z bulgotaniem w krtani. Zamachnął się kijem i dziki padł, ale oto ukazali się już inni. Uchylił się przed ciśniętą włócznią, przestał wrzeszczeć i pognął przed siebie. Nagle migocące w przodzie światła złączyły się w jedno i pomruk lasu przeszedł w grzmot, a wielki krzak wprost na jego drodze buchnął ogromnym wachlarzem ognia. Rzucił się w prawo pędząc na skrzydłach rozpacz. Czuł bijący z lewej strony żar ognia mknącego jak fala przyboju. Za nim podniosły się wrzaski i rozpląły wzdłuż linii pościgu, szereg ostrych, krótkich głosów, znak wykrycia. Z prawej strony ukazała się brązowa postać. Zostawił ją w tyle. Biegli wszyscy i wszyscy krzyczeli jak oszaleli. Słyszał, jak przedzierają się z trzaskiem przez poszycie, a z lewej strony wciąż miał przypiekający, jasny grzmot. Zapomniał o ranach, głodzie i pragnieniu, przemienił się cały w strach; beznadziejny strach na skrzydlatych nogach, mknących przez las ku odkrytej plaży. Przed oczami latały mu plamy, które zmieniały się w czerwone koła, a potem rozszerzały szybko i nikły gdzieś za nim. Niosące go jakby cudze nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa i krzyki przybliżały się jak poszarpana krawędź grozy, sięgająca niemal jego głowy.

Potknął się o jakiś korzeń i krzyki jeszcze się wzmogły. Ujrzał wybuchający płomieniem szalas, błysk ognia przy prawym ramieniu i lśnienie wody. Upadł, potoczył się przez piach i legł skulony z ręką wzniesioną obronnym gestem w górę, próbując błagać o litość.

Staął na chwiejnych nogach przygotowany na dalsze okropności i uniósłszy wzrok ujrzał wielką czapkę z daszkiem. Była to wysoka biała czapka, a nad zielonym

cieniem daszka lśniła korona, kotwica i wieniec złotych liści. Zobaczył biały drelich, szlify, rewolwer, rząd połączanych guzików na przodzie munduru.

Na piasku stał oficer marynarki patrząc na Ralfa z pełnym czujności zdumieniem. Na plaży za nim dwóch marynarzy przytrzymało szalupę wrytą dziobem w piach. Na rufie siedział trzeci z automatem w ręku.

Krzyk dzikich zaczął słabnąć i wreszcie całkiem ucichł.

Oficer chwilę przyglądał się Ralfowi, a potem puścił kolbę rewolweru.

— Dzień dobry.

Trochę zawstydzony swoim niechlujnym wyglądem Ralf odpowiedział nieśmiało:

— Dzień dobry.

Oficer skinął głową, jakby uzyskał odpowiedź na jakieś ważne dla siebie pytanie.

— Czy są tu z wami jacyś dorośli... jacyś starsi?

Ralf potrząsnął w milczeniu głową. Odwrócił się w bok. Na plaży, w zupełnym milczeniu, stali półkolem mali chłopcy z ciałami pomazanymi barwną glinką i zaostrzonymi patykami w rękach.

— Nieźle się zabawiacie — powiedział oficer.

Ogień dosięgnął palm kokosowych na plaży i pochłonął je z hałasem. Jakiś płomień oderwał się od całości, skoczył jak akrobata i objął wierzchołki palm nad brzegiem. Niebo było czarne.

Oficer uśmiechnął się wesoło do Ralfa.

— Spostrzeżyliśmy wasz dym. Co wy tu robicie? Prowadzicie wojnę?

Ralf skinął głową.

Oficer przyjrzał się stojącemu przed nim straszdyłu. Przydałyby się pętałowi kąpiel, fryzjer, chustka do nosa i sporo różnych maści.

— Mam nadzieję, że nikt nie został zabity. Są jakieś trupy?

— Tylko dwa. Ale morze je zabrało.

Oficer schylił się i spojrzał uważnie na Ralfa.

— Dwa? Dwóch zabitych?

Ralf znowu kiwnął głową. Za nim cała wyspa dygotała w ogniu. Oficer na ogół potrafił poznać, kiedy ludzie mówią prawdę. Gwizdnął cicho.

Teraz zaczęli nadciągać inni chłopcy, wśród nich wiele jeszcze strasznie małych brzdąców, wszyscy brązowi, z wydętymi brzuchami dzikusów. Jeden z nich podszedł do oficera i zadarł głowę.

— Ja jestem, jestem...

Ale na tym się skończyło. Bowiem Percival Wemys Madison na próżno starał się przypomnieć sobie czarodziejskie zaklęcie, które mu już zupełnie wywietrzało z głowy.

Oficer znowu zwrócił się do Ralfa:

— Zabierzemy was. Ilu was tu jest?

Ralf potrząsnął głową. Oficer spojrzał ponad nim na grupę wymalowanych chłopców.

— Kto tu jest szefem?

— Ja — powiedział głośno Ralf.

Mały chłopczyk ze szczątkami czarnej czapki na rudej czuprynie i z wiszącymi u pasa szczątkami okularów zrobił krok naprzód, ale rozmyślił się i zatrzymał.

— Zauważyliśmy wasz dym. Naprawdę nie wiecie, ilu was tu jest?

— Nie, proszę pana.

— Można by sądzić — rzekł oficer — że brytyjscy chłopcy — jesteście wszyscy Brytyjczykami, prawda? — potrafia się lepiej spisać... to znaczy...

— Z początku tak było — powiedział Ralf — ale później...

Urwał.

— Z początku byliśmy wszyscy razem...

Oficer pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Wiem. Ładna zabawa. Jak Wyspa Koralowa.

Ralf spojrzał na niego w milczeniu. Na chwilę stanął mu przed oczami przelotny obraz dziwnego czaru, który kiedyś opromieniał tę plażę. Ale teraz wyspa jest spalona, martwa... Simon nie żyje, a Jack... Z oczu popłynęły mu łzy i łkanie wstrząsnęło ciałem. Po raz pierwszy na tej wyspie rozplakał się, a wielkie spazmy żalu aż go skręcały. Na płonących gruzach wyspy, pod czarną chmurą dymu, rozlegało się jego buczenie; zarażeni tym uczuciem inni malcy zaczęli też się trząść i łkać. A pośród nich, brudny, ze skołtunioną głową i zasmarkanym nosem Ralf płakał nad kresem niewinności, ciemnotą ludzkich serc i upadkiem w przepaść szczerego, mądrego przyjaciela, zwanego Prosiaczkiem.

Oficer, słysząc zewsząd te odgłosy, poczuł się wzruszony i zakłopotany. Odwrócił się, aby dać im czas na opanowanie się, i czekał, spoglądając w dal na zgrabną sylwetkę krążownika.